



MARCEL PROUST

---

**Sodoma i Gomora,  
część druga, tom  
trzeci**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

# *Sodoma i Gomora*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# CZĘŚĆ DRUGA, TOM TRZECI

## ROZDZIAŁ II

(*Ciąg dalszy*)

— Żartujecie sobie ze mnie — rzekła sama się śmiejąc pani Cottard, która z lekkością magnetyzera i zręcznością kobiety poprawiającej fryzurę starła z czoła ostatnie śladu snu; — muszę przeprosić unieżenie kochaną panią Verdurin i dowiedzieć się od niej prawdy.

Ale uśmiech jej posmutniał, bo profesor, który wiedział iż żona stara mu się podobać i drży że się jej to nie uda, krzyknął:

— Spójrz w lustro, jesteś czerwona jakbyś miała ognipiór, wyglądasz jak stara chłopka.

— Wiecie, że nasz profesor jest uroczy — rzekła pani Verdurin; — ma taką przemiłą figlarną dobroduszość. A przytem, on wrócił mego męża z tamtego świata, kiedy cały fakultet już go skazał. Trzy noce spędził przy nim, nie kładąc się. Toteż dla mnie, wiecie państwo, Cottard — dodała poważnie, prawie groźnie, podnosząc rękę ku dwóm okolonym białemi kosmykami półkulom swoich muzykalnych skroni, i tak jakbyśmy się chcieli targnąć na doktora — Cottard, to świętość. Mógłby zażądać czego by chciał. Zresztą, ja go nie nazywam doktor Cottard: ja go nazywam doktor Bóg! I jeszcze, mówiąc tak, spotwarzam go, bo ten bóg naprawia w zakresie możliwości cząstkę nieszczęść, za które odpowiedzialny jest tamten.

— Graj pan atu — rzekł do Morela z wniebowziętą miną p. de Charlus.

— Dla wymacania — rzekł skrzypek.

— Trzeba było najpierw zapowiedzieć króla — rzekł p. de Charlus; — roztargniony pan jest, ale świetnie pan gra!

— Mam króla — rzekł Morel.

— Bardzo przystojny król — odparł profesor.

— Co to jest za historia z temi tyczkami — spytała pani Verdurin pana de Cambremer pokazując wspinałą tarczę wyrzeźbioną nad kominkiem. Czy to pański *herb* — dodała z ironiczną wzdrgnącą.

— Nie, to nie nasz — odparł pan de Cambremer. My mamy pole złote z trzema pasami czerwonych blanków każdy o pięciu zębach ze złotą koniczą. Nie, to jest herb Arrachepelów, którzy nie byli z naszego pnia, ale po których odziedziczyliśmy ten dom, i nigdy nikt z naszej linii nie chciał tu nic zmieniać. Arrachepel (dawniej Pelvilain, jak powiadają) mieli złote pole z pięcioma zastrzonymi czerwonymi palami. Kiedy się skojarzyli z Féterne'ami, tarcza ich zmieniła się ale pozostała pokratkowana w dwadzieścia podwójnych krzyżyków z gronostajowem skrzydłem po prawej.

— Masz kiedyś chciała — szepnęła z cicha pani de Cambremer.

— Moja prababka była z domu d'Arrachepel albo de Rachepeł, jak pani woli, bo istnieją oba nazwiska w starych dokumentach — ciągnął p. de Cambremer, czerwieniąc się żywo, bo dopiero wówczas powziął myśl, którą przypisała mu żona, i zląkł się, aby pani Verdurin nie wzięła do siebie słów, które bynajmniej w nią nie godziły. — Historia twierdzi, że w jedenastym wieku pierwszy Arrachepel, Macé, zwany Pelvilain, objawił przy obleganiu miast szczególną zręczność w wyrywaniu pali. Stąd przydomek *Arrachepel*, pod jakim go uszlachcono, oraz pale, które tu pani widzi, przetrwały przez wieki w herbie. Chodzi o ostrokoły, które, dla umocnienia fortyfikacyj, wsadzano, wtykano (przepraszam za wyrażenie) w ziemię, spajając je z sobą. Dobrze je pani nazwała: tyczki; w każdym razie nie miały nic wspólnego z pływającymi kijami dobrego Lafontaine'a. Bo wierzono, że one czynią miejsce niezdołanym. Oczywiście, to budzi uśmiech wobec dzisiejszej artylerji. Ale trzeba pamiętać, że chodzi o wiek jedenasty.

— Tak, to nie grzeszy aktualnością — rzekła pani Verdurin — ale ta wieżyczka ma charakter.

— Ma pan — rzekł Cottard — łajdackie szczęście. Czy pan wie, czemu król karowy jest uwolniony od wojska?

— Chciałbym być na jego miejscu — rzekł Morel, którego nudziła służba wojskowa.  
— A, zły patryjota — wykrzyknął Charlus, który nie mógł się wstrzymać, aby nie uszczyptać skrzyпка w ucho.

— Nie, nie wie pan, czemu król karowy jest zwolniony — podjął Cottard, który nie łatwo zrezygnował ze swoich konceptów: dlatego, że ma jedno oko.

— Ma pan do czynienia z tęgim graczem, doktorze — rzekł p. de Cambremer, aby okazać że wie kim profesor jest.

— Ten młody człowiek jest zdumiewający — przerwał naiwnie p. de Charlus, wskazując Morela. Gra jak młody bóg.

Ta uwaga nie spodobała się zbyt doktorowi, który odparł:

— *Vederemo*. Trafi kosa na kamień. *Chi lo sa?*

— Dama, as — oznajmił tryumfalnie Morel, któremu los sprzyjał.

Doktor pochylał głowę, jakby nie mogąc zaprzeczyć temu szczęściu, i wyznał olśniony:

— To piękne.

— Byliśmy bardzo radzi, żeśmy spotkali tutaj pana de Charlus — rzekła pani de Cambremer do pani Verdurin.

— Pani go nie znała? Jest dosyć przyjemny, oryginalny jest, ma coś z *epoki* (była-by w wielkim kłopotcie, gdyby jej przyszło powiedzieć z której) odparła pani Verdurin z zadowolonym uśmiechem amatorki, sędziego i gospodyni domu.

Pani de Cambremer spytała mnie, czy przyjadę z Robertem do Féterne. Mimowoli krzyknąłem z zachwyty, widząc księżyc niby pomarańczowy lampion nad sklepieniem dębów ciągnącym się od zamku.

— To jeszcze nic; za chwilę, kiedy księżyc będzie wyżej i oświetli dolinę, to będzie tysiąc razy ładniejsze. Nie macie czegoś podobnego w Féterne! — rzekła pani Verdurin lekceważąco do pani de Cambremer, która nie wiedziała co odpowiedzieć, nie chcąc deprecjonować własnej posiadłości, zwłaszcza wobec lokatorów.

— Czy pani zostaje jeszcze jakiś czas w tych stronach? — spytał p. de Cambremer pani Cottard, co mogło uchodzić za mglisty zamiar zaproszenia jej a uwalniało na razie od większej precyzji.

— Och, z pewnością, proszę pana; bardzo mi dla dzieci zależy na tym corocznym exodusie. Niech kto mówi co chce, dzieci potrzebują powietrza. Fakultet chciał mnie wysłać do Vichy, ale tam jest za duszno; pomyślę o swoim żołądku wówczas kiedy te chłopaki podrosną. A potem profesor z temi egzaminami, wciąż jak na uwięzi, a upały męczą go bardzo. Uważam, że człowiek potrzebuje rozprężyć ramiona, kiedy tak jak on cały rok spędził na wyłomie. W każdym razie, zostaniemy jeszcze dobry miesiąc.

— Och, w takim razie spotkamy się jeszcze.

— Zresztą ja jestem tem bardziej zmuszona zostać tutaj, bo mąż planuje wycieczkę do Sabaudji i dopiero za dwa tygodnie znajdzie się na posterunku.

— Ja jeszcze bardziej lubię stronę doliny niż stronę morza — podjęła pani Verdurin.

— Będziecie państwo mieli wspaniały czas na powrót.

— Trzebaby nawet zajrzeć, czy powozy są zaprzężone, w razie gdyby pan koniecznie chciał dziś wracać do Balbec — rzekł do mnie pan Verdurin — bo co do mnie, nie widzę konieczności. Odwiozłoby się pana jutro rano. Będzie z pewnością ładnie. Drogi są wspaniałe.

Powiedziałem, że to niemożliwe.

— W każdym razie, jeszcze macie czas — nadmieniła pryncypałka. Zostaw ich w spokoju, jest masa czasu. Dużo im z tego przyjdzie, że przyjadą o godzinę wcześniej na stację! Lepiej im tutaj. I pan, mój młody Mozarcie — rzekła do Morela, nie śmiejąc się zwracać wprost do pana de Charlus — nie chce pan zostać? Mamy piękne pokoje z widokiem na morze.

— Ale on nie może — odparł p. de Charlus za pochłoniętego grą Morela, który nie słyszał. Ma przepustkę tylko do północy. Musi wracać do łóżeczka, jak dzidzius bardzo posłuszny, bardzo grzeczny, dodał życzliwym, zmanierowanym, nalegającym głosem, tak jakby znajdował jakąś sadystyczną rozkosz w tem niewinnem porównaniu, a także w tem aby muskać w przelocie głosem coś co tyczyło Morela, dotykać go, jeżeli nie ręką, to słowami, które zdawały się go obmacywać.

Z kazania, które mi zaaplikował Brichot, p. de Cambremer wywnioskował, że jestem stronnikiem Dreyfusa. Ponieważ sam był do ostatnich granic „anty”, zaczął mi — przez kurtuazję dla wroga — wychwalać jakiegoś pułkownika żyda, który był zawsze bardzo sprawiedliwy dla kuzyna państwa de Chevrigny i dał mu zasłużony awans. „A mój kuzyn wyznawał poglądy absolutnie przeciwne — rzekł p. de Cambremer, prześlizgując się nad tem, co to były za poglądy, ale uczulem że muszą być równie stare i tępe jak jego fizys, poglądy, które parę rodzin w pewnych małych miasteczkach musi przechowywać od bardzo dawna.

— I wie pan, doprawdy, mnie się to wydaje bardzo piękne — zakończył p. de Cambremer.

P. de Cambremer nie używał słowa „piękne” w znaczeniu estetycznym, któreby dla jego matki lub żony oznaczało dzieła różne, ale zawsze dzieła sztuki. Raczej posługiwał się tym przymiotnikiem, winszując np. osobie wątłej, która trochę przytyła: „Jakto, przybyło panu w dwa miesiące trzy kilo! Wie pan, że to bardzo pięknie!”

Podano chłodniki. Pani Verdurin zapraszała panów, aby każdy sam wybrał napój, jaki mu odpowiada. P. de Charlus podszedł aby wypić swoją szklankę, poczem szybko wrócił do stołu gry i już się nie ruszył. Pani Verdurin spytała: „Czy pan kosztował mojej oranżady?” Wówczas Charlus z wdzięcznym uśmiechem, krystalicznym głosem (jaki miał rzadko), z tysiącem minek i krygowań się, odparł: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową jak sądzę, to rozkoszne.” Osobliwe jest, że pewna grupa tajemnych aktów uzewnętrznia się w sposobie wysłowienia lub gestykulacji, w których się zdradza. Jeżeli ktoś wierzy lub nie wierzy w niepokalane poczucie, w niewinność Dreyfusa lub w wielość światów i chce zamilczyć o tem, nie znajdzie się w jego głosie ani chodzie nic, coby zdradzało jego myśl. Ale, słysząc pana de Charlus jak mówi dyszkantem, z tym uśmiechem i z tym gestem: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową”, można było sobie powiedzieć: „O, ten leci na mężczyznę”, z tą samą pewnością, jaka każe sędziemu skazać zbrodniarza mimo iż się nie przyznał, lekarzowi wydać wyrok na kandydata do paraliżu, nie znającego może swojej choroby, która wywołała taki a taki błąd w wymowie, pozwalający wnioskować, że do trzech lat pacjent nie będzie żył. Ludzie, którzy ze sposobu powiedzenia: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową”, stawiają diagnozę miłości t. zw. *przeciwnej naturze*, nie potrzebują może aż tak głębokiej wiedzy. Ale—bo tutaj związek między oznaką rozpoznawczą a sekretem jest prostszy. Nie określając sobie tego jasno, czujemy, że odpowiada nam słodka i uśmiechnięta dama, która wydaje się nam zmanierowana, bo podaje się za mężczyznę, a nie przywykliśmy, aby mężczyzna tak się mizdrzył. I może szlachetniej jest myśleć, że od wieków pewna ilość anielskich kobiet została objęta przez pomyłkę płcią męską; i wygnane w tę sferę trzepocą napróżno skrzydłami ku mężczyznom budząc w nich fizyczną odrazę, umieją urządzić salon, komponują „wnętrza”.

P. de Charlus nie troszczył się o to że pani Verdurin stoi: siedział w fotelu, aby być bliżej Morela.

— Niech pan powie — rzekła pani Verdurin do barona — czy to nie jest zbrodnia, że ta istota, która mogłaby nas czarować swojemi skrzypcami, siedzi tutaj przy *écarté*. Kiedy się tak gra na skrzypcach jak on!

— I w karty gra dobrze, wszystko robi dobrze, jest taki inteligentny — rzekł Charlus, śledząc równocześnie partję, aby móc radzić Morelowi.

Nie była to zresztą jedyna racja, że baron nie wstał dla pani Verdurin. W osobliwym amalgamacie, jaki sobie stworzył ze swoich pojęć socjalnych równocześnie wielkiego pana i miłośnika sztuki, baron, zamiast być grzeczny w ten sam sposób w jaki byłby grzeczny człowiek z jego świata, komponował sobie w duchu Saint-Simona rodzaj żywych obrazów; i w tej chwili grał dla siebie rolę marszałka d’Uxelles, który go interesował również innemi rysami, a o którym powiedziane jest, że był tak pyszny, iż nie wstawał z krzesła — niby przez lenistwo — bodaj dla największych figur na dworze.

— Powiedz, baronie — rzekła pani Verdurin, która zaczynała się poufalić — czy nie masz w swoim świecie jakiego starego zrujnowanego szlachcica, który mógłby mi się zdać na odźwiernego?

— Ależ owszem... ależ owszem — odparł p. de Charlus uśmiechając się dobrodusznie — ale nie radziłbym go pani.

— Czemu?

— Bałbym się, że eleganccy goście utkwiliby w jego izdebce i nie zaszliby dalej.

Była to ich pierwsza utarczka. Pani Verdurin zaledwie zwróciła na to uwagę. Miały, niestety, nastąpić inne w Paryżu.

Charlus wciąż nie wstawał z krzesła. Mimowoli uśmiechał się nieznacznie, widząc jak dalece uległość pani Verdurin — tak łatwo uzyskana — potwierdza jego ulubione maksymy o uroku arystokracji i o nikczemności mieszczaństwa. Pryncypalka nie wydawała się wcale zdziwiona formami barona i jeżeli go opuściła, to jedynie dlatego, że z niepokojem ujrzała iż p. de Cambremer znów mnie zagarnął. Ale przedtem chciała wysświetlić stosunki pana de Charlus z hrabiną Molé.

— Mówił pan, że pan zna panią de Molé. Czy pan bywa u niej? — spytała, dając tym słowom „bywać” znaczenie: mieć prawo bywania u niej, być upoważnionym do odwiedzania jej.

P. de Charlus odpowiedział z akcentem lekceważenia, z afektacją ścisłości i śpiewnym tonem: „Ależ czasem.” To „czasem” obudziło wątpliwości pani Verdurin, która spytała:

— Czy pan spotkał tam kiedy księcia de Guermantes?

— A, nie przypominam sobie.

— O — rzekła pani Verdurin — pan nie zna księcia de Guermantes?

— Jakżebym go miał nie znać — odparł pan de Charlus z uśmiechem, który zadrgał mu na ustach. Uśmiech ten był ironiczny, ale ponieważ baron bał się, że nim odsłoni złoty ząb, utopił uśmiech w fali swoich warg, tak iż linia, która stąd wypadła, wyraziła życzliwość.

— Czemu pan mówi: „jakżebym go miał nie znać?”

— No bo to jest mój brat — rzekł niedbale pan de Charlus, zostawiając panią Verdurin pogrążoną w zdumieniu i niepewności, czy gość sobie z niej kpi, czy też jest nieprawem dzieckiem lub z innego łoża. Myśl, że brat księcia de Guermantes mógłby się nazywać baron de Charlus, nie powstała w jej głowie. Zwróciła się do mnie:

— Słyszałam przed chwilą, że p. de Cambremer zaprasza pana na obiad. Mnie, pojmuję pan, mnie to jest obojętne. Ale w pańskim interesie mam nadzieję, że pan nie pojedzie. Po pierwsze, roi się u nich od nudziarzy. Och, jeżeli pan lubi towarzystwo prowincjonalnych hrabiów i margrabiów których nikt nie zna, znajdzie pan ich tam dosyta.

— Sądzę, że będę musiał się wybrać raz czy dwa. Nie jestem zresztą bardzo wolny, bo mam młodą kuzynkę, której nie chcę zostawiać samej (uważałem, że to rzekome pokrewieństwo ułatwi mi bywanie z Albertyną). Ale co się tyczy państwa de Cambremer, ponieważ już im ją przedstawiłem...

— Zrobi pan co pan zechce. Ja mogę panu powiedzieć tyle: to bardzo niezdrowe miejsce; kiedy pan złapie katar płuc albo porządny reumatyzm, dużo pan na tem wygra?

— Ale podobno miejscowość jest bardzo piękna?

— Thiiii... Jak ktoś uważa... Ja wyznaję szczerze, że sto razy wolę widok stąd na tę dolinę. Zresztą, choćby nam dopłacono, nie bylibyśmy wzięli tamtego domu, wiatry od morza fatalne są dla męża. Jeżeli pańska kuzynka jest bodaj trochę nerwowa... Ale zresztą pan jest nerwowy, zdaje mi się... miewa pan duszności... Ano cóż, zobaczy pan. Niech pan tam jedzie raz, nie będzie pan spał przez tydzień, ale to nie nasza rzecz.

I nie myśląc o tem, że to nowe zdanie klóci się z poprzednimi, dodała:

— Jeżeli to pana bawi obejrzeć dom, który jest niebrzydki — ładny, toby było za wiele powiedziane, ale ostatecznie ciekawy jest ze swoją fosą, ze starym mostem zwodzonym — ponieważ trzeba mi będzie się poświęcić i wybrać się tam raz na obiad, więc dobrze, niech się pan też wybierze tego dnia, postaram się ściągnąć całe moje kółko, wówczas będzie tam miło. Pojutrze jedziemy do Harambouville powozami. Droga wspaniała, jest tam rozkoszny jablecznik. Niech pan jedzie z nami. Brichot, pan także. I ty także, Ski. To jest wycieczka, którą zresztą mąż planował oddawna. Nie bardzo wiem kogo on zaprosi. Panie de Charlus, czy pan należy do cechu?

Baron, który nie słyszał ostatnich zdań i nie wiedział że była mowa o wycieczce do Harambouville, podskoczył na krześle.

— Dziwne pytanie — mruknął drwiącym tonem, którym pani Verdurin uczuła się urażona.

— Zresztą, rzekła, nim przyjdzie czas na obiad u Cambremerów, czemuż by pan nie przywiózł tutaj swojej kuzynki? Czy ona lubi konwersację, ludzi inteligentnych? Czy jest

miła? Och, w takim razie bardzo dobrze. Niech pan przyjedzie z nią. Nie tylko jedni Cambremer są na świecie. Rozumiem, że oni rwą się do tego aby ją zaprosić, ci ludzie nie mogą ściągnąć do siebie nikogo. Tutaj będzie miała dobre powietrze, zawsze spotka ludzi inteligentnych. W każdym razie, liczę, że pan nie skrewi w przyszłą środę. Słyszałam, że pan ma podwieczorek w Rivebelle ze swoją kuzynką, z panem de Charlus i nie wiem już z kim. Niech się pan postara przewieźć ich wszystkich tutaj; to byłoby milutkie taki kulig. Komunikacja świetna, drogi czarujące; w potrzebie posłałabym po was. Nie wiem zresztą, co pana może ciągnąć do Rivebelle: roi się od komarów. Wierzy pan może w „placek normandzki?” Mój kucharz robi go grubo lepiej. Poczęstuję pana prawdziwym plackiem normandzkim — prawdziwym — i kruchem ciastem także: będzie pan palce lizał. Och, jeżeli panu zależy na gniecech, jakie podają w Rivebelle, tego ja panu nie dam, nie zwykłam truć swoich gości, drogi panie, a nawet gdybym chciała, kucharz nie zgodziłby się robić tego świństwa, raczej podziękowałby za służbę. Tamtejsze placuszki, nie wiadomo z czego to robione. Znam biedną dziewczynę, która dostała z tego zapalenia otrzewnej i poszła!... w trzy dni. Miała ledwie siedemnaście lat. Co za cios dla jej biednej matki — dodała pani Verdurin z melancholią kryjącą się pod półkulami jej skroni, narbrzmiałych doświadczeniem i boleścią. Ale ostatecznie, niech pan jedzie na podwieczorek do Rivebelle, jeżeli pan ma ochotę być odartym ze skóry i wyrzucać pieniądze przez okno. Tylko, proszę pana — powierzam panu tę misję skoro wybije szósta, przywiezie mi pan całą kompanię tutaj; niech pan nie pozwoli żeby każdy wracał do siebie luzem. Może pan przywieść kogo pan zechce. Nie powiedziałabym tego każdemu. Ale ja jestem pewna, że pańscy przyjaciele są sympatyczni: widzę odrazu, że my się rozumiemy. Poza naszą paczką, będą właśnie we środę bardzo przyjemni ludzie. Nie zna pan młodej de Longpont. Jest czarująca i pełna dowcipu, ani trochę nie snobka; zobaczy pan, że się panu bardzo spodoba. I ona także ma sprowadzić całą gromadę przyjaciół — dodała pani Verdurin, aby dowieść że to jest przyjęte i aby mnie zachęcić przykładem. Pokaże się, kto będzie miał więcej wpływu i kto mi sprowadzi więcej ludzi, Baśka Longpont czy pan. I zdaje mi się, że mają także przywieźć Bergotte’a, dodała niepewnie, ile że ten udział „sławy” był mało prawdopodobny wobec notatki, jaka się rano ukazała w dziennikach, że stan zdrowia wielkiego pisarza budzi największe obawy. Słowem, zobaczy pan, że to będzie jedna z najudańszych śród: nie chcę mieć nudnych kobiet. Zresztą, niech pan nie sądzi wedle dzisiejszej środy, była zupełnie chybiona. Niech pan nie zaprzecza, nie mógł się pan nudzić bardziej odemnie, ja sama uważałam, że to było rozpaczliwe. Ale nie zawsze będzie tak jak dziś, wie pan. Nie mówię już o Cambremerach, którzy są niemożliwi, ale znałam ludzi światowych, którzy uchodzili za przyjemnych: i niech mi pan wierzy, przy mojej paczce, to nie istniało poprostu! Słyszałam, jak pan raz mówił, że pan ma Swanna za człowieka inteligentnego. Po pierwsze, uważam że to grubo przesadzone, ale nie mówiąc nawet o charakterze człowieka, który mi się zawsze wydawał głęboko antypatyczny, chytry, nieszczerzy, często miałam go u siebie we środę na obiedzie. No i co, może pan spytać innych, nawet przy Brichocie, który nie jest żaden orzeł — ot, sobie poczciwy profesor gimnazjalny, którego ja wpakowałam do Instytutu — nawet przy nim Swann był wielkie nic. Szary, nudny!...

I na mój sprzeciw, pani Verdurin dodała:

— Ależ tak. Nie chcę nic mówić przeciwko niemu, skoro to był pański przyjaciel; zresztą on pana bardzo lubił, mówił o panu przemile rzeczy, ale niech się pan spyta tych tam, czy on kiedy przy obiedzie powiedział coś zajmującego? A ostatecznie, to jest próba człowieka. No i co, nie wiem czemu, ale Swann w moim domu to było nic, dosłownie nic. A jeszcze i to niewiele co był wart, zacerpnął tutaj.

Zapewniłam panią Verdurin, że był bardzo inteligentny.

— Nie, nie, pan w to wierzy, bo go pan znał mniej dawno niż ja. W gruncie, bardzo szybko dochodziło się do dna. Mnie on nudził śmiertelnie. (Tłumaczenie: był u księstwa La Tremoille i u Guermantów i wiedział, że ja tam nie bywam.) A ja mogę wszystko znieść, z wyjątkiem nudy. Och, tego nie!

Wstręt do nudy był teraz u pani Verdurin racją mającą tłumaczyć skład „paczki”. Nie przyjmowała jeszcze wielkich dam, bo niezdolna była się nudzić, tak jak sobie odmawiała podróży jachtem z powodu morskiej choroby. Powiedziałem sobie, że to, co mówiła pani Verdurin, nie było całkiem fałszywe. Podczas gdy Guermantowie ogłosiliby Brichota

największym głupcem jakiego w życiu widzieli, ja nie byłem pewny, czy on w gruncie nie przestał, jeżeli nie Swanna, to przynajmniej ludzi obdarzonych „dowcipem Guerman-tów”, ludzi mających tyle smaku aby unikać jego pedantycznych facecji i tyle wstydu aby się za nie rumienić. Zadawałem sobie to pytanie, tak jakby moja odpowiedź mogła poniekąd rozjaśnić naturę inteligencji; dumałem nad tem z całą powagą jansenisty, stawiającego sobie problem Łaski.

— Zobacz pan — ciągnęła pani Verdurin — kiedy się skonfrontuje światowców z ludźmi naprawdę inteligentnymi, z ludźmi naszego kółka, światowiec najdowcipniejszy w królestwie ślepych jest tutaj tylko jednookim. Przytem ci obcy tracą tutaj kontenans. Tak dalece, że zastanawiam się, czy zamiast próbować tych kombinacji, które psują wszystko, nie będę urządziła seryj wyłącznie dla nudziarzy, aby się móc dosyta cieszyć swoją paczką. Zatem, konkluzja: przyjedzie pan z kuzynką. Postanowione. Dobrze. Przynajmniej tutaj starczy dla was obojga jedzenia. W Féterne panuje wieczny głód i pragnienie. A, zato jeżeli pan lubi szczury, niech pan tam zaraz jedzie, będzie pan ich miał dosyta. I zostanie pan jak długo pan zechce. Fakt, że pan umrze z głodu. Zresztą ja, kiedy tam będę jechała, zjem obiad w domu. Powinienby pan po mnie wstąpić, będzie weselej. Zjedlibyśmy smaczny podwieczorek, a kolację za powrotem. Lubi pan placek z jabłkami? No więc! Nasz kucharz robi go jak nikt. Widzi pan, że miałam rację, mówiąc, że pan jest stworzony do mieszkania tutaj. Niechże się pan tu sprowadzi. Wie pan, u mnie jest o wiele więcej miejsca niż na to wygląda. Nie opowiadam tego, aby nie ściągać nudziarzy. Mógłby pan przywieźć na dłużej swoją kuzynkę. Miała by tu inne powietrze niż w Balbec. Tutejszem powietrzem sędzę że uleczyłabym nieuleczalnych. I leczyłam ich, i nie od dziś. Bo ja mieszkalam niegdyś tutaj zaraz obok: odkryłam to, wynajęłam za grosze, i miało to grubo więcej charakteru niż ta ich Raspelière. Pokażę to panu, kiedy się wybierzemy na spacer. Ale uznaję, że nawet tutaj powietrze jest naprawdę ożywcze. Nie chcę zresztą wiele o tem mówić, paryżanie gotowi się zapalić do mojego kącika. To był zawsze mój los. Koniec końców, niech pan to powie swojej kuzynce. Da się wam dwa ładne pokoje z widokiem na dolinę; zobaczy pan rano, słońce we mgle! A co to jest ten Robert de Saint-Loup, o którym pan mówił — dodała niespokojnie, bo słyszała że się wybieram do niego do Doncières i bała się aby mnie nie odciągnął. — Mógłby go pan raczej przywieźć z sobą, o ile to nie jest nudziarz. Słyszałam o nim od Morela; zdaje się, że to jego wielki przyjaciel — rzekła pani Verdurin, kłamiąc jak z nut, bo Saint-Loup i Morel nie wiedzieli nawet o mojem istnieniu. Ale usłyszawszy, iż Saint-Loup zna pana de Charlus, pomyślała że poznał go przez skrzypka i chciała zrobić wrażenie dobrze poinformowanej. — Czy on nie uprawia przypadkiem medycyny albo literatury? Wie pan, gdyby pan potrzebował protekcji przy egzaminach, Cottard może wszystko, a ja robię z nim co zechcę. Co się tyczy Akademji na później — bo nie sędzę aby dziś miał wiek potemu — mam sporo głosów do dyspozycji. Pański przyjaciel byłby tutaj między swymi, byłby może ciekaw poznać ten dom. Doncières, to nie jest zbyt zabawne. Słowem, zrobi pan jak pan zechce, jak panu będzie wygodniej — zakończyła, nie nalegając, aby się nie zdawało że lasa jest na arystokratyczne znajomości i dlatego że miała pretensję, aby tyrania, jaką nakładała swoim wiernym, nazywała się wolnością. — No, co tobie jest? — rzekła, widząc pana Verdurin, który z oznakami zniecierpliwienia wyszedł na taras biegnący wzdłuż salonu nad doliną, jak człowiek który się dławi z wściekłości i potrzebuje zaczerpnąć powietrza. To znów Saniette cię zirytował? Ależ skoro wiesz że to idiota, pogódź się z tem, nie doprowadzaj się do takiego stanu. Nie lubię tego — rzekła pani Verdurin do mnie — bo to jest dla męża niebezpieczne, to go przyprawia o kongestję. Ale też zgadzam się że trzeba czasem mieć anielską cierpliwość aby znieść Saniette'a, a zwłaszcza aby pamiętać że trzymać go to jest obowiązek miłosierdzia. Co do mnie, przyznaję, że pełnia jego głupoty napawa mnie raczej rozkoszą. Słyszał pan, zdaje mi się, jego powiedzenie po obiedzie: „Nie umiem grać w wista, ale umiem grać na fortepianie”. Czy to nie piękne! To wielkie jak świat; zresztą kłamstwo, bo tak samo nie ma pojęcia o jednym jak o drugim. Ale mąż pod pozorami szorstkości jest bardzo wrażliwy, bardzo dobry, i rodzaj egoizmu Saniette'a, wciąż zajętego obmyśleniem efektu, wyprowadza go z równowagi. — No, mój drogi, uspokój się; wiesz przecie, Cottard mówił, że to niedobrze na twoją wątrobę. I to na mnie wszystko spadnie — rzekła pani Verdurin. Jutro Saniette będzie miał swój atak nerwów i łez. Biedny człowiek! Jest bardzo chory. Ale ostatecznie, to nie jest racja aby zabijał innych.



A potem, nawet w chwilach gdy zanadto cierpi, kiedyby się go chciało żalować, głupota jego paraliżuje wszelkie współczucie. Jest za głupi! Powiedz mu poprostu bardzo uprzejmie, że od tych scen chorujecie obaj, żeby nie przychodził, a że tego się najbardziej boi, będzie to miało kojący wpływ na jego nerwy — podszeptała pani Verdurin mężowi.

Zaledwie rozróżniało się morze przez okna po prawej. Ale przez okna z drugiej strony widać było dolinę, na którą spadł teraz śnieg księżycy. Od czasu do czasu dochodziły głosy Morela i Cottarda. „Ma pan atu? — *Yes*. — Wpadł pan! — rzekł p. de Cambremer do Morela w odpowiedzi na jego pytanie, bo widział w ręku doktora pełno atutów. — Oto kobita trefna — rzekł doktor. — Mam zaszczyt przedstawić to jako atu: ja bila, ja miała lewą. — Trefelki, kolorek niewielki — rzekł doktor do pana de Cambremer. — Czekaj pan — dodał pokazując przeciwnika, teraz urządzimy mu Waterloo.

I Waterloo musiało dobrze wypaść dla doktora, bo śmiejąc się w upojeniu zaczął rozkosznie poruszać ramionami, co było w jego rodzinie, w „plemieniu” Cottard, zoologiczną niemal oznaką zadowolenia. W poprzednim pokoleniu towarzyszył temu ruchowi gest zacierania rąk, tak jakby się je mydliło. Sam Cottard posługiwał się zrazu tą podwójną mimiką; ale pewnego pięknego dnia, niewiadomo dzięki jakiej interwencji — małżeńskiej, może profesorskiej? — zacieranie rąk znikło. Nawet grając w domino, kiedy zmuszał partnera do tego aby kapitulował i brał *podwójne sześć* — co było dla niego szczytem rozkoszy — Cottard zadowalał się ruchem ramion. A kiedy — możliwie najrzadziej — wpadał na kilka dni w rodzinne strony, wówczas, ujrawszy stryjecznego brata, który jeszcze trwał przy zacieraniu rąk, powiadał za powrotem do żony: „Pocziwy Michał wydał mi się bardzo pospolity”.

— Czy pan ma młode? — rzekł zwracając się do Morela. — Nie? Więc ja gram tego starego Dawida.

— Ale w takim razie pan ma pięć, wygrał pan!

— Piękne zwycięstwo, doktorze — rzekł margrabia.

— Zwycięstwo *à la* Pyrrus — rzekł Cottard, obracając się do margrabiego i patrząc nań z nad binokli, aby ocenić wrażenie tego cytatu. — Jeżeli mamy jeszcze czas — rzekł do Morela — dam panu rewanz. Ja robię. A, nie, już zajęchali, odłóżmy to do piątku, wytnę panu sztukę, sztukę mięsa.

Państwo Verdurin wyprowadzili nas. Pryncypalka była szczególnie miła dla Saniette’a, aby mieć pewność że wróci jutro. „I co, malcze, będzie panu dość ciepło? — rzekł do mnie Verdurin, któremu wiek pozwalał na tę ojcowską nomenklaturę. — Moznaby rzec, że czas się odmienił.” Słowa te napełniły mnie radością, tak jakby głębokie życie natury, wyrażające się przyplływem nowych kombinacji, miało oznajmiać inne zmiany w moim życiu, stwarzając w niem nowe możliwości. Już otwierając drzwi do parku w momencie odjazdu, czuło się, że inny „czas” wypełnia od paru chwil scenę; czuło się w świerkowym lesie (gdzie niegdyś pani de Cambremer marzyła o Chopinie), jak chłodny wietrzyk, rozkosz lata, rozpoczyna, ledwie wyczuwalnie, w pieszczotliwych skrętach, w kapryśnych wirach, swoje lekkie nokturny. Podziękowałem za pled, który w następane wieczory, będąc w towarzystwie Albertyny, miałem przyjmować raczej dla osłonięcia sekretów rozkoszy niż dla ochrony przed chłodem. Napróżno szukano norweskiego filozofa. Czy dostał boleści? Czy bał się spóźnić na pociąg? Czy zajęchał po niego samolot? Czy dostał cudu wniebowstąpienia? Fakt jest, że znikł, zanim ktoś miał czas się spostrzec — jak bóg.

— Żle pan robi — rzekł do mnie p. de Cambremer — jest psie zimno.

— Czemu psie? — spytał doktor.

— Niech się pan strzeże astmy — dodał margrabia. — Moja siostra nigdy nie wychodzi wieczorem. Zresztą ona jest teraz w nieszczęśliwej skórce. W każdym razie, niech pan tak nie stoi z gołą głową, niech pan prędko włoży kapelusz.

— To nie jest duszność *a frigore* — rzekł sentencjonalnie Cottard.

— A! a! — rzekł p. de Cambremer z ukłonem — skoro to jest pańska opinia...

— Opinia publiczna — rzekł doktor rzucając z nad binokli jowialne spojrzenie.

P. de Cambremer zaśmiał się, ale przekonany że ma rację, nalegał:

— Jednak — rzekł — ile razy siostra wyjdzie wieczór, ma atak.

— Tere fere! — odparł doktor, nie zdając sobie sprawy ze swojej niegrzeczności. Zresztą ja nie praktykuję nad morzem, chyba że mnie wezwą na konsylium. Jestem na wakacjach.

Był zresztą na wakacjach bardziej może niżby pragnął. Kiedy p. de Cambremer powiedział, siadając z doktorem do powozu: „Mamy szczęście posiadać w pobliżu (nie z pańskiej strony zatoki, z przeciwnej strony, ale jest tak wąska w tym miejscu) drugą sławę lekarską: doktora du Boulbon”, Cottard, który przez *deontologię* nie pozwalał sobie zazwyczaj na krytykowanie kolegów, nie mógł się wstrzymać od okrzyku, jak w ów nieszczęsny dzień, gdyśmy zaszli razem do małego kasyna:

— Ależ to nie jest lekarz! On uprawia medycynę literacką; to jest terapijka fantazyjna, szarlataneria. Zresztą, jesteśmy z sobą w najlepszych stosunkach. Wsiadłbym na statek, aby go odwiedzić któregoś dnia, gdybym nie musiał czasowo dezertować z tych stron.

Ale z miny jaką przybrał Cottard, mówiąc o doktorze du Boulbon, uczułem, że statek którym by go chętnie odwiedził, bardzo byłby podobny do owego statku, który, aby zniszczyć wody odkryte przez innego lekarza-literata, Wirgiliusza (odebrał im też całą klientelę), wynajęli doktorzy z Salerno, ale który zatonął wraz z nimi podczas przeprawy.

— Do widzenia, drogi Saniette, nie zapomnij pan wpaść jutro, pan wie, jak mąż pana lubi. Ceni pański dowcip, pańską inteligencję; ależ tak, pan wie najlepiej; on lubi parskać, zrzedzić, ale nie może się obyć bez pana. Zawsze pierwsze pytanie, które mi zadaje, to: „Czy Saniette będzie, tak go lubię widzieć u siebie.”

— Nigdy tego nie mówiłem — rzekł do Saniette’a Verdurin z udaną szczerością, która zdawała się wybornie godzić słowa pryncypalki ze sposobem w jaki on sam traktował Saniette’a. Potem, patrząc na zegarek, zapewne aby nie przeciągać pożegnań w wieczornym chłodzie, zalecił stangretom aby się nie wlekli, ale aby byli ostrożni przy zjeździe, i zapewnił że zdążymy przed pociągiem. Pociąg ten miał nas wysadzić grupkami na kolejnych stacjach, kończąc na mnie, bo nikt więcej nie jechał do samego Balbec, a zaczynając od Cambremerów. Wsiadali pierwsi: aby nie męczyć po nocy koni aż do Raspeliere, wsiadli na pociąg z nami w Douville-Féterne. W istocie nie była to najbliższa stacja od nich (była dość odległa od wsi, a bardziej jeszcze od zamku); najbliższa była Sogne. Za przybyciem na stację Douville-Féterne, pan de Cambremer chciał „wynadgrodzić”, jak mówiła Franciszka, stangreta Verdurinów (właśnie tego sympatycznego subtelного stangreta o melancholijnych nastrojach), bo margrabia był hojny i pod tym względem raczej „wdał się w mamę”. Ale wmieszała się w to „strona papy”; może dając zląkł się bądź omyłki swojej (gdyby np. źle widząc dał susa zamiast franka), bądź omyłki obdarowanego, gdyby ów nie spostrzegł rozmiarów datku. Toteż podkreślił go: „Daję ci franka, prawda” — rzekł do stangreta obracając w świetle srebrnika, tak aby wierni mogli to powtórzyć pani Verdurin. — Nieprawdaż, franka, bo to jest nieduży kurs.”

P. de Cambremer z żoną pożegnali nas w Sogne.

— Powiem siostrze — rzekł jeszcze na rozstaniu — że pan ma astmę, to ją z pewnością zainteresuje.

Zrozumiałem, że chce powiedzieć: „to jej zrobi przyjemność”. Co do pani de Cambremer, ta, żegnając się ze mną, użyła dwóch skrótów, które raziły mnie wówczas nawet w liście, mimo że później przyzwyczajono się do nich, ale które w mówieniu dziś jeszcze mają dla mnie w swoim rozmyślnym zaniedbaniu, w swojej sztucznej poufalości, coś nieznośnie pedanckiego: „Rada ze spędzonego z panem wieczoru — rzekła; — serdeczności Saint-Loup, jeśli go pan zobaczy.” Mówiąc to, pani de Cambremer wymawiała *Saint-Loupe*. Nigdy nie dowiedziałem się, kto tak wymawiał przy niej, lub co jej kazało wnosić że tak trzeba wymawiać. Faktem jest, że przez kilka tygodni wymawiała *Saint-Loupe*, i że człowiek, który miał dla niej wielki podziw i stanował z nią niejako jedno, czynił tak samo. Jeżeli inne osoby mówiły *Saint-Lou*, oni oboje akcentowali z tem większym naciskiem *Saint-Loupe*, czy aby dać pośrednio lekcję drugim, czy aby się odróżnić. Ale z pewnością kobiety świetniejsze od pani de Cambremer powiedziały jej, lub dały pośrednio do zrozumienia, że nie trzeba tak wymawiać, i że to, co ona bierze za oryginalność, jest błędem zdolnym jej wyrobić opinię osoby mało *au courant* „świata”, bo wkrótce potem pani de Cambremer zaczęła mówić *Saint-Lou*, a jej wielbiciel również poniechał wszelkiego oporu, czy że go wymustrowała, czy że zauważywszy iż ona już

nie wybija ostatniej głoski, powiedział sobie, że skoro kobieta tej wartości, tej energii i ambicji ustąpiła, musiała to uczynić z ważnych powodów.

Najgorszym z jej wielbicieli był własny mąż. Pani de Cambremer lubiła sobie pozwalać wobec drugich na żarciki często bardzo niegrzeczne. Skoro tylko zaatakowała w ten sposób bądź mnie bądź kogo innego, p. de Cambremer patrzył na ofiarę, śmiejąc się. Ponieważ margrabia zezował — co daje wesołości nawet głupców pozór dowcipu — śmiech ściągał nieco żrenicy na białko, które inaczej byłoby całkiem białe. Podobnie okno wśród obłoków wprowadza trochę błękitu w niebo watowane chmurami. Zresztą monokl margrabiego chronił niby szkło na cennym obrazie ten delikatny proces. Co do samej intencji śmiechu, nie wiedziało się zbytnio czy była uprzejma: „A, hultaj! Doprawdy, godzien jesteś zazdrości. Masz łaski u kobiety djablo inteligentnej.” Albo szelmoska: „Hehe, drogi panie, widzę że sobie kpią z pana na potęgę”; albo usłużna: „Bądź pan spokojny, ja jestem tutaj, biorę rzecz na wesoło, bo to jest czysty żart, ale nie pozwoliłbym się znęcać nad panem”; albo pełna okrutnego współnictwa: „Nie mogłem jeszcze sam panu dosolić, ale widzi pan, pękam ze śmiechu ze wszystkich szpileczek które panu aplikuje żona. Kulam się ze śmiechu, zatem apróbuję, ja, mąż. Toteż, gdyby panu przyszła ochota się obrażać, miałbyś ze mną do czynienia, paniczu. Najpierw wyciąłbym ci parę tęgich policzków, a potem skrzyżowałibyśmy szpady w lasach Chantepie.”

Jakibądź miały sens te różne interpretacje wesołości męża, wyskoki żony kończyły się rychło. Wówczas p. de Cambremer przestawał się śmiać, przelotna żrenica zniknęła, że zaś widz odzwyczał się od paru minut od całkowicie białego oka, dawało ono temu czerwonemu normandczykowi coś zarazem bezkrwistego i ekstatycznego, tak jakby margrabiego świeżo zoperowano, lub jakby z pod monokla błagał niebo o palmę męczeńską.

### ROZDZIAŁ III

*Smutki pana de Charlus. — Fikcyjny pojedynek. — Stacje „Transatlantyku”. — Zmęczony Albertyną, chcę z nią zerwać.*

Upadłem z senności. Zawiózł mnie windą na piętro nie windziarz, ale zezowaty groom, który wdał się ze mną w rozmowę, aby mi opowiedzieć, że siostra zawsze „się trzyma” z owym bogatym Panem, i że raz, kiedy miała ochotę wrócić do domu zamiast żyć przykładnie, Pan odszukał matkę zezowatego grooma i innych szczęśliwych dzieci, która-to matka corychlej odprowadziła tę warjatkę do jej protektora. „Pan wie, proszę pana, moja siostra to wielka dama! Gra na fortepianie, mówi po hiszpańsku. I czego by pan nie przypuszczał po siostrze prostego funkcjonariusza, który pana wiezie windą, nie odmawia sobie niczego, ma pokojówkę, nie dziwiłbym się gdyby miała kiedy własny powóz. Gdyby ją pan widział: jest bardzo ładna, trochę dumna, ale to można zrozumieć. Bardzo jest też dowcipna. Kiedy wyjeżdża z hotelu, zawsze się wypróżni do szafy, do komody, żeby zostawić pamiątkę pokojówce, która będzie musiała sprzątać. Czasami nawet załatwia to w dorożce i zapłaciwszy kurs chowa się gdzieś w kącie, żeby się uśmieć na widok pyskującego fiakra, który musi czyścić wehikuł. Ojciec też miał dobry pomysł, że wynalazł dla mego młodszego brata tego indyjskiego księcia, którego znał z dawniejszych czasów. Oczywiście, to inny rodzaj. Ale pozycja wspaniała. Gdyby nie podróże, toby był szczyt! Jedynie ja dotąd zostałem na lodzie. Ale nie można wiedzieć. Moja rodzina ma szczęście; kto wie, czy nie będę kiedy prezydentem Republiki. Ale ja tu gawędzę z panem (nie rzekłem ani słowa i zaczynałem zasypiać słuchając). Dobranoc panu. Och! dziękuję. Gdyby wszyscy mieli takie serce jak pan, nie byłoby biedaków. Ale, jak powiada siostra, zawsze będą potrzebni po to, żebym teraz, kiedy jestem bogata, miała na kogo d... wypinać. Daruje pan wyrażenie. Dobranoc panu”.

Być może, iż co wieczór przyjmujemy ryzyko przeżycia we śnie cierpień, które mamy za błahe i nie istniejące, dlatego że będziemy je odczuwali w czasie snu, który uważamy za pozbawiony świadomości. W istocie, w owe wieczory kiedy wracałem późno z la Raspelière, byłem bardzo śpiący. Ale od czasu gdy nastąpiły chłody, nie mogłem zaraz zasnąć, bo ogień świecił tak jakby się paliła lampa. Tylko że ten blask trwał krótko: to nazbyt żywe światło — również jak lampa, jak dzień z zapadnięciem wieczoru — przygasła niebawem; zaczęłam pogrążać się we śnie, będącym niby drugie mieszkanie, dokąd,

opuściwszy swój dom, poszlibyśmy spać. Ma ono swoje dzwonki, i czasami budzi nas gwałtownie ich dźwięk, doskonale słyszalny dla naszych uszu, mimo iż nikt nie dzwonił. Ma swoją służbę, swoich osobliwych gości, którzy zachodzą aby nas zabrać z sobą, tak iż gotowi jesteśmy wstać, kiedy musimy stwierdzić, na skutek naszego prawie natychmiastowego przeniesienia do innego mieszkania — owego z wczoraj — że pokój jest pusty, że nikt nie przyszedł. Plemię, które go zamieszkuje, jest — jak plemię pierwszych ludzi — obojnacze. Mężczyzna przybiera tam po chwili postać kobiety. Przedmioty zdolne są stawać się ludźmi, ludzie przyjaciółmi i wrogami. Czas, który upływa dla śpiącego w chwili takich snów, jest absolutnie różny od czasu w którym spełnia się życie człowieka na jawie. To bieg jego jest o wiele szybszy — kwadrans wydaje się dniem — to znów o wiele dłuższy; człowiek myśli że uciał lekką drzemkę, a spał cały dzień. Wówczas, na rydwanie snu, zstępujemy w głębinę, gdzie wspomnienie nie może go już osiągnąć i od których duch musiał zawrócić z drogi. Zaprzęg snu, podobny do zaprzęgu słońca, biegnie krokiem tak równym, w atmosferze gdzie nie może go już powstrzymać żaden opór, że trzeba jakiegoś małego obcego nam aerolitu (ciśniętego z lazuru przez coś Nieznanego), aby osiągnąć regularnego snu (który inaczej nie miałby żadnego powodu aby się przerwać i biegłby jednakim rytmem aż po wieki wieków) i kazać mu gwałtownym zwrotem wrócić do rzeczywistości, mijać postoje, przebyć regiony sąsiadujące z życiem, gdzie niebawem śpiący usłyszy jego odgłosy, jeszcze mętne ale już rozpoznawalne mimo iż zniekształcone — i wylądować nagle w przebudzeniu. Wówczas budzimy się z głębokich snów w jakiejś jutrzence, nie wiedząc kim jesteśmy, nie będąc niczem, nowi, gotowi do wszystkiego z mózgiem opróżnionym z owej przeszłości, która była dotąd życiem. A może jest jeszcze piękniej, kiedy lądowanie w jawę spełnia się brutalnie i kiedy nasze myśli sennie, wymknąwszy się przez klapę zapomnienia, nie mają czasu wrócić stopniowo, zanim sen ustanie. Wówczas z czarnej burzy, którą — jak nam się wydaje — przebyliśmy (ale nie mówimy nawet *my*) wypływamy otepiali, bez myśli — jakiegoś „my” wyzute z wszelkiej treści. Cóż za cios maczugi otrzymała ta istota lub rzecz, że oto nie wie nic — ogłupiała aż do chwili gdy nadbiegająca pamięć wróci jej świadomość lub osobowość? Ale gdy chodzi o te dwa sposoby budzenia się, nie trzeba zasypiać — nawet głęboko — pod znakiem przyzwyczajenia. Bo przyzwyczajenie czuwa nad wszystkim cokolwiek ujmie w swoje sieci; trzeba mu się wymknąć, zażyć snu w chwili gdy się myślało że się robi raczej wszystko inne niż śpi, słowem gdy sen nie znajduje się pod opieką przewidywania, w towarzystwie — bodaj ukrytem — refleksji. W tych przebudzeniach przynajmniej, takich jak je tu opisałem (a przeważnie były takie nazajutrz po obiedzie w la Raspelière), wszystko się działo właśnie tak: mogę to poświadczyć, ja, dziwny człowiek, który, czekając aż go śmierć oswobodzi, żyje przy zamkniętych okiennicach, nie wie nic o świecie, tkwi nieruchomo jak sowa, i jak sowa widzi nieco jedynie w ciemnościach. Wszystko się dzieje właśnie tak; ale może jedynie warstwa pakuł nie pozwoliła śpiącemu dosłyszeć wewnętrznego dialogu wspomnień oraz nieustannej paplaniny snu. Albowiem (co może się zresztą tłumaczyć równie dobrze w pierwszym systemie, obszerniejszym, bardziej tajemniczym, bardziej astralnym), w chwili gdy następuje przebudzenie, śpiący słyszy wewnętrzny głos, który mu powiada: „Czy przyjdiesz dziś na obiad, drogi przyjacielu, jakby to było miło?” — i myśli: „Tak, jakby to było miło, pójdę”; potem, kiedy się przebudzenie posuwa, przypomina sobie nagle: „Babcia ma tylko kilka tygodni do życia, powiada doktor”. Dzwoni, płacze na myśl, że to nie jak dawniej babka — umierająca babka — ale obojętny służący zjawi się na wezwanie. Zresztą, kiedy sen unosił go tak daleko poza świat zamieszkały przez wspomnienie i przez myśli, poprzez jakiś eter gdzie był sam, bardziej niż sam, nie mając nawet *samemu siebie*, tego towarzysza w którym uświadamiamy się sobie — był poza czasem i jego miarą. Już służący wchodzi i on nie śmie spytać go o godzinę, bo nie wie czy spał, ile godzin spał (pyta sam siebie, czy to nie jest „ile dni”, tak dalece powraca stamtąd zmęczony ciałem a wypoczęty duchem, z sercem pełnym tęsknoty, niby z podróży zbyt dalekiej aby mogła nie trwać długo). Z pewnością, można twierdzić, że istnieje tylko jeden czas, dla tej błahej przyczyny, że, patrząc na zegar, stwierdziliśmy, iż to, cośmy uważali za dzień, było tylko kwadransiem. Ale w chwili kiedy to stwierdzamy, jesteśmy właśnie człowiekiem obudzonym, zanurzonym w czasie ludzi obudzonych, zbiegliśmy z innego czasu. Może nawet więcej niż z innego czasu: z innego życia. Przyjemności, których kosztujemy we śnie, nie wliczamy do przyjemności

doznawanych w ciągu naszego istnienia. Aby wspomnieć jedynie najgrubiej zmysłową ze wszystkich, któż z nas, przy przebudzeniu, nie odczuwał nieco irytacji, że doznał w czasie snu rozkoszy, której — jeżeli się nie chce zbyt zmęczyć — nie może, obudzony, powtarzać tego dnia nieograniczenie. To jest niby stracone dobro. Mieliliśmy przyjemność, ale w innym życiu, które nie jest naszym. Jeżeli wprowadzamy w bilans cierpienia i rozkosze snu (które naogół pierzchają bardzo szybko po przebudzeniu), to nie w bilans bieżącego życia.

Powiedziałem *dwa czasy*; może jest tylko jeden, nie iżby czas człowieka na jawie obowiązujący był dla śpiącego, ale może dlatego, że drugie życie — to w którym śpimy — nie podlega — w głębszej warstwie — kategorjom czasu. Wyobrażałem to sobie, kiedy, po owych obiadach w la Raspelière, zasypiałem tak całkowicie. Oto czemu. Zaczynałem wpadać w rozpacz po przebudzeniu, kiedy, mimo że dzwonił dziesięć razy, służący nie przychodził. Po jedenastym dzwonku zjawiał się. I to był pierwszy dzwonek. Dziesięć innych, to były jedynie szkice — zrobione jeszcze w czasie snu — szkice aktu dzwonięcia, który chciałem wykonać. Moje zdrewniałe ręce nawet się nie poruszyły. Otóż, w te poranki (i to mnie utwierdza w mniemaniu, iż może sen nie zna praw czasu) wysiłek mój dla przebudzenia się polegał zwłaszcza na wysiłku, aby ciemny nieokreślony blok snu, który właśnie przeżyłem, wprowadzić w ramy czasu. To nie jest łatwe zadanie; sen, który nie wie czyśmy spali dwie godziny czy dwa dni, nie może nam dać żadnego punktu zaczepienia. A jeżeli nie znajdziemy go poza sobą, wówczas, nie mogąc wrócić w czas, znów zasypiamy — na pięć minut, które się nam zdają trzema godzinami.

Mówiłem zawsze — i doświadczyłem tego — że najpotężniejszym z środków nasennych jest sen. Skoro się prześpi głęboko dwie godziny, nawalczy z tyłoma olbrzymami i zawiąże na zawsze tyle przyjaźni, o wiele trudniej jest obudzić się, niż po zażyciu kilku gramów weronalu. Toteż, wnioskując z jednego o drugim zdziwiłem się, dowiadując się przez norweskiego filozofa, który usłyszał o tem od pana Boutroux, „swego znakomitego kolega — przepraszam, kolegi” — co pan Bergson myśli o swoistych zmianach pamięci pod wpływem środków nasennych. „Oczywiście — miał powiedzieć Bergson do Boutroux, jeżeli wierzyć norweskiemu filozofowi — środki nasenne, zażyte od czasu do czasu w umiarkowanych dawkach, nie mają wpływu na solidną pamięć naszego codziennego życia, tak dobrze w nas ugruntowaną. Ale istnieją inne pamięci, wyższe, a także mniej stałe. Jeden z moich kolegów wyklada historię starożytną. Powiedział mi, że jeżeli w wilję wziął proszek na spanie, trudno mu w czasie wykładu odnaleźć w głowie potrzebne greckie cytaty. Doktor, który mu zalecił te proszki, zapewnił go, że są bez wpływu na pamięć. „Widocznie pan nie potrzebuje greckich cytatów”, odpowiedział historyk nie bez ironicznej dumy.

Nie wiem, czy ta rozmowa pana Bergsona z p Boutroux jest ścisła. Norweski filozof, mimo iż tak głęboki i jasny, i tak żarliwie uważny, mógł źle zrozumieć. Mnie osobiście, doświadczenie dało przeciwne wyniki. Chwile zapomnienia, będące następstwem pewnych narkotyków, mają częściowe tylko ale niepokojące podobieństwo z zapomnieniem, panującym w czasie naturalnego i głębokiego snu. Otóż w jednym i w drugim wypadku, zapomnienie tyczy nie jakiegoś wiersza Baudelaire’a, który mnie raczej nuży „jak cymbały”; nie tezy któregoś z cytowanych wyżej filozofów; ale samej rzeczywistości pospolitych rzeczy które mnie otaczają we śnie, a których nie percypowanie robi ze mnie warjata; nęka mnie — kiedy się obudzę i tem samym wyrwę się ze sztucznego snu — nie system Porfirjusza lub Plotyna, o których mogę dysputować nie gorzej niż zwykle, ale odpowiedź na jakieś zaproszenie, którą przyrzekłem dać a której pamięć zajęła kompletna luka. Myśli wyższej kategorii zostały na swoim miejscu; jeżeli co unicestwił środek nasenny, to zdolność działania w drobnych rzeczach, we wszystkim co wymaga energii aby pochwycić na czas i odnaleźć jakieś wspomnienie codziennego życia. Mimo wszystko co można by rzec o trwaniu życia po zniweczeniu mózgu, stwierdzam, że każdemu uszkodzeniu mózgu odpowiada jakiś fragment śmierci. Posiadamy wszystkie nasze wspomnienia, choćby utopione w stanie niepamięci — powiada za Bergsonem wielki filozof norweski, którego wysłowienia nie staram się naśladować, aby nie zwalniać jeszcze opowiadania. Ale co znaczy wspomnienie, którego się nie pamięta? Albo też idźmy dalej. Nie przypominamy sobie swoich wspomnień z ostatnich trzydziestu lat, ale cali jesteśmy w nich zanurzeni; czemu zatem ograniczać się do tych trzydziestu lat, czemu nie przedłużyć tego dawniej-

szego życia poza urodzenie? Z chwilą gdy nie znam całej partji wspomnień będących za mną, z chwilą gdy są dla mnie niewidzialne, kiedy nie mam zdolności przywołania ich do siebie, kto mi powie, czy w owej nieznannej mi masie nie ma takich, któreby sięgały o wiele poza moje ludzkie życie? Jeżeli mogę mieć w sobie i dokoła siebie tyle wspomnień, których sobie nie przypominam, zapomnienie to (przynajmniej zapomnienie faktyczne, skoro nie mam zdolności widzenia czegokolwiek) może się odnosić do życia, którem przeżył w ciele innego człowieka, nawet na innej planecie. Jednakże zapomnienie wymazuje wszystko. Ale wówczas, cóż znaczy ta nieśmiertelność duszy, o której rzeczywistości upewnia norweski filozof? Istota, którą będę po śmierci, tak samo nie ma racji przypominać sobie o człowieku którym jestem od urodzenia, jak ten nie przypomina sobie czem byłem przed niem.

Wchodził służący. Nie mówiłem mu, że dzwoniłem wiele razy, bo sobie zdawałem sprawę, że dotąd tylko mi się śniło że dzwoniłem. Przeraziła mnie wszelako myśl, że ten sen miał jasność świadomości. Czyżby świadomość miała — naodwrot — nierealność snu?

W zamian za to pytałem go, kto tak dzwonił w nocy. Odpowiadał że nikt, i mógł tak twierdzić, bo „tabela” dzwonek byłaby to zaznaczyła. Mimo to, slyszalem odgłosy powtarzające się, niemal wściekle, które drgały mi jeszcze w uszach i które miałem odczuwać przez szereg dni. Bądź co bądź, rzadko się zdarza, aby tak w życiu na jawie sen wtrącił wspomnienia, nie umierające wraz z nim. Można policzyć te aerolity. Jeżeli to jest jakaś myśl wytworzona przez sen, rozkłada się ona szybko na drobne, nie podobne do odnalezienia fragmenty. Ale tu sen sfabrykował dźwięki. Materjalniejsze i prostsze, trwały one dłużej. Zdziwiła mnie wczesna stosunkowo godzina, którą mi oznajmił służący. Czulem się, mimo to, wypoczęty. Raczej lekkie sny trwają długo, bo będąc czemś pośredniem między jawą a snem, zachowując z jawy zatartą nieco ale ciąglą świadomość, potrzebują nieskończenie więcej czasu aby nam przynieść wypoczynek; natomiast sen głęboki może być krótki. Czulem się bardzo dobrze z innej przyczyny. O ile wystarcza sobie przypomnieć że się jest zmęczonym aby odczuć dotkliwie zmęczenie, w zamian powiedzieć sobie „wypocząłem” wystarczy aby stworzyć uczucie wypoczynku. Otóż, śniło mi się że p. de Charlus ma sto dziesięć lat i że wyciął właśnie kilka policzków własnej matce; że pani Verdurin kupiła za pięć miliardów bukietek fiołków; byłem tedy pewny, że spałem głęboko, że śniłem nawspak pojęciom jakie mogłem mieć na jawie oraz wszystkim możliwościom bieżącego życia; to wystarczało, abym się czuł doskonale wypoczęty.

Zdziwiłbym bardzo matkę, która nie mogła zrozumieć nadszłości pana de Charlus Verdurinom, gdybym jej opowiedział (właśnie w dniu gdy zamówiłem toczek Albertyny, nic nie mówiąc, żeby jej zrobić niespodziankę), z kim p. de Charlus przyszedł na obiad na salę w Grand Hotelu w Balbec. Gościem był nie kto inny, jak lokaj kuzynki Cambremérów. Lokaj ów ubrany był bardzo wytwornie i kiedy mijał z baronem hall, robił „świat” (jakby powiedział Saint-Loup) na intencję gości hotelowych. Nawet młodzi strzelcy, „lewicy” w tej chwili schodzący tłumem po stopniach świątyni (bo to był moment zmiany służby), nie zwrócili uwagi na dwóch przybyłych, z których jeden, p. de Charlus, miał oczy spuszczone, aby okazać, że i on nie interesuje się nimi. Robił wrażenie, że sobie toruje drogę pośród nich. „Kwitnij, droga nadziejo świętego narodu” — powiadał, przypominając sobie wiersze Racine’a, użyte w całkiem innym sensie. „Co proszę?” spytał lokaj niezbyt obyty z klasykami. P. de Charlus nie odpowiedział mu, bo wkładał niejaką dumę w to aby się nie liczyć z pytaniami i aby iść przed siebie prosto tak jakby nie było innych gości w hotelu i jakby istniał w świecie tylko on jeden, baron de Charlus. Ale ciągnąc dalej wiersze Josabety: „Pójdźcie, pójdźcie, dziewczęta”, uczuł niesmak i nie dodał jak ona: „Trzeba je zawołać”, bo ta młodzież nie doszła jeszcze wieku, w którym pleć jest całkiem zdeklarowana i który podobał się panu de Charlus. Zresztą, jeżeli napisał do lokaja pani de Chevreigny (ponieważ nie wątpił o jego gotowości), wyobrażał go sobie bardziej męskim. Zbliża wydał mu się bardziej zniewieściał, niżby baron pragnął. Oznajmił mu, iż myślał że chodzi o kogo innego, bo znał z widzenia innego lokaja pani de Chevreigny, którego w istocie zauważył na kozle. Tamten był kawal ordynarnego chłó-

pa, całkowity kontrast tego, który przeciwnie, uważając własne mizdrzenie za szczególny urok i nie wątpiąc że to jego światowa dystynkcja uwiodła pana de Charlus, nie domyślił się nawet, o kim baron mówi. „Ależ ja nie mam innych kolegów, prócz jednego, który nie mógł pana zainteresować, jest okropny, robi wrażenie skończonego chama”. I na myśl, że to może tego chama baron zauważył, doznał ukłucia miłości własnej. Baron odgadł to, ale, prowadząc dalej swoją ankietę, rzekł:

— Ależ ja nie zrobiłem specjalnego ślubu, żeby znać tylko ludzi pani de Chevreigny. Czy mógłbyś mi przedstawić — tu, czy w Paryżu — skoro niebawem wracasz — swoich kolegów ze znajomych ci domów?

— Och, nie — odparł lokaj — ja nie żyję z nikim z mojej klasy. Odzywam się do nich jedynie w służbie. Ale jest ktoś *bardzo dobrze*, z kim mógłbym pana zapoznać.

— Kto taki? — spytał baron.

— Księżę Gilbert de Guermantes.

P. de Charlus uczuł się urażony, że mu proponują jedynie człowieka w tym wieku i do którego nie potrzebował zresztą polecenia lokaja. Toteż oschle uchylił tę propozycję i nie zrażając się światowymi pretensjami fagasa, zaczął mu jeszcze raz tłumaczyć, czego by on chciał, rodzaj, typ, może być żokiej, etc... Bojąc się, czy rejent, który przechodził właśnie, nie dosłyszał, udał niby to sprytnie, że mówi całkiem o czym innym niżby można było przypuszczać i rzekł dobitnie i głośno, tak jakby ciągnął poprzednią rozmowę:

— Tak, mimo swoich lat, wciąż jestem namiętnym kolekcjonerem, palę się wprost do ładnych drobiazgów, zdolny byłbym do szaleństw dla starego bronzu, dla antycznego świecznika. Ubóstwiam Piękno.

Ale, aby uprzytomnić lokajowi zmianę tematu dokonaną tak szybko, p. de Charlus kładł taki nacisk na każde słowo, co więcej, aby być słyszany przez rejenta, krzyczał tak mocno, że cała ta komedia wystarczałaby aby zdradzić jego sekret uszom bystrzejszym niż uszy tego stróża praw. Rejent nie domyślił się niczego, tak samo jak inni goście; wszyscy ujrzeli w świetnie ubranym lokaju jedynie wytwornego turystę. Ale, o ile ludzie światowi złapali się na to i wzięli go za szykownego Amerykanina, służba hotelowa — zaledwie się pokazał — odgadła go tak, jak galernik poznaje galernika, a nawet szybciej jeszcze zwęszyła go na odległość, jak zwierzę poznaje węchem inne zwierzę. Starsi kelnerzy podnieśli głowy, Aimé rzucił podejrzliwe spojrzenie. Wzruszając ramionami i zasłaniając usta bo uważał że to jest grzeczniej, piwniczny sformułował kategoryczny sąd w sposób słyszalny dla wszystkich. I nawet nasza stara Franciszka, której wzrok podupadał a która przechodziła w tej chwili przez hall idąc na obiad do kredensu, podniosła głowę, poznała lokaja niepodejrzewanego przez hotelowych gości — jak stara niańka Euryklea poznaje Ulissesa o wiele wprzód niż zalotnicy gotujący się do uczty — i widząc jak p. de Charlus kroczy z nim poufale, przybrała wyraz przygnębienia, tak jakby nagle wszystko złe co słyszała i w co nie wierzyła, nabrało w jej oczach smutnego prawdopodobieństwa. Nie mówiła nigdy o tem zająsci mnie ani nikomu, ale musiało ono zadać jej mózgowi znaczną pracę, bo później, za każdym razem kiedy miała w Paryżu sposobność widzieć „Juljana” którego dotąd tak lubiła, była z nim zawsze uprzejma ale chłodna i z wielką rezerwą.

To samo wydarzenie skłoniło przeciwnie kogoś innego do zwierzeń, mianowicie Aimégo. Kiedym minął pana de Charlus, baron, który nie spodziewał się mnie spotkać, skinął mi ręką rzucając „dobrywieczór” z obojętnością (pozorną przynajmniej) wielkiego pana, który sądzi że mu wszystko wolno i woli udawać że się nie kryje przed nikim. Otóż, Aimé, który w tej chwili obserwował nieufnie barona i ujrzawszy że ja się kłaniam towarzyszowi osobnika pachnącego dłoń na miłą lokajem, spytał mnie tego wieczora, kto to taki. Bo od jakiegoś czasu, Aimé lubił rozmawiać, lub raczej, jak on to nazywał (bezwątpienia aby zaznaczyć charakter — wedle niego filozoficzny — tych gawęd), lubił „dyskutować” ze mną. Że zaś powiadałem mu często, iż mnie to krępuje aby on stał koło mnie podczas gdy jem obiad, zamiast żeby usiadł i podzielił mój posiłek, oświadczył że nigdy nie widział gościa, któryby „miał tak zdrowe poglądy”. Aimé rozmawiał w tej chwili z dwoma garsonami. Ukłonili mi się; nie wiem czemu twarze ich były mi nieznanne, mimo iż brzmienie głosów nie było mi całkiem nowe. Aimé lajał obu z powodu ich zaręczyn które potępiał. Wziął mnie na świadka; rzekłem, iż nie mogę mieć zdania, skoro ich nie znam. Przypomnieli mi swoje imiona i że często obsługiwali mnie w Rivebelle. Ale jeden zapuścił wąsy, drugi ogolił je i dał się ostrzyć; i z tej przyczyny, mimo iż na ich ramionach spoczy-

wała dawna głowa (nie zaś inna, jak w błędnych rekonstrukcjach kościoła Notre-Dame), stała mi się ona równie niewidzialna jak owe przedmioty, które umykają się najdrobiazgowszym poszukiwaniom, walają się poprostu na oczach wszystkich — nie widzialne tym oczom — na kominku. Z chwilą kiedy usłyszał ich imiona, ściśle rozpoznałem nieuchwytną muzykę ich głosu, bom ujrzał dawne twarze, które ją określały. „Chcą się żenić, a nie umieją nawet po angielsku!” — wykrzyknął Aimé, któremu nie przyszło na myśl, że ja słabo jestem obznajomiony z zawodem hotelarskim i nie zdaję sobie sprawy, że o ile ktoś nie zna obcych języków, nie może liczyć na „stanowisko”.

Sądząc iż Aimé dowiedziałby się łatwo, że nowy gość jest baronem de Charlus i wyobrażając sobie nawet, że on go sobie musi przypominać (ile że podawał do stołu, kiedy, za mego pierwszego pobytu w Balbec, baron zjawił się, aby odwiedzić panią de Villeparisis), nie robiłem sekretu z jego nazwiska. Otóż, nietylko Aimé nie przypominał sobie barona de Charlus, ale to nazwisko najwidoczniej wywarło na nim głębokie wrażenie. Powiedział mi, że nazajutrz poszuka w swoich rzeczach listu, który zdołałbym mu może wytłumaczyć. Czulem się tem bardziej zdziwiony, ile że p. de Charlus, kiedy mi chciał dać książkę Bergotte’a w pierwszym roku Balbec, specjalnie kazał wezwać Aimégo, później zaś musiał go spotkać w owej restauracji w Paryżu, gdzie byłem na śniadaniu z Robertem i jego kochanką i gdzie nas Charlus szpiegował. Prawda, że Aimé nie mógł osobiście dopełnić tych misyj, bo za pierwszym razem już spał, a za drugim był w trakcie obsługiwanego. Miałem wszelako wielkie podejrzenia co do jego szczerości, kiedy twierdził, że nie zna pana de Charlus. Z jednej strony mógł wpaść w oko baronowi. Jak wszyscy garsoni w hotelu w Balbec, jak wielu lokajów księcia Gilberta, Aimé należał do rasy dawniejszej niż rasa księcia, zatem szlachetniejszej. Kiedy się prosiło o gabinet, myślało się zrazu że się jest samym. Ale niebawem spostrzegano się w kredensie posagowego kamerdynera, z owego etrusko-rudego rodzaju, którego Aimé był typem, nieco postarzałego od nadużyć szampana i czującego zbliżającą się kurację w Contrexeville. Nie wszyscy klienci żądali od nich tylko obsługi. Młodzi garsoni, pełni skrupułów, spieszący się, mający kochankę na mieście, wymykali się. Toteż Aimé wyrzucał im, że nie biorą życia serjo. Miał prawo. On był człowiekiem serjo. Miał żonę i dzieci, i miał dla nich ambicję. Toteż nie odpychał awansów jakie mu robił gość żeński lub męski, choćby trzeba było zostać całą noc. Bo praca przedewszystkiem. Był tak dalece w typie, który się mógł podobać panu de Charlus, że podejrzewałem go o kłamstwo, kiedy mi powiedział że nie zna barona. Myliliem się. Całkiem szczerze groom powiedział wówczas baronowi, że Aimé (który mu zmył głowę nazajutrz) położył się (lub wyszedł), a innym razem, że jest w służbie. Ale wyobraźnia roi ponad rzeczywistość. I zakłopotanie grooms obudziło zapewne w panu de Charlus co do szczerości jego wymówek wątpliwości, które zraniły w nim uczucie nie podejrzewane przez Aimégo. Widziano też, że Saint-Loup nie pozwolił Aimému iść do powozu, gdzie p. de Charlus, który, sam nie wiem jak, wystarał się o nowy adres kelnera, doznał jeszcze raz zawodu. Aimé, który nie zauważył barona, odczuł łatwe do pojęcia zdziwienie, kiedy wieczorem tego samego dnia gdy byłem na śniadaniu z Robertem i jego kochanką, otrzymał list zapieczętowany herbem Guermantów. Zacytuję tu kilka ustępów listu, jako przykład cząstkowego szaleństwa u inteligentnego człowieka zwracającego się do zdrowego na umyśle głupca.

„Łaskawy panie, mimo starań które zdziwiły by wielu, zabiegających napróżno o moją znajomość i o mój ukłon, nie mogłem uzyskać tego, abyś pan wysłuchał paru wyjaśnień. Nie żądałeś ich pan odemnie, ale uważałem za sprawę mojej i pańskiej godności udzielić mu ich. Napiszę zatem to, co byłoby mi łatwiej powiedzieć ustnie. Nie będę ukrywał, że za pierwszym razem, kiedy go ujrzałem w Balbec, fizjognomja jego wydała mi się wręcz antypatyczna”. (Następowały refleksje o podobieństwie — zauważyłem aż na drugi dzień ze zmarłym przyjacielem, do którego p. de Charlus był bardzo przywiązany). „Powziąłem wówczas myśl, że pan mógłby, nie ponosząc żadnych szkód w swoim zawodzie, zająć do mnie czasem na partyjkę kart, która wesołością swoją zdołałaby rozproszyć mój smutek, dałaby mi złudzenie, że on nie umarł. Nie myślę dochodzić natury mniej lub więcej głupich przypuszczeń, jakie pan zapewne uczynił, bardziej dostępnych dla sługusa (nie godnego nawet tego miana, skoro nie chciał służyć) niż zrozumienie tak wzniosłego uczucia. Chciał pan sobie przydać wagi, niby to nie wiedząc kim i czym jestem, każąc mi odpowiedzieć, kiedy go prosił o książkę, że już śpi: otóż błędem z jego strony jest



przypuszczać, że chamstwo może dodać wdzięku, którego pan jesteś zresztą całkowicie pozbawiony. Byłbym na tem skończył, gdybym przypadkiem nie spotkał pana nazajutrz rano. Pańskie podobieństwo do mego biednego przyjaciela zaakcentowało się tak bardzo — zacierając nawet przykry kształt pańskiej wystającej brody — iż zrozumiałem, że to zmarły w tej chwili użycza ci swego pocziwego wyrazu twarzy, aby ci dać możliwość przedjednania mnie i nie stracenia jedynej szansy, jaka się panu nastęrcza. W istocie, mimo że nie chcę — skoro wszystko już jest bezprzedmiotowe i skoro już nie będę miał sposobności spotkać pana w życiu — mieszać w to brutalnych spraw materialnych, z radością uległbym prośbom zmarłego (wierzę bowiem w świętych obcowanie i w ich współudział w losie żywych), aby z panem postąpić tak jak z nim samym. Otóż trzeba abyś pan wiedział, że on miał swój powóz i służbę, i całkiem naturalne było, żem na niego obracał większą część dochodów, skorom go kochał jak syna. Rozstrzygnąłeś pan inaczej. Na moją prośbę, abyś mi przyniósł książkę, kazałeś odpowiedzieć, żeś musiał wyjść. I dziś rano, kiedym pana kazał wezwać do powozu, zaparłeś się mnie pan — jeśli wolno mi tak rzec bez świętokradztwa — po raz trzeci. Daruje pan, że nie wkładam do tej koperty wygórowanych napiwków które spodziewałem się mu wręczyć w Balbec i do których byłoby mi zbyt ciężko ograniczyć się w stosunku do kogoś, z kim pragnąłem przez chwilę podzielić wszystko. Conajwyżej mógłbyś mi pan oszczędzić w swojej restauracji czwartego daremnego kroku, do którego cierpliwość moja się posunie. (Tutaj, p. de Charlus podał adres, godziny w których go można zastać, etc.) Żegnam pana, Ponieważ sądzę, iż będąc tak podobny do mego zmarłego przyjaciela, nie może pan być całkowitym idjotą (inaczej fizjognomika byłaby wiedzą żałośnie kłamiwą), jestem przekonany, że kiedyś, jeśli pan sobie przypomnisz to zdarzenie, nie będzie to bez pewnego żalu i wyrzutu. Co do mnie, niech mi pan wierzy, że bardzo szczerze nie zachowuję żadnej urazy. Wolałbym abyśmy się rozstali z mniej gorzkim wspomnieniem niż ten trzeci daremny krok; ale będzie on rychło zapomniany. Jesteśmy jak owe okręty, któreś pan musiał widzieć czasem w Balbec: — skrzyżowały się przez chwilę, byłoby może z korzyścią dla obu zatrzymać się, ale jeden z nich uznał inaczej; rychło nie dojrzą się nawet na widnokregu, wszelki ślad spotkania się zatrze; ale przed ostatecznym rozstaniem, pozdrawiają się wzajem — oto co właśnie czyni, życząc mu powodzenia, baron de Charlus.”

Aimé nie przeczytał nawet do końca tego listu, nie rozumiejąc nic, bojąc się mistyfikacji. Kiedym mu wytłumaczył kim jest baron, zadumał się chwilę i odczuł ów żal, który mu p. de Charlus przepowiadał. Nie przysiągłbym nawet, czy nie napisał wówczas listu z przeprosinami do człowieka, który rozdaje powozy swoim przyjaciółom! Ale tymczasem p. de Charlus poznał Morela. Co najwyżej — wobec tego że stosunki z Morelem były może platoniczne — p. de Charlus szukał czasem na jeden wieczór towarzystwa, jak to, w którym spotkałem go w hału. Ale nie mógł już odwrócić od Morela gwałtownego uczucia, które kilka lat wprzód gotowe było skupić się na osobie Aimégo, dyktując baronowi ten list, za który wstydzilem się za niego. List ten — jako objaw wzdarczonej przez społeczeństwo miłości którą płonął p. de Charlus, był tem bardziej uderzającym przykładem ślepej i potężnej siły, jaką mają te porywy, w których zakochany, niby pływak bezwiednie unoszony prądem, rychło traci ziemię z oczu. Bezwątpienia, miłość człowieka normalnego również pozwala niekiedy zmierzyć dość znaczne odchylenie dwóch ramion cyrkla, kiedy kochanek, pod wpływem kolejnego działania pragnień, żalów, zawodów, projektów, zbuduje cały romans o nieznaomej kobiecie; jednakże to swoiste rozchylenie zwiększało się tu szczególnie wskutek charakteru namiętności przeważnie nie podzielanej i wskutek przepaści socjalnej między panem de Charlus a Aimém.

Codziennie robiłem spacer z Albertyną. Zdecydowała się wrócić do malarstwa; jako model wybrała zrazu kościół Saint-Jean de la Haise, nie odwiedzany już przez nikogo a znany mało komu, trudny do dopytania się, niepodobny do odnalezienia bez przewodnika, daleki w swoim osamotnieniu, blisko o pół godziny od stacji Epreville, bardzo odległy od ostatnich domów Qu'elleholme. (Co się tyczy nazwy Epreville, nie mogłem uzgodnić książki proboszcza z objaśnieniami Brichota. Wedle jednego, Epreville to była dawna *Spreuilla*; drugi podawał etymologję *Aprivilla*.) Za pierwszym razem wsiedliśmy do kolejki w kierunku przeciwnym Féterne, to znaczy w stronę Grattevaste. Ale był wielki upał, tak iż ciężko było jechać zaraz po śniadaniu. Byłbym raczej wolał nie opuszczać domu tak wcześnie; rozżarzone i skwarne powietrze skłaniało do spoczynku i chłodu. Wypeł-

niało nasze pokoje — matki i mój — zależnie od ich położenia, różną temperaturą, niby kabiny kąpielowe. Gotowalnia mamy, ustrojona w festony przez słońce o olśniewającej i mauretańskiej białości, robiła wrażenie jakby ją wpuszczono w głąb studni, z powodu czterech tynkowanych ścian na które wychodziła, podczas gdy w samej górze, w próżnym kwadracie, niebo, po którym ślizgały się miękkie i spiętrzone fale, zdawało się (z powodu ochoty jaką budziło) sadzawką bądź położoną na jakim tarasie, bądź widzianą na wywrót w lustrze przymocowanym do okna, pełną błękitnej wody przeznaczonej na ablucje.

Mimo tego żaru, wybraliśmy się na pociąg odchodzący o pierwszej. Ale Albertynie było bardzo gorąco w wagonie, bardziej jeszcze w drodze pieszo; bałem się, aby się nie zziębiła siedząc potem nieruchomo w tym wilgotnym parowie, dokąd nie dochodzi słońce. Z drugiej strony, zdawszy sobie sprawę, od czasu pierwszych naszych wizyt u Elstira, że ona oceniłaby nie tylko zbytek ale nawet pewien komfort, którego pozbawiał ją brak pieniędzy, porozumiałem się z przedsiębiorcą z Balbec, aby codzień przysyłał po nas powóz. Aby było mniej gorąco, jechaliśmy lasem Chantepie. Niewidzialność niezliczonych ptaków — niektórych nawpół morskich — nawołujących się koło nas w drzewach, dawał to samo wrażenie spokoju, jakie się ma z zamkniętymi oczami. Siedząc obok Albertyny, okolony jej ramionami w głębi powozu, słuchałem tych Oceanid. I kiedy przypadkiem spostrzegłem którego z tych muzyków przemykających się z jednego liścia pod drugi, związek między nim a jego śpiewem był tak nieuchwytny, że zaledwie mogłem dojrzeć przyczynę śpiewu w małym ciałku podskakującym, pokornym, dziwnym i pozbawionym spojrzenia.

Powóz nie mógł nas zawieźć aż do kościoła. Kazałem stanąć tuż za Quetteholme i żegnałem się z Albertyną. Bo ona przestraszyła mnie, mówiąc o tym kościele, jak o innych zabytkach, o pewnych obrazach: „coby to była za przyjemność oglądać to z tobą!” Nie czułem się zdolny dać jej tej przyjemności. Odczuwałem ją wobec pięknych rzeczy jedynie wówczas gdy byłem sam, lub udawałem że jestem sam i milczałem. Ale skoro ona sądziła że mogłaby doznać dzięki mnie wrażeń artystycznych nie udzielających się w ten sposób, uważałem za przeczniejsze pożegnać ją, powiedzieć że przyjadę po nią przed wieczorem, ale że teraz muszę wracać powozem aby jechać do pani Verdurin lub do Cambremérów, lub nawet aby spędzić godzinę z mamą w Balbec — ale nigdy dalej. Przynajmniej w pierwszych czasach. Bo kiedy Albertyna powiedziała raz przez kaprys: „To głupie, że natura tak źle rozmieściła wszystko, że kościół Saint-Jean de la Haise jest z jednej strony a la Raspelière z drugiej i że się jest na cały dzień uwięzionym w miejscu, które się wybrało”; wówczas, z chwilą gdy nadszedł toczek i woal, zamówiłem, na swoje nieszczęście, samochód w Saint-Fargeau (*Sanctus Ferreolus*, wedle książki proboszcza). Albertyna, nie wiedząc o niczym, przyszedłszy do mnie, zdziwiła się, słysząc przed hotelem warczenie motoru; wpadła w zachwyt, kiedy powiedział, że to dla nas. Zaprowadziłem ją na chwilę do pokoju. Skakała z radości.

— Pojedziemy z wizytą do Verdurinów — rzekła.

— Tak, ale lepiej byłoby, żebyś nie jechała w tym stroju, skoro masz mieć swoje auto. O, tak będzie ci bardziej do twarzy.

I wyjąłem toczek i woal z ukrycia.

— To dla mnie! Och, jakiś ty milusi — krzyknęła, rzucając mi się na szyję.

Aimé, który spotkał nas na schodach, dumny z elegancji Albertyny i z naszego środka lokomocji (bo auta były dość rzadkie w Balbec), odprowadził nas z widoczną przyjemnością. Albertyna pragnęła, aby ją widziano w nowej toalecie; prosiła żebym kazał spuścić daszek, który podniesie się potem abyśmy mogli być swobodnie razem.

— No, ty — rzekł Aimé do szofera, którego nie znał zresztą i który się nie ruszył — nie słyszysz, że masz spuścić daszek? — Bo Aimé, wyrobiony w życiu hotelowym, w którym zdobył sobie zresztą wybitne stanowisko, nie był tak nieśmiały jak stangret, dla którego Franciszka była „damą”; mimo braku uprzedniej prezentacji, tykał bez ceremonii plebejuszów, których nigdy wprzód nie widział, przyczem trudno było osądzić, czy to jest z jego strony arystokratyczna wzgarda czy ludowe braterstwo.

— Nie jestem wolny — odparł szofer, który mnie nie znał. Zamówiono mnie dla panny Simonet. Nie mogę jechać z tym panem.

Aimé wybuchnął:

— Ech! słuchaj ty ciemnego — odparł szoferowi, którego przekonał natychmiast; — to jest właśnie panna Simonet, a ten pan, co ci każe spuścić budę, to właśnie twój gość.

Że zaś Aimé, mimo iż nie mając osobiście sympatji do Albertyny, dumny był za mnie z jej toalety, mruknął do szofera: „Woziłbyś codzień takie księżniczki, gdybyś tylko mógł, hę?”

Tym pierwszym razem, nie sam udałem się do la Raspelière, jak codzień gdy Albertyna malowała; postanowiła jechać tam ze mną. Myślała, że moglibyśmy się zatrzymać tu i ówdzie po drodze, ale nie przyszło jej na myśl, abyśmy mogli zacząć od jazdy do Saint-Jean de la Haise, to znaczy w innym kierunku, tem samem zrobić spacer, który zdawał się przeznaczony na inny dzień. Otóż, dowiedziała się od szofera, że niema nic łatwiejszego niż udać się do Saint-Jean, gdzie będziemy w dwadzieścia minut, i że moglibyśmy tam zostać, gdybyśmy chcieli, kilka godzin, albo zapuścić się o wiele dalej, bo z Quetteholme do la Raspelière nie byłoby więcej niż 35 minut. Zrozumieliśmy to z chwilą gdy wehikuł, zerwawszy się z miejsca, przebył jednym susem dwadzieścia kroków wybornego konia. Odległości są jedynie stosunkiem przestrzeni do czasu i zmieniają się wraz z nim. Trudność, jaką nam sprawia przeniesienie się w jakieś miejsce, wyrażamy w systemie mil, kilometrów, który staje się fałszywy z chwilą gdy się ta trudność zmniejsza. Sztuka również zmienia się przez to, skoro wieś, która zdawała się położona w różnym świecie od jakiejś innej, staje się jej sąsiadką w krajobrazie o zmienionych wymiarach. W każdym razie, wiadomość że istnieje może wszechświat, w którym 2 a 2 czynią 5 i gdzie linja prosta nie jest najkrótszą drogą łączącą dwa punkty, o wiele mniej zdziwiłaby Albertynę, niż oświadczenie szofera, że łatwo jest w ciągu popołudnia być w Saint-Jean i w la Raspelière, w Douville i w Quetteholme, w Saint-Mars le Vieux i w Saint-Mars le Vêtu, w Gourville i w Balbec le Vieux, w Tourville i w Féterne — miejscowościach dotąd równie hermetycznie uwieczonych i zamkniętych w komórkach oddzielnych dni jak niegdyś Méséglise i Guermantes; miejscowościach na których te same oczy nie mogły spocząć w ciągu jednego popołudnia, a które, oswobodzone teraz przez olbrzyma w siedmiomilowych butach, skupiły dokoła godziny podwieczorku swoje wieże i dzwonnice, stare ogrody, które skwapliwie odsłonił sąsiedni las.

Przybywszy do stóp drogi na Corniche, auto puściło się pod górę, z przeciągłym hałasem, podobnym do szmeru ostrzonego noża, podczas gdy zniżające się morze rozszerzało się u naszych stóp. Stare i sielskie chaty Montsurvent nadbiegły tuląc do siebie krzewy winne lub różane; świerki la Raspelière, rozkolysane bardziej niż przy wieczornym wietrze, biegały na wszystkie strony aby nas uniknąć, a nowy lokaj, którego jeszcze nigdy nie widziałem, wybiegł na ganek aby nam otworzyć drzwi, podczas gdy syn ogrodnika, zdradzając przedwczesne skłonności, pochłaniał oczami motor. Ponieważ to nie był poniedziałek, nie wiedzieliśmy czy zastaniemy panią Verdurin, bo z wyjątkiem tego dnia kiedy przyjmowała, niebezpiecznie było odwiedzać ją znienacka. Bezwątpienia, siedziała w domu „w zasadzie”, ale to wyrażenie (którego pani Swann używała w czasie gdy i ona starała się stworzyć sobie „paczkę” i ściągnąć gości nie ruszając się z domu, choćby się jej to miało często nie opłacić, i które opacznie wyrażała przez „dla zasady”) oznaczało tylko ogólną regułę, tem samem podlegającą licznym wyjątkom. Nietylko bowiem pani Verdurin lubiła wyjeżdżać z domu, ale posuwała bardzo daleko obowiązki gospodyni i kiedy miała gości na śniadaniu, zaraz po kawie, likierach i cygarach (mimo chwili odrętwienia upałem i trawieniem, kiedy wołałoby się poprzez liście na tarasie patrzeć na okręt do Jersey, przesuwaną się po emalii morza), program obejmował cykl spacerów, w trakcie których gości, siłą usadowionych w powozach, wiozło się mimo ich woli do któregoś z licznych „widoków” dokoła Douville. Ta druga część biesiady nie była zresztą (skoro już zdobyli się na wysiłek wstania od stołu i usadowienia się w powozach) niemila gościom; przygotowani już przez smakowite potrawy, przez dobre wina lub musujący jablecznik łatwo dawali się upoić wiatrowi od morza i wspaniałości widoków. Pani Verdurin obwoziła przybyszów niby po partjach (mniej lub więcej odległych) swojej posiadłości, których niepodobna było nie obejrzeć z chwilą gdy się było u niej na śniadaniu i których naodwrot nie poznałoby się, gdyby się nie było gościem „pryncypalki”. Ta pretensja do wyłącznej władzy nad spacerami, jak nad muzyką Morela a niegdyś Dechambre’a, oraz do wciągania krajobrazów w skład „paczki”, nie była zresztą tak niedorzeczna jakby się zrazu zdawało. Pani Verdurin drwiła sobie z braku gustu, jaki, wedle niej, Cambremerowie zdradzali

w umebrowaniu la Raspelière i w urządzeniu ogrodu, a również z ich braku inicjatywy w spacerach jakie podejmowali sami lub w towarzystwie gości. Tak samo jak, wedle pani Verdurin, la Raspelière zaczynała się stawać tem czem powinnaby być dopiero od chwili kiedy była siedzibą „jej klaniku”, tak samo twierdziła, że Cambremerowie, powtarzając wiecznie w swoim landzie, wzdłuż kolei żelaznej, nad brzegiem morza, jedyną brzydką drogę jaka istniała w okolicy, zamieszkiwali te strony od zawsze, ale ich nie znali. Było coś prawdy w tem twierdzeniu. Przez rutynę, przez brak wyobraźni i zubożenie na okolicę, która wydaje się oklepana bo jest tak bliska, Cambremerowie ruszali się z domu jedynie poto aby jechać zawsze w te same miejsca i tą samą drogą. Oczywiście, śmieli się serdecznie z pretensyj Verdurinów do pokazywania im ich własnych stron. Ale gdyby ich przyprzeć do muru, oni, a nawet ich stangret, niezdolni byłiby zawieźć nas we wspólnie, ustronne nieco miejsca, w które nas wiodł pan Verdurin, tu podnosząc barjerę jakiejś posiadłości prywatnej lecz opustoszałej, gdzie ktoś inny wzdragałby się wtargnąć, ówdzie wysiadając z powozu aby iść pieszo drogą niemożliwą dla wehikułu — wszystko z niezawodną nagrodą cudnego widoku. Powiedzmy zresztą, że ogród w la Raspelière był poniekąd skrótem wszystkich spacerów na wiele kilometrów dokoła; raz z racji wysokiego położenia, z widokiem z jednej strony na dolinę, z drugiej na morze; następnie, bo nawet z jednej strony, od strony morza naprzykład, wycięto wśród drzew perspektywę w ten sposób, że z jednego miejsca obejmowało się taki horyzont, z drugiego znów inny. Przy każdym z tych punktów była ławka; siadało się naprzemian tam skąd było widać Balbec, albo Parville, albo Denville. I nawet w jednym i tym samym kierunku umieszczano ławki to wysunięte ku skarpię wybrzeża, to znów bardziej cofnięte. Patrząc z dalszych ławek, miało się przed sobą pierwszy plan zieleni, oraz horyzont, który już zdawał się możliwie najszerszy, ale który powiększał się jeszcze nieskończenie, skoro, idąc ścieżką, doszło się do następnej ławki, skąd oko ogarniało cały krąg morza. Stamtąd słyszało się wyraźnie szum fali, nie dochodzący natomiast do głębszych partyj ogrodu, gdzie fale było jeszcze widać, ale już ich nie było słyhać. Te miejsca wypoczynku nosiły w la Raspelière dla państwa domu nazwę „widoków”. I w istocie, skupiały dokoła zamku najpiękniejsze „widoki” sąsiednich okolic, plaż lub lasów, widzianych w znacznem pomniejszeniu wskutek odległości, tak jak Hadrian zgromadził w swojej willi pomniejszenia najslawniejszych budowli rozmaitych krajów. Nazwa towarzysząca słowu „widok” nie była koniecznie nazwą miejscowości na wybrzeżu, ale często nazwą miejscowości na przeciwległym brzegu zatoki, którą oglądało się jakgdyby w ramie, mimo rozległości widoku. Tak samo jak się brało z biblioteki pana Verdurin książkę aby iść godzinkę poczytać przy „widoku Balbec”, tak samo, kiedy była pogoda, szło się na likiery do „widoku Rivebelle”, pod warunkiem aby nie było zbyt wiatru, bo mimo zasłony drzew powietrze było tam ostre.

Mówiliśmy o spacerach powozem, które pani Verdurin organizowała na popołudnia. Jeżeli za powrotem pryncypałka zastała bilet jakiegoś światowca bawiącego przelotnie nad morzem, udawała radość, ale była w rozpacz że ją minęła wizyta i kazała corychlej mężowi prosić przybycia na obiad na najbliższą środę. (Wówczas przyjeżdżano jeszcze tylko dla obejrzenia „domu”, lub dla nieobowiązującego poznania na jeden dzień kobiety, której salon artystyczny był sławny, ale *niemożliwy* w Paryżu). Ponieważ często turysta musiał wyjechać wcześniej lub obawiał się późnego powrotu, pani Verdurin ustaliła, że w soboty zastanie się ją zawsze w porze podwieczorku. Te podwieczorki nie były zbyt liczne; znałem w Paryżu świetniejsze, u księżnej Marji de Guermantes, pani de Gallifet lub pani d’Arpajon. Ale właśnie tu nie był Paryż i piękno ramy podnosiło dla mnie nietylko urok zebrania ale i jakość gości. Spotkanie jakiegoś światowca, które w Paryżu nie sprawiało mi żadnej przyjemności, tu, w la Raspelière, dokąd ów gość przybył zdaleka przez Féterne lub przez las Chantepie, zmieniało swój charakter i wagę, stawało się miłym zdarzeniem. Czasami był to ktoś, kogo znałem bardzo dobrze i dla kogo nie zrobiłbym ani kroku, aby go spotkać np. u Swannów. Ale nazwisko jego inaczej brzmiało na tym urwistym brzegu, jak nazwisko aktora, oglądanego często w teatrze, inaczej brzmie wydrukowane odmiennym kolorem na afiszu galowego przedstawienia, gdzie sława jego mnoży się nagle przez niezwykłość kontekstu. Ponieważ na wsi odpada wiele ceremonij, gość pozwalał sobie często sprowadzić przyjaciół u których mieszkał, tłumacząc się pochichu przed panią Verdurin tem, że, mieszkając u nich, nie mógł ich opuścić; naodwrot zaś gospodarzom swoim fundował niejako w monotonii życia plażowego tę rozrywkę,

wprowadzając ich w inteligentne kółko, dając sposobność ujrzenia wspaniałej rezydencji i spożycia wybornego podwieczorku. Stwarzało to zaraz zebranie kilkorga osób, jakotako wartościowych; otóż, jeżeli skrawek ogrodu z paroma drzewami, który wydałby się mizerny na wsi, nabiera niezwykłego uroku przy avenue Gabriel lub ulicy de Monceau, gdzie tylko multimilionerzy mogą sobie na niego pozwolić, naodwrot znakomitości drugoplanowe na raucie w Paryżu nabierały pełnej wartości w poniedziałek popołudniu w la Raspelière.

Ledwie usiedli dokoła stołu nakrytego czerwono haftowanym obrusem, pod międzyscieżkami „*en camaïeu*”, podawano im placek normandzki, kruche ciasto, placki w kształcie łódki wypełnione koralowymi wiśniami, inne zwane „dyplomatami”; i natychmiast owi goście, znalazłszy się w pobliżu głębokiej czary lazuru, na którą otwierały się okna i której nie podobna było nie widzieć równocześnie z nimi, ulegali głębokiemu przeobrażeniu, zmieniającemu ich w coś cenniejszego. Co więcej, zanim się ich nawet ujrzało, kiedy się przybywało w poniedziałek do pani Verdurin, ludzie, którzy w Paryżu znudzonem spojrzeniem obejmowali wytworne zaprzęgi przed wspaniałym pałacem, tu czuli że im serce bije żywiej na widok paru lichych dorożek pod świerkami la Raspelière. Niewątpliwie, było to stąd, że ta wiejska rama była inna; dzięki tej transpozycji, wrażenia światowe odzyskały świeżość. Było to także dlatego, że lichy powozik wynajęty dla odwiedzenia pani Verdurin łączył się z pojęciem pięknego spaceru i poważnego „ryczałtu” zgodzonego z woźnicą, który zażądał „tyle” za cały dzień. Ale ciekawość, lekko zaostrzona obecnością gości jeszcze nie podobnych do zidentyfikowania, płynęła także stąd, że każdy pytał sam siebie: „Kto to może być taki?” — pytanie, na które trudno było odpowiedzieć, nie wiedząc kto mógł zjechać na tydzień do Cambremerów lub gdzieindziej, a które zawsze lubimy sobie zadawać w sielskim i samotnym życiu, gdzie spotkanie ludzkiej istoty oddawna nie widzianej lub poznanie kogoś nieznanego przestaje być ową rzeczą uprzykrzoną jaką jest w Paryżu i rozkosznie przerywa pustkę samotnością, w której nawet godzina poczty staje się czemś milem.

W dniu kiedyśmy przybyli autem do la Raspelière, ponieważ to nie był poniedziałek, oboje państwo Verdurin musieli być pastwą tej potrzeby widzenia ludzi, która nawiedza tak mężczyzn jak kobiety i budzi ochotę wyskoczenia oknem w chorym, zamkniętym, zdala od swoich, celem kuracyjnej izolacji. Bo nowy służący, o bardziej chyżych stopach i już oswojony ze światowymi formułami, odpowiedziawszy nam, że o ile pani nie wyszła, musi być przy „widoku Doville” i że „pójdzie popatrzeć”, wrócił natychmiast oznajmić, że pani prosi.

Zastaliśmy panią Verdurin trochę rozczochraną, bo wracała z ogrodu, z podwórka i z sadu, gdzie karmiła swoje pawie, kury, szukała jaj, rwała owoce i kwiaty dla przystrojenia stołu, przez który biegła dróżka przypominająca w miniaturze aleję parkową; ale z tą różnicą, że na stole skupiała jedynie rzeczy użyteczne i smaczne; dokoła bowiem innych darów ogrodu, jak gruszki, jajka ubite na pianę, wznosiły się wysokie łodygi floksów, goździków, róż i lwich paszczy, między którymi niby między nabożnymi i kwitnącymi drogowskazami widziało się na morzu statki, przesuujące się za szybą.

Ze zdumienia, jakie, na widok Albertyny i mnie, okazali państwo Verdurin (porzucając kwiaty po to aby witać oznajmionych gości), zrozumiałem, że nowy służący, pełen zapału ale jeszcze nie oswojony z moim nazwiskiem, źle je powtórzył i że pani Verdurin, słysząc nazwisko nieznanych osób, kazała i tak prosić, czując potrzebę widzenia byle kogo. Nowy służący patrzył z drzwi na tę scenę, aby sobie zdać sprawę z roli, jaką odgrywamy w tym domu. Poczem oddalił się pędem, bo był tam w służbie dopiero od wczoraj.

Kiedy Albertyna dosyta pokazała Verdurinom toczek i woal, wpiła we mnie wzrok, aby mi przypomnieć, że nie mamy zbyt wiele czasu na to cośmy sobie planowali. Pani Verdurin chciała nas przetrzymać do podwieczorku, wymówiliśmy się. Nagle wyłonił się projekt, który unicestwiłby wszystkie rozkosze, jakie sobie obiecywałem po spacerze z Albertyną. „Pryncypałka”, nie mogąc się zdecydować opuścić nas lub może wyrzec się nowej rozrywki, zaprzęgnęła jechać z nami. Oddawna przyzwyczajona że tego rodzaju propozycje z jej strony nie budzą entuzjazmu, widocznie nie pewna czy nam sprawi przyjemność, ukryła swoją nieśmiałość pod nadmiarem pewności siebie. Komunikując nam swoje intencje i nie dopuszczając nawet myśli aby odpowiedź mogła być wątpliwa, nie spytała nas, ale oznajmiła mężowi, tak jakby nam wyświadczała łaskę: „Odprowa-

dżę ich”. Równocześnie przystroiła usta uśmiechem, nie będącym ściśle jej własnością; uśmiechem jaki widywałem już u pewnych osób, kiedy filuternie mówiły do Bergotte’a: „Kupiłem pańską książkę, tak drogi panie, tak”; jednym z tych kolektywnych, uniwersalnych uśmiechów, które, w razie zapotrzebowania — tak jak się posługujemy koleją żelazną lub wozami meblowymi — ludzie wypożyczają sobie, z wyjątkiem jednostek bardzo wyrafinowanych, jak Swann lub p. de Charlus, na których wargach nigdy nie widziałem tego uśmiechu.

Z tą chwilą, wizyta była dla mnie zatruta. Udałem, że nie zrozumiał. Po chwili, stało się jasne, że i p. Verdurin zabierze się z nami.

— Może to będzie za daleko dla pana Verdurin — rzekłem.

— Ale nie — odparła pani Verdurin uspokajającym i rozbawionym tonem; mąż mówi, że mu będzie bardzo miło powtórzyć z młodymi tę drogę, którą niegdyś tyle razy odbywał; w potrzebie siądzie obok wattmana, to go nie przeraża, a potem wrócimy oboje cnotliwie kolejką, jak dobre, stare małżeństwo. Patrzcie tylko, jaką ma zachwyconą minę.

Mówiła o nim niby o starym wielkim malarzu, który, dobroduszny i młodszy od młodych, bazgrze coś, aby zabawić wnuczeta. Smutek mój pogłębiało to, że Albertyna nie zdawała się go podzielać; widocznie bawiła ją myśl takiego spaceru w towarzystwie państwa Verdurin. Co do mnie, nadzieja rozkoszy, której spodziewałem się z nią kosztować, była tak despotyczna, że nie chciałem dać pryncypałce zepsuć jej sobie; wymyślałem jakieś kłamstwa, usprawiedliwione natręctwem pani Verdurin, ale udaremnione, niestety, przez Albertynę.

— Mamy przecie wizytę przed sobą — rzekłem.

— Co za wizytę? — spytała Albertyna.

— Wytłumaczę ci, nie możemy się od tego uchylić.

— No więc, zaczekamy na was — rzekła pani Verdurin, zrezygnowana na wszystko.

W ostatniej chwili, bolesne uczucie że mi wydzierają tak upragnione szczęście, dało mi odwagę impertynencji. Odmówiłem wręcz, zwierając się do ucha pani Verdurin, że Albertyna ma zmartwienie i że pragnie w tym przedmiocie zasięgnąć mojej rady; musimy tedy koniecznie być sami. Pryncypałka przybrała ton obrażony.

— Dobrze, nie pojedziemy — rzekła do mnie głosem drżącym z gniewu.

Uczulem, że jest tak obrażona, iż, aby wyglądało że mięknię, natrąciłem:

— Ale możeby się dało...

— Nie — odparła ze zdwojoną wściekłością — kiedy ja mówię nie, to nie.

Myślałem, że to jest zerwanie, ale odwołała nas od drzwi, aby nam absolutnie polecić najbliższą środę i żebyśmy nie przyjeżdżali tą maszyną, która jest niebezpieczna w nocy, ale pociągiem, razem z całą gromadą. I jeszcze kazała zatrzymać auto już w ruchu, bo służący zapomniał włożyć do auta placka i ciasteczek, które kazała zapakować dla nas.

Ruszyliśmy, eskortowani przez chwilę domkami, które nadbiegły wraz, strojne w kwiaty. Fizjognomja okolicy wydawała się nam całkiem zmieniona, tak dalece w topograficznym obrazie, jaki sobie tworzymy o każdym pejzażu, pojęcie przestrzeni odgrywa zgoła nie najważniejszą rolę. Powiedzieliśmy, że pojęcie czasu bardziej je rozsuwa. I też nie ono jedno. Pewne miejsca, które widzujemy zawsze oddzielnie, nie mają dla nas wspólnej miary z resztą, są prawie poza światem, jak owi ludzie, których znaliśmy w specjalnych okresach naszego życia, w wojsku, albo w dzieciństwie, i których nie wiążemy z niczem. Z pierwszego roku mego pobytu w Balbec, pamiętałem wzgórze, gdzie pani de Villeparisis lubiła nas wozić, bo stamtąd widać było tylko wodę i las, nazywało się to Beaumont. Ponieważ droga, którą zwykle kazała tam jechać i która się jej zdawała najładniejsza z powodu starych drzew, pięła się cały czas pod górę, powóz musiał jechać stępa i bardzo długo. Przybywszy na szczyt wzgórza, wysiadaliśmy, przechadzaliśmy się trochę, wsiedliśmy do powozu i wracaliśmy tą samą drogą, nie spotkawszy żadnej wioski, żadnego dworu. Wiedziałem, że Beaumont to coś bardzo ciekawego, bardzo dalekiego, bardzo wysokiego; nie miałem najmniejszego pojęcia o kierunku w którym się to znajduje, ile że nigdy nie jechałem przez Beaumont udając się gdzieindziej; to był zresztą dobry kawał drogi powozem. Leżało to Beaumont oczywiście w tym samym departamencie (lub w tej samej prowincji) co Balbec, ale znajdowało się dla mnie na innym planie, zażywało specjalnego przywileju exterytorjalności. Ale auto, które nie szanuje żadnej tajemnicy, ledwie minąwszy Incarville, którego domy miałem jeszcze w oczach, wpadło na zбочce

kończące się w Parville (*Paterni villa*): widząc morze z wysokości na którejsmy się znaleźli, spytałem, jak się nazywa ta miejscowość; ale zanim jeszcze szofer zdążył mi odpowiedzieć, poznałem Beaumont, obok którego przejeżdżałem, nie wiedząc o tem, za każdym razem kiedym jechał kolejką, bo było o dwie minuty od Parville. Jak oficer z mojego pułku, któryby mi się zdawał specjalną istotą, zbyt życzliwy i prosty aby być z wielkiej rodziny, zbyt odległy już i tajemniczy aby być poprostu z wielkiej rodziny, a o którym bym się dowiedział, że jest szwagrem lub kuzynem osób, z którymi świeżo spotkałem się gdzieś na obiedzie — tak Beaumont, nagle złączone z miejscowościami od których zdawało mi się tak odrębne, straciło swoją tajemnicę i zajęło miejsce w okolicy, każąc mi myśleć ze zgrozą, że pani Bovary i Sanseverina wydałyby się może istotami podobnymi do innych, gdybym je spotkał gdzieindziej niż w zamkniętej sferze powieści.

Może się zdawać, że moje upodobania do czarodziejskich podróży koleją powinny by mnie wstrzymać od dzielenia zachwyty Albertyny nad samochodem, który wiedzie nawet chorego tam gdzie ów chory chce, i nie pozwala uważać — jak to czyniłem dotąd — położenia za indywidualną cechę niewzruszonych pięknością, za ich niezastąpioną istotę. I bez wątpienia auto nie czyniło z tego położenia — jak niegdyś kolej przypadkowości zwykłego życia, niemal idealnego przy wyjeździe, idealnego nawet w momencie przybycia, przybycia do tej wielkiej budowli, gdzie nie mieszka nikt i która nosi jedynie nazwę miasta — do dworca. (Dworzec kolei — jako cel — przyrzeka niejako dostępność, której staje się materjalizacją). Nie, auto nie wiodło nas równie czarodziejsko do miasta, którebyśmy widzieli zrazu w całości streszczonej w jego nazwie, ze złudzeniami widza w teatrze. Wprowadzało nas w kulisy ulic, zatrzymywało się dla uzyskania jakiejś informacji od przechodnia. Ale jako kompensatę tego poufalego stopniowania ma się bodaj wahania szofera niepewnego drogi, cofającego się raz po raz, krzyżowania się perspektyw, każące grać zamkowi w „cztery kąty” z pagórkami, kościołem i morzem podczas gdy się zbliżamy do niego, mimo że się napróżno kryje pod odwiecznymi drzewami; te coraz to ciaśniejsze kręgi, jakie opisuje samochód dokoła urzeczzonego miasta, które uciekało we wszystkich kierunkach aby umknąć i na które wreszcie wali wprost, przez dolinę, gdzie ono leży rozciągnięte na ziemi; tak iż samochód, napozór odzierając to położenie z tajemnicy kurjerskich pociągów, daje przeciwnie wrażenie, że je odkrywamy, że je określamy sami jak cyrklem, że dzięki niemu miłośniej badawczą ręką, z subtelniejszą precyzją, czujemy prawdziwą geometrię, poetycki wymiar ziemi.

Jednej rzeczy na nieszczęście nie wiedziałem w tej chwili i dowiedziałem się aż w dwa lata później; mianowicie że jednym z klientów mego szofera był p. de Charlus; że Morel, mając polecone płacić mu (przyczem chował część pieniędzy dla siebie, w ten sposób że kazał szoferowi liczyć trzykrotną i pięciokrotną ilość kilometrów), bardzo się z nim zaprzyjaźnił (udając przy ludziach, że go nie zna) i odbywał jego autem dalekie wycieczki. Gdybym był to wiedział wówczas, i to iż zaufanie jakiego niebawem Verdurinowie nabrali do tego szofera, pochodzi, bez ich wiedzy, z tego źródła, zdołałbym może uniknąć wielu zgrzytów mego przyszłorocznego paryskiego życia, wielu nieszczęść wiążących się z Albertyną. Ale ja o tem nie miałem pojęcia. Same w sobie, przejażdżki pana de Charlus z Morelem nie interesowały mnie bezpośrednio. Ograniczały się zresztą najczęściej do jakiegoś śniadania lub obiadu w restauracji na wybrzeżu, gdzie p. de Charlus uchodził za starego zrujnowanego lokaja, a Morel, który miał polecone płacenie rachunków, za nazbyt łaskawego panicza. Opowiem jedną z tych biesiad, zdolną dać pojęcie o innych. Było to w restauracji, mieszczącej się w podłużnym budynku w Saint-Mars-le-Vêtu.

— Czy nie możnaby tego sprzątnąć — spytał p. de Charlus Morela, aby się nie zwracać wprost do garsonów. Owo „to”, to były trzy zwiędłe róże, którymi troskliwy gospodarz uważał za właściwe ozdobić stół.

— Owszem... — odpowiedział Morel zakłopotany. — Pan nie lubi róż?

— Moja prośba dowodziłaby przeciwnie, że je lubię, bo tu przecie nie ma żadnych róż (Morel uczynił gest zdziwienia); ale istotnie, nie przepadam za różami. Jestem dość wrażliwy na nazwy; z chwilą zaś, gdy trafi się na ładną różę, dowiaduje się człowiek, że ona się nazywa *baronne de Rothschild* albo *Maréchale Niel*; to wystarcza aby zmrozić. Czy ty lubisz nazwy, nazwiska, tytuły? Czyś znalazł ładne tytuły dla swoich utworów?

— Jeden nazywa się *Poemat smutku*.

— To ohydne — odparł p. de Charlus głosem ostrym i świszczącym jak policzek. — Prosiłem o szampan? — rzekł do garsona, który sądził iż właśnie go podaje, stawiając przed klientami dwa kieliszki napełnione musującym winem.

— Ależ, proszę pana...

— Zabierzcie tę okropność, która nie ma żadnego związku z najgorszym szampnem. To środek na wymioty, zwany *cup*, gdzie zazwyczaj moczy się trzy zgniłe truskawki w mieszaninie octu i wody sodowej. Tak — ciągnął zwracając się do Morela — ty najwidoczniej nie wiesz, co to jest tytuł. A nawet w interpretacji tego co grasz najlepiej, nie spostrzegasz strony medjumicznej.

— Jak pan powiada? — spytał Morel, który, nie rozumiawszy absolutnie nic ze słów barona, bał się stracić jakąś pożyteczną informację, jak na przykład zaproszenie na śniadanie. Ponieważ p. de Charlus nie raczył uznać tego „jak pan powiada?” za pytanie, Morel, nie otrzymawszy odpowiedzi, uważał za właściwe odmienić rozmowę i dać jej charakter zmysłowy:

— Och, niech pan patrzy na tę blondaskę, sprzedającą kwiaty których pan nie lubi; to dziewczę ma z pewnością jakąś młodą przyjaciółkę. A ta stara, która je obiad w głębi, także.

— Ale skąd ty wiesz to wszystko? — spytał p. de Charlus, oczarowany wszechwiedzą Morela.

— Och, w sekundę zgaduję takie rzeczy. Gdybyśmy się tak przeszli we dwójkę w tłumie, zobaczyłby pan, że nie pomyliłbym się ani dwóch razy.

I ktoby w tej chwili widział Morela i jego dziewczęcą minę w pełni męskiej piękności, zrozumiałby nieokreśloną wymowę, która sygnalizowała go pewnym kobietom, tak jak te kobiety jemu. Miał ochotę wyparować Jupiena, w mglistej ochocie pomnożenia swojego „*fixe*” sumami, które, jak przypuszczał, ex-krawiec wyciągał z barona.

— Na żygolakach znam się jeszcze lepiej, oszczędził bym panu wszelkich pomyłek. Niedługo będzie jarmark w Balbec, znaleźlibyśmy to i owo. A w Paryżu, zobaczyłby pan, dopiero by się pan zabawił!

Ale dziedziczna ostrożność lokajka kazała mu dać inny tok zdaniu, które już rozpoznał. Tak iż p. de Charlus myślał że wciąż chodzi o dziewczęta.

— Widzi pan — mówił Morel, pragnąc, w sposób mniej dla siebie kompromitujący (mimo że w gruncie bardziej niemoralny) podniecić zmysły barona — moim marzeniem byłoby znaleźć dziewczynę bardzo czystą, zyskać jej miłość i uszczknąć cnotę.

P. de Charlus nie mógł się wstrzymać, aby nie uszczypnąć czule Morela w ucho, ale dodał naiwnie:

— Na co by ci się to zdało? Jeśli byś ją naruszył, musiałbyś się z nią żenić.

— Żenić się! — wykrzyknął Morel, który odczuł podniecenie barona, nie miał zaś świadomości, że mówi z człowiekiem w sumie bardziej skrupulatnym niż sądził. — Żenić się? Bujda! Przyrzekłbym jej, ale po załatwieniu operacyjki puściłbym ją kantem jeszcze tego wieczora.

Kiedy panu de Charlus fikcja mogła dać przelotną zmysłową rozkosz, zwykł był się z nią godzić, gotów jednak cofnąć swoją zgodę w chwilę później, gdy rozkosz wygaśnie.

— Doprawdy, zrobiłbyś to? — rzekł do Morela, śmiejąc się i przysuwając się bliżej.

— I jak! — rzekł Morel, widząc że nie razi barona szczerością swoich istotnych pragnień.

— To niebezpieczne — rzekł p. de Charlus.

— Spakowałbym rzeczy zawczasu i dałbym nogę nie zostawiając adresu.

— A ja? — spytał p. de Charlus.

— Zabrałbym pana z sobą, rozumie się — skwapliwie powiedział Morel, który nie pomyślał o tem coby się stało z baronem, jako że to była najmniejsza jego troska. O, wie pan, jest dziewczyna, któraby mi się bardzo nadała; szwaczucia, ma sklep w pałacu księcia Błażeja.

— Córka Jupiena — wykrzyknął baron w chwili gdy się zjawił garson. — Och, za nic! — dodał, czy że obecność trzeciej osoby ostudziła go, czy że nawet w tego rodzaju czarnych mszach, w których lubował się plugawieniem rzeczy najświętszych, nie zdolny był poświęcić osób, które darzył sympatią. — Jupien jest zacny człowiek, ta mała jest urocza, to byłoby szkaradnie skrzywdzić ich.



Morel uczuł iż zaszedł za daleko i zamilkł, ale spojrzenie jego dalej ściagało w próżni dziewczynę, przy której pragnął swego czasu być przezemnie tytułowany per „drogi wielki artysto” i u której zamówił kamizelkę. Bardzo pracowita z natury, dziewczyna nie wyjechała na wakacje, ale dowiedziałem się później, że podczas gdy skrzypek bawił w okolicach Balbec, ona nie przestawała myśleć o jego pięknej twarzy, uświetnionej w jej oczach tem, że widząc Morela ze mną, wzięła go za „panicza”.

— Nigdy nie słyszałem samego Chopina — rzekł baron — a przecie mogłem go słyszeć; brałem lekcje u Stamatiego, ale zabronił mi chodzić do ciotki Chimay, aby słuchać mistrza Nokturnów.

— Cóż za cymbał! — wykrzyknął Morel.

— Przeciwnie — odparł świszczącym głosem p. de Charlus. — Dowiódł tem inteligencji. Zrozumiał, że ja, przy swojej wrażliwej naturze, byłbym uległ wpływowi Chopina. To nie ma znaczenia, wobec tego że bardzo młodo porzuciłem muzykę, jak wszystko inne. A zresztą, człowiek nadrabia wyobraźnią — dodał baron nosowym głosem, rozwlekając sylaby; — są zawsze ludzie którzy go słyszeli, którzy mogą dać pojęcie. Wreszcie Chopin był mi tylko pretekstem, aby wrócić do strony medjumicznej, którą ty zaniedbujesz.

Czytelnik zauważył, że po dygresji w języku pospolitym, styl pana de Charlus stał się nagle z powrotem równie wyszukany i wyniosły jak był zazwyczaj. Bo myśl, że Morel bez skrupułów „puściłby kantem” zgwałconą dziewczynę, dała mu nagle zakosztować kompletnej rozkoszy. Z tą chwilą, zmysły jego ukoili się na jakiś czas; sadysta (naprawdę medjumiczny), który zajął na chwilę miejsce Charlusa, znikł i wrócił głos prawdziwemu Charlusowi, pełnemu artystycznych wyrafinowań, wrażliwości, dobroci.

— Grałeś któregoś dnia transkrypcję XV kwartetu na fortepian, co już jest idjotyzm, bo nie ma rzeczy mniej fortepianowej. Przyrządzono go dla ludzi, których uszy rażą zbyt napięte struny ogłuchłego geniusza. Otóż właśnie ten mistycyzm, niemal cierpki, jest boski. W każdym razie, grałeś to bardzo lichy, zmieniając wszystkie tempa. Trzeba grać tak, jakbyś to komponował: młody Morel, dotknięty chwilową głuchotą i nieistniejącym geniuszem, trwa jakiś czas bez ruchu. Potem, o władnięty świętym szałem, gra, tworzy pierwsze takty: wyczerpany wysiłkiem, zapada się, strząsając wdzięczny pukiel włosów, aby oczarować panią Verdurin; co więcej, zyskuje w ten sposób czas, aby odnowić olbrzymią ilość szarej substancji zużytej na pityjskie wcielenie. Wówczas, odzyskawszy siły, porwany nowym i nadziemskim transem, rzuca się na boską niewygasłą frazę, którą berliński wirtuoz (zdaje się, że p. de Charlus określał w ten sposób Mendelsohna) miał niestrudzenie naśladować. Oto w jaki sposób — jedyny naprawdę transcendentalny i twórczy — będziesz to musiał zagrać w Paryżu.

Kiedy p. de Charlus dawał Morelowi wskazówki tego rodzaju, skrzypek był o wiele bardziej przerażony niż widząc jak garson zabiera wzgardzone róże i *cup*; zastanawiał się z niepokojem, jakie to wrażenie zrobi w „klasie”. Ale nie mógł się oddać tym refleksjom, bo p. de Charlus rzekł rozkazująco:

— Spytaj się garsona, czy ma chrześcijanki.

— Chrześcijanki?... Nie rozumiem.

— Widzisz, że jest pora na owoce, chodzi o gruszkę. Możesz być pewien, że pani de Cambremer, jako prawa hrabina d’Escarbagnas, ma te bonkretki. Pan Thibaudier posyła jej gruszki, a ona powiada: „*Voilà du bon chrétien, qui est fort beau*”.

— Nie, nie wiedziałem.

— Widzę, widzę, że ty nic nie wiesz. Jeżeliś ty nie czytał nawet Moliera... No i co, skoro, obok innych braków, nie umiesz rozkazywać, poproś poprostu o gruszki, które rodzą się właśnie w tych stronach: *Louise-Bonne d’Avranches*...

— Louise jak?...

— Zaczekaj, skoro jesteś tak niezdarny, ja sam zażądam innych, które wolę. Garson, macie tutaj *la Doyennee des Comices*? Charlie, powinienbyś przeczytać uroczy ustęp, jaki napisała o tej gruszcze księżna Emilia de Clermont-Tonnerre.

— Nie, proszę pana, nie mamy.

— Macie *Triomphe de Jodoigne*?

— Nie, proszę pana.

— *Virginie-Dallet*? Nie? a *Passe-Colmar*? Nie, w takim razie, skoro nie macie nic, trzeba się nam zabierać. *Duchesse d'Angouleme* jeszcze nie jest żrała; chodź, Charlie, idziemy.

Nieszczęściem dla pana de Charlus, jego brak zrównoważenia, może przypuszczalna niewinność jego stosunków z Morelem, kazały mu się wysilać od tego czasu na obsypywanie skrzypka osobliwymi łaskami, których ten nie mógł zrozumieć i które natura jego, warjacka na swój sposób, ale niewdzięczna i małostkowa, mogła odpłacić jedynie oschłością lub brutalnością. Przejawy te, wciąż rosnące, grążyły pana de Charlus — niegdyś tak dumnego, teraz spłoszonego — w napadach prawdziwej rozpacz. Ujrzymy, jak w najmniejszych rzeczach, Morel, który uważał że sam stał się panem de Charlus, ale tysiąc razy ważniejszym, fałszywie zrozumiał (biorąc je dosłownie) wyniosłe nauki barona w przedmiocie arystokracji. Powiedzmy poprostu na razie (podczas gdy Albertyna czeka na mnie w Saint-Jean de la Haise), że jeżeli było coś, co Morel stawiał powyżej urodzenia (i to było u niego w zasadzie dość szlachetne, zwłaszcza jak na człowieka, którego przyjemnością było polować na małe dziewczynki — „ani widu ani słyhu” — z szoferem), rzeczą tą była jego reputacja jako artysty i sąd jego klasy skrzypiec. Bez wątpienia, brzydkie było zapierać się ostentacyjnie barona, drwić sobie z niego, dlatego że Morel czuł w panu de Charlus całkowite oddanie. Podobnie ze mną: odkąd mu przyrzekłem sekret co do funkcji jego ojca u mojego wuja, zaczął mnie traktować z góry. Ale z drugiej strony firma dyplomowanego artysty — Morel — zdawała mu się czemś więcej od „nazwiska”. I kiedy p. de Charlus, w swoich marzeniach o platonicznej czułości, chciał go obdarzyć jednym z tytułów będących w posiadaniu jego rodziny, Morel stanowczo odmówił.

Kiedy Albertyna decydowała się przez rozsądek zostać w Saint-Jean de la Haise aby malować, zabierałem auto; wówczas, zanim wróciłem po nią, mogłem się puszczać nietylko do Gourville i do Féterne, ale do Saint-Mars le Vieux, nawet do Criquetot. Udając że jestem zajęty czem innym niż ona i że ją muszę opuszczać dla innych przyjemności, myślałem tylko o niej. Często jechałem nie dalej niż do wielkiej równiny nad Gourville, że zaś równina ta podobna jest nieco do tej, która się rozciąga powyżej Combray, w kierunku Méséglise, tedy nawet dość daleko od Albertyny myślałem z radością, że o ile moje spojrzenia nie mogą dobiec do niej, ten potężny i luby wiatr od morza, przepływający obok mnie i sięgający dalej od nich, dotrze, niewstrzymany niczem, aż do Quetteholme; poruszy gałęzie drzew kryjących kościół Saint Jean de la Haise w swojej zieleni, pieszcząc zarazem twarz mojej przyjaciółki; i w ten sposób stworzy podwójny węzeł między nami w tem rozprzestrzenionem bezkresie zaciszu, ale bez ryzyka, jak w owych grach dzieciennych, gdzie dwoje dzieci znajduje się chwilami poza wzajemnym zasięgiem głosu i wzroku, i gdzie, mimo że oddalone, są jednakże z sobą.

Wracałem temi drogami, skąd widać morze i gdzie niegdyś, zanim się zjawiło poprzez gałęzie, zamykałem oczy, aby sobie uświadomić iż to co mam ujrzeć, to jest skarżąca się macierz ziemi, miotająca się, jak w czasach gdy nie było jeszcze żywych istot, w obłądnym i wiekuistym ruchu. Teraz drogi te były dla mnie już tylko sposobem dotarcia do Albertyny; kiedym je poznawał, zupełnie takie same, wiedząc dokąd biegna prosto, gdzie skręca, przypominałem sobie, że jechałem niegdyś niemi, myśląc o pannie de Stermaria. I myślałem również, że tę samą niecierpliwosć co teraz w stosunku do Albertyny, odczuwałem w Paryżu, idąc ulicami którymi zwykła chodzić pani de Guermantes; te drogi nabierały dla mnie jakiejś głębokiej monotonji, uzmysławiały mi jakgdyby linję mojego charakteru. Było to naturalne, a jednak nie było obojętne; przypominały mi, że losem moim jest ścigać jedynie cienie, istoty których realność mieściła się przeważnie w mojej wyobraźni. Są takie jednostki — i ja należałem do nich od młodu — dla których wszelka wartość stała, dostępna sprawdzeniu, jak majątek, powodzenie, stanowisko, nie istnieje; trzeba im właśnie cieniów. Poświęcają dla nich resztę, wprawiają wszystko w ruch, do wszystkiego się uciekają, aby spotkać jakiś cień. Ale ten cień rozwiewa się; wówczas gonią za innym, choćby mieli wrócić potem do tamtego.

Nie pierwszy to raz szukałem Albertyny, dziewczyny ujranej przed paru laty nad morzem. Prawda że inne kobiety wcisnęły się między Albertynę pokochaną zrazu, a tę, z którą prawie nie rozstawałem się teraz; inne, zwłaszcza księżna Oriana. Ale, powie ktoś, poco było tyle się gryźć z powodu Gilberty, poco było zadawać sobie tyle trudu dla pani de Guermantes, skoro, kiedym się z nią zaprzyjaźnił, to jedynie poto, aby myśleć już nie

o niej, lecz wyłącznie o Albertynie. Swann byłby mógł przed śmiercią odpowiedzieć na to, on który był miłośnikiem cieniów.

Tak, drogi w Balbec pełne były tych cieniów, cieniów ściganych, zapomnianych, szukaných na nowo czasem dla jednego widzenia, poto aby dotknąć jakiegoś nierealnego życia, które natychmiast uciekało. Myśląc że te przydrożne drzewa, grusze, jabłonie, tamarzki przeżyją mnie, miałem uczucie, że mi dają radę abym się wreszcie wziął do pracy, zanim jeszcze wybiła godzina wiecznego spoczynku.

Wysiadłem z wehikułu w Quetteholme, biegłem stromym wąwozem, przebywałem strumień po kładce i znajdowałem Albertynę, malującą przed kościołem o mnóstwie wieżyczek, kolczastym i czerwonym, kwitnącym jak krzak róży. Jedyne tympan był gładki; na pogodnej kamiennej ścianie wykwiwały anioły, które wobec nas, młodej pary z XX wieku, wciąż odprawiały, ze świecami w ręku, obrzędy z wieku XIII. Ich kształty właśnie starała się Albertyna oddać na rozpiętym płótnie; naśladowując Elstira, machała szeroko pendzlem, starając się odtworzyć szlachetny rytm, który — jak rzekł wielki mistrz — czyni te anioły czemś tak odmiennem od wszystkiego co znał. Potem zbierała swoje rzeczy. Wsparci o siebie, wracaliśmy pod górę wąwozem, opuszczając kościółek równie spokojny co gdyby nas nie widział, nad słuchujący wiecznego szumu strumienia. Niebawem auto pomykało, wracając inną drogą niż ta którąśmy przyjechali. Przejeżdżaliśmy koło dumnej Marcouville. Na kościele w pół nowym w pół odnowionym, zachodzące słońce kładło swoją patynę, równie piękną jak patyna wieków. Poprzez tę patynę, widniały wielkie płaskorzeźby, jakgdyby poprzez warstwę płynu, pół ciekłą pół świetlną: Matka Boska, święta Elżbieta, święty Joachim, kąpali się jeszcze w nieuchwytnym prądzie, prawie na sucho, na powierzchni wody lub słońca. Wyłaniając się w gorącym pyłe, nowoczesne posągi wznosiły się na kolumnach aż do połowy złożonych zasłon zachodu. Przed kościołem rósł wielki cyprys niby w jakimś poświęconym zakolu. Wysiadaliśmy na chwilę aby nań popatrzeć i szliśmy kilka kroków. Albertyna miała żywą świadomość swego kapelusika z włoskiej słomki i jedwabnego woala (będących dla niej organicznym ośrodkiem dobrego samopoczucia) i czerpała z nich, obchodząc kościół dokoła, podniecie, wyrażającą się w zadowoleniu biernem, ale nie pozbawionem wdzięku. Ten woal i toczek były dla mnie jedynie cząstką mojej przyjaciółki, świeżą, przygodną, ale już mi drogą; śledziłem oczami ich smugę koło cyprysa w atmosferze wieczoru. Ona sama nie mogła widzieć, ale domyślała się że w tych wykwiatach jest jej ładnie, bo uśmiechała się do mnie, zestrajając ruch głowy z jej nakryciem i dopełnieniem. „Nie podoba mi się ten kościół, odrestaurowany”, rzekła, wskazując kościół i przypominając sobie to, co mówił Elstir o niedoścignionem pięknie starych kamieni. Albertyna umiała natychmiast poznać ślad restauracji. Podziw mogła budzić jej pewność smaku w architekturze, w porównaniu z żalonym gustem, jaki zachowała w muzyce.

Jak Elstir, nie lubiłem tego kościoła. Chłodno patrzałem na jego zalaną słońcem fasadę, która zjawiała się przed memi oczami; wysiadłem, aby spojrzeć na nią jedynie przez uprzejmość dla Albertyny. Mimo to, uważałem, że wielki impresjonista przeczy samemu sobie; czemu ten fetyszizm obiektywnej wartości architektury, nie uwzględniający przeobrażenia kościoła w zachodzie słońca?

— Nie, stanowczo — rzekła Albertyna — nie lubię go, lubię jego nazwę: „pyszny”. Ale trzeba się będzie zapytać Brichota, czemu Saint-Mars nazywa się „*le Vêtu*”. Pojedziemy tam następnym razem, prawda? — rzekła, patrząc na mnie czarnymi oczami, na które toczek zsunął się jak niegdyś „polo”. Woal bujał. Wsiadłem z nią do auta, szczęśliwy że jutro mamy jechać razem do Saint-Mars. W ów gorący czas, kiedy myślało się tylko o kąpeli, dwie starożytne rdzawe wieże, kryte rombami dachówek, lekko pochylone i jakby drgające, robiły wrażenie starych śpiczastych ryb, inkrustowanych łuską, omszonych i rudych, wznoszących się bez ruchu w przezroczystej i błękitnej wodzie. Opuszczając Marcouville, dla zyskania na czasie, skręciliśmy w boczną drogę, przy której, na skrzyżowaniu, znajdowała się ferma. Czasem Albertyna prosiła aby się zatrzymać i posyłała mnie abym przyniósł do auta coś do picia, calvadosu lub jabłecznika, który, jak upewniano, nie miał się pienić a który obryzgiwał nas całych pianą. Siedzieliśmy przytuleni do siebie. Ludzie z folwarku ledwie mogli dojrzeć Albertynę w zamkniętym wehikule; oddawałem im butelki, jechaliśmy wieść dalej owo podejrzwane przez nich życie we dwoje, życie kochanków, w którym ten postój był tylko nieznaczną chwilą. Podejrzenie to wy-

dałoby się tem bliższe prawdy, gdyby nas widziano później, skoro Albertyna wysączyła już butelkę jabłecznika; wówczas możnaby sądzić, że już nie może znieść między sobą a mną najlżejszego oddalenia; przez płócienną spódnicę nogi jej przyciskały się do moich, zbliżała do moich policzków swoje, które stawały się blade, ciepłe i zaczerwienione na kościach policzkowych, z odcieniem czegoś gorącego i zwiędłego, niby u dziewczyny ulicznej. W momentach tych, Albertyna zmieniała nietylko osobowość ale i głos; traciła własny, aby przybrać jakiś inny, schrypiły, zuchwały, niemal plugawy. Wieczór zapadał. Co za rozkosz czuć ją przy sobie z jej woalem i toczkiem, przypominając sobie, że zakochane pary zawsze widuje się tak przytulone do siebie. Kochałem może Albertynę, ale nie śmiałem jej okazać tej miłości, mimo że, o ile we mnie istniała, to chyba tylko jak prawda pozbawiona wartości, dopóki się jej nie sprawdzi doświadczeniem; otóż, miłość ta wydawała mi się czemś nieziszczalnym, czemś poza płaszczyznę życia.

Co się tyczy mojej zazdrości, kazała mi ona możliwie najmniej rozstawać się z Albertyną, mimo iż wiedziałem że całkowicie może ją uleczyć aż zupełne zerwanie. Mogłem czuć zazdrość nawet przy niej, ale wówczas starałem się unikać okoliczności, która ją we mnie wzbudziła. I tak, pewnego pogodnego dnia wybraliśmy się na śniadanie do Rivebelle. Wielkie oszklone drzwi długiego hału gdzie się piło zazwyczaj podwieczorek, otwierały się wprost na złote od słońca trawniki, tak iż obszerna, lśniąca restauracja zdawała się stanowić ich część. Garson z różową twarzą, z czarnymi włosami skręconymi jak płomień, rzucał się w tę rozległą przestrzeń mniej chyżo niż dawniej, bo już był nie pikolem, lecz całym kelnerem; mimo to, wskutek jego wrodzonej ruchliwości, czasem zdaleka w jadalni, czasem bliżej ale na dworze (gdy obsługiwał gości, lubiących śniadać w ogrodzie) widziało się go to tu, to tam, niby kolejne posągi młodego biegnącego boga, jedne w dobrze zresztą oświetlonem wnętrzu budynku przedłużającego się w zielone gazon, to znów wśród drzew, w blasku życia pod gołym niebem. Przez chwilę znalazł się obok nas. Albertyna odpowiadała mi z roztargnieniem. Patrzała na niego rozszerzonymi oczami. Przez kilka minut czułem, że można być obok osoby, którą się kocha, a jednak nie mieć jej przy sobie. Robili oboje wrażenie jakiegoś tajemniczego sam na sam, oniemionego moją obecnością; następstwo może dawnych schadzek, których nie znałem, lub tylko zamienionego spojrzenia, którego byłem krępującym i zbytecznym świadkiem. Nawet kiedy garson, odwołany nagle przez gospodarza, oddalił się, Albertyna robiła wrażenie, że restauracja i ogród są dla niej jedynie promienną bieżnią, gdzie zjawia się, to tu, to tam, na różnym tle, biegnący czarnowłosy bóg. Przez chwilę nie byłem pewny, czy ona nie zostawi mnie samego, aby biec za nim.

Ale w następnych dniach, rychło zacząłem zapominać na zawsze tego przykrego wrażenia, bom postanowił nigdy nie wracać do Rivebelle; kazałem sobie przyrzec Albertynie (upewniła mnie, że była tam pierwszy raz), że nie wróci tam nigdy. A ja przeczyłem aby garson o chyżych stopach wypatrywał na nią oczy, iżby nie sądziła, że moja obecność pozbawiła ją jakiejś przyjemności. Zdarzyło mi się czasem wpaść do Rivebelle, ale same-mu, i pić tam za dużo, jak bywało dawniej. Wypróżniając ostatni kieliszek, patrzyłem na rozetę wymalowaną na białej ścianie, skupiałem na niej wszystką rozkosz chwili. Jedynie ta rozeta istniała dla mnie; ścigałem ją oczami, dosięgałem jej i gubiłem ją naprzemian przelotnym spojrzeniem, obojętny na przyszłość, zadowolając się tą rozetą, niby motyl gdy krąży dokoła motyla, z którym ma dokonać życia w akcie szczytowej rozkoszy. Chwila była może szczególnie nadająca się dla wyrzeczenia się kobiety, gdy żadne świeże i dotkliwe cierpienie nie kazało mi błagać jej o ów balsam przeciwko bólowi, który posiadają te co ból sprawiły. Uspokajały mnie same owe spacer; mimo iż w danej chwili były dla mnie jedynie oczekiwaniem jutra, które znowuż, mimo pragnień jakie we mnie budziło, nie miało być czemś różnym od wczoraj, posiadały ten urok, że były wyrwane z miejsc, gdzie dotąd żyła Albertyna i gdzie mnie z nią nie było, u jej ciotki, u przyjaciółek. Był to urok, bardzo mocny zresztą, nie pozytywnej radości, ale tylko uśmierzenia niepokoju. Bo w kilka dni potem, kiedym znów myślał o fermie w której piliśmy jabłecznik, o spacerze koło Saint-Mars le Vêtu, kiedym sobie przypomniał Albertynę idącą koło mnie w swoim toczku, poczucie jej obecności przydało nagle tyle wartości obojętnemu obrazowi nowego kościoła, że w chwili gdy zalana słońcem fasada zjawiała się niejako sama z siebie w moim wspomnieniu, miałem wrażenie jakby to był wielki kojący kompres, przyłożony na moje serce.

Wysadzałem Albertynę w Parville, aby znów spotkać się z nią wieczór i wyciągnąć się obok niej w ciemności nad morzem. Oczywiście, nie widywałem jej codziennie, ale mogłem sobie choć powiedzieć: „Gdyby miała opowiedzieć swoje dni, swoje życie, i tak ja zajmowałbym w niem najwięcej miejsca.” Spędzaliśmy z sobą długie godziny, przepajające moje dni taką słodyczą, że nawet kiedy w Parville Albertyna wyskakiwała z auta, które miałem jej odesłać za godzinę, nie czułem się w aucie bardziej sam, niż gdyby wysiadając zostawiła w niem kwiaty. Byłbym się mógł obejść bez widywania Albertyny codziennie; żegnałem ją szczęśliwy, czułem iż końące działanie tego szczęścia może się rozciągać na kilka dni. Ale wówczas słyszałem jak Albertyna, rozstając się ze mną, mówiła do ciotki lub przyjaciółki:

— Zatem jutro o wpół do dziewiątej. Tylko się nie spóźnij, oni będą gotowi już o kwadrans na dziewiątą.

Mowa kobiety którą się kocha podobna jest do gruntu kryjącego podziemną i niebezpieczną wodę; w każdej chwili czuje się poza słowami obecność i wnikliwy chłód niewidzialnej tafli wodnej; widzi się tu i ówdzie zdradliwą wilgoć, ale samej wody nie. Ledwie usłyszał słowa Albertyny, przepadł mój spokój. Chciałem ją prosić o spotkanie nazajutrz rano, aby nie mogła iść o wpół do dziewiątej na tę tajemniczą schadzki, o której mówiła przy mnie półsłówkami. Usłuchałaby mnie z pewnością w pierwszych czasach, mimo iż żałując zepsutych projektów; potem odkryłaby moją ciągłą potrzebę niweczenia ich; stałbym się człowiekiem, przed którym ukrywa się wszystko. Bardzo być może zresztą, że te zabawy, z których mnie wykluczono, nie miały w sobie nic szczególnego; może mnie nie zapraszano z obawy iż któraś z uczestniczek mogłaby mi się wydać pospolita lub nudna. Nieszczęściem, owo moje życie tak splecione z życiem Albertyny miało wpływ nie tylko na mnie; mnie dawało spokój, matkę zaś przyprawiało o niepokoje, których zwierzenie zniweczyło znowuż mój spokój. Kiedy wracałem zadowolony, zdecydowany skończyć lada dzień tryb życia, którego koniec (sądziłem) zależał wyłącznie od mojej woli, matka, słysząc że każę szoferowi jechać po Albertynę, rzekła:

— Jak ty wyrzucasz pieniądze! (Franciszka, w swoim prostym wyrazistym języku, mówiła: „pieniądze lecą”). Staraj się — ciągnęła mama — nie być podobnym do młodego Sévigné, o którym matka mówiła: „Pieniądz topi mu się w ręce jak w tyglu”. I wiesz... zdaje mi się, że ty doprawdy nadużywasz tego obnoszenia się z Albertyną. Upewniam cię, że to przesada, że to nawet dla niej może się wydać bez sensu. Byłam bardzo rada, że cię to bawi; nie proszę cię abyś ją całkiem przestał widywać; ale ostatecznie, wolałabym abyście byli mniej nierozłączni.

Moje życie z Albertyną, życie pozbawione — przynajmniej w moim odczuciu — wielkich przyjemności, owo życie, które zamierzałem odmienić lada dzień, korzystając z godziny spokoju, stało mi się nagle na jakiś czas potrzebne, z chwilą gdy było zagrożone przez te słowa mamy. Powiedziałem matce, że słowa jej opóźniły może o dwa miesiące pożądaną decyzję, która bez nich byłaby zapadła przed końcem tygodnia. Mama zaczęła się śmiać (aby mnie nie zasmucać) z doraźnego skutku swoich rad; przyrzekła mi nie mówić już o tem, aby nie przeszkadzać odrodzeniu się moich intencji. Ale od śmierci babki, za każdym razem kiedy mama zaczynała się śmiać, wnet śmiech jej urywał się i kończył wyrazem niemal bolesnego łkania, czy to przez wyrzut że mogła na chwilę zapomnieć, czy wskutek nawrotu, którym owo tak krótkie zapomnienie wzmogło jeszcze jej okrutną żalność. Ale ze zgryzotą którą jej sprawiało wspomnienie babki, obecne w matce bez przerwy, uczułem, że tym razem łączy się inna zgryzota, związana z tem, że matka bała się następstw mojej zażyłości z Albertyną; zażyłości, której nie śmiała jednak krępować z powodu tego com jej powiedział. Ale nie zdawała się przekonana że ja się nie łudzę. Przypominała sobie, przez ile lat babka i ona sama nie wspominały mi już o pracy ani o higieniczniejszym sposobie życia, do którego, jak powiadałem, jedynie zdenerwowanie wywołane przez ich morały stało mi na zawadzie, a którego, mimo ich posłusznego milczenia, nie podjąłem.

Po obiedzie, auto przywoziło Albertynę; jeszcze było dość widno a już mniej gorąco, ale po upalnym dniu marzyliśmy oboje o nieznanym chłodzie; wówczas ukazywał się naszym zgorączkowanym oczom księżyc zrazu całkiem wąski (podobny księżycowi z owego wieczora, kiedy byłem na raucie u księżnej Marji i kiedy Albertyna później telefonowała do mnie), niby lekka i cienka skórka, potem jak świeża ćwiartka owocu obieranego na

niebie niewidzialnym nożem. Czasem znowuż wówczas trochę później — ja jechałem po Albertynę; miała mnie oczekiwać przed arkadami hali targowej w Maineville. W pierwszej chwili nie poznałem jej; niepokoiłem się już że nie przyjdzie, że mnie źle zrozumiała. Naraz zjawiała się w białej bluzce w niebieskie groszki, sadowiła się przy mnie w aucie lekkim skokiem raczej młodego zwierzęcia niż młodej dziewczyny. I również jak szczeniak zaczynała mnie pieścić bez końca.

Kiedy całkiem już zapadła noc i kiedy, jak powiadał dyrektor, niebo było całe uszatkowane gwiazdami, często jechaliśmy na spacer do lasu z butelką szampana; albo, nie troszcząc się o spacerowiczów włóczących się jeszcze po słabo oświetlonej didze, skąd nie było nic widać o dwa kroki na czarnym piasku, wyciągaliśmy się u stóp diuny. Trzymałem tuż około siebie, pod wspólnym pledem, nad brzegiem nieruchomego morza przedzielnego drżącym promieniem, ciało jej, gibkością swoją streszczające cały kobiecy, morski i sportowy wdzięk młodych dziewcząt, które ujrzałem pierwszy raz przeciągające nad widnokregiem fal; i słuchaliśmy bez znużenia tego morza, z jednaką przyjemnością, czy kiedy wstrzymywało oddech, na tyle zawieszony aby można było myśleć że odpływ się zatrzymał, czy kiedy gasło wreszcie u naszych stóp oczekiwanym i spóźnionym szmerem.

W końcu odwoziłem Albertynę do Parville. Skorośmy przybyli pod dom, trzeba było przerwać pocałunki, z obawy aby ktoś nas nie ujrzał; nie mając ochoty spać, Albertyna wracała ze mną do Balbec, skąd odwoziłem ją jeszcze raz do Parville; w owych pierwszych czasach automobilu, szoferzy to byli ludzie, którzy się kładli o dowolnej godzinie. I faktycznie wracałem do Balbec aż z pierwszą wilgocią ranną, wreszcie sam, ale jeszcze spowity obecnością przyjaciółki, zaopatrzony na długo w zapas pocałunków. Zastawałem na stole depezę lub kartę pocztową — jeszcze od Albertyny! Napisała do mnie z Quetteholme, podczas gdy ja odjechałem sam autem — aby mi powiedzieć, że myśli o mnie. Kładłem się do łóżka, odczytując jej słowa. Wówczas spostrzegłem nad frankami smugę jasnego dnia i powiadałem sobie, że musimy się chyba kochać, skorośmy spędzili noc na całowaniu się.

Kiedy nazajutrz rano spotykałem Albertynę na didze, tak się bałem jej odpowiedzi że nie jest tego dnia wolna i że nie będzie wspólnego spaceru, żem opóźniał swoją propozycję możliwie najdłużej. Byłem tem bardziej niespokojny, bo Albertyna miała wyraz chłodny, nieobecny; kręca się jej znajomi, z pewnością ma na popołudniu plany, z których mnie wykluczono. Patrzałem na nią, patrzałem na to urocze ciało, na różową główkę Albertyny, przeciwstawiającą mi niemo zagadkę swoich planów, nieznaną decyzję, która miała stanowić szczęście lub nieszczęście mojego popołudnia. Był to cały stan duszy, cała przyszłość istnienia, które przybrało w moich oczach alegoryczny i złowrogi kształt młodej dziewczyny. I kiedym się wreszcie zdecydował, kiedy możliwie najobojętniej spytałem: „Czy pojedziemy na spacer teraz i wieczorem”, ona zaś odpowiedziała: „Bardzo chętnie”, wówczas całe nagle przeobrażenie się — na tej różowej twarzy — mego długiego niepokoju w rozkoszny spokój czyniło mi jeszcze droższymi te kształty, którym bezustannie zawdzięczałem ową błogość, owo ukojenie, podobne temu jakiego się doznaje po burzy. Powtarzałem sobie: „Jaka ona miła, co za czarująca istota!” — w podnieceniu mniej płodnym niż alkoholowe, ledwie że głębszem niż egzaltacja przyjaźni, ale o wiele wyższem od wzruszeń życia światowego.

Odmawialiśmy auto jedynie w dniu kiedy był obiad u Verdurinów, lub kiedy, w razie przeszkód ze strony Albertyny, dawałem znać osobom pragnącym mnie odwiedzić, że zostaję w Balbec. Upoważniłem Roberta do odwiedzania mnie w te dni, ale tylko w te. Bo pewnego razu, kiedy się zjawił niespodzianie, wolałem się raczej wyrzec widzenia Albertyny niż ryzykować jej spotkanie z Robertem, narażać właściwy mi od jakiegoś czasu stan szczęśliwego spokoju i dopuszczać do nowych paroksyzmów zazdrości. I nie uspokoiłem się aż Saint-Loup wyjechał. Toteż zobowiązał się z żalem, ale skrupulatnie, nie zjawiać się nigdy w Balbec bez upoważnienia. Niegdyś, myśląc z zazdrością o godzinach, jakie spędza z Robertem pani de Guermantes, przywiązywałem taką cenę do widywania go! Ludzie zmieniają wciąż miejsce w stosunku do nas. W niedostrzegalnem ale wiekuistem posuwaniu się świata, zdają się nam nieruchomi w momencie wizji, zbyt krótkim abyśmy mogli odczuć ruch który ich unosi. Ale wystarczy nam wybrać w pamięci dwa obrazy zdjęte z nich w chwilach różnych ale na tyle bliskich aby dana osoba nie zmieniła

się wyraźnie sama w sobie, a różnica tych obrazów uzmysłowi nam jej przemieszczenie w stosunku do nas.

Saint-Loup zaniepokoił mnie straszliwie, wspominając o Verdurinach. Bałem się, aby mnie nie poprosił o wprowadzenie do nich, co by wystarczyło — z powodu mojej nieustannej zazdrości — aby zepsuć całą przyjemność czerpaną tam w towarzystwie Albertyny. Szczęściem, Robert zwierzył mi się, że wprost przeciwnie, za nic nie chce ich poznać. „Nie — powiedział — ten typ klerykalnych środowisk wydaje mi się okropny.” Nie zrozumiałem zrazu przymiotnika „klerykalny” w zastosowaniu do Verdurinów; ale dalsze słowa Roberta oświeciły mi jego myśl, jego koncesje dla modnych zwrotów, które nas dziwią często w ustach inteligentnych ludzi.

— To są środowiska — rzekł — gdzie wszyscy stanowią niby jedno plemię, gdzie się tworzy kongregacja, kapliczka. Nie powiesz mi, że to nie jest mała sekta; smaruje się tam miodem każdego kto do niej należy, smaga wzdrgająco tych co nie należą. Pytanie nie jest — jak dla Hamleta — *być albo nie być*, ale być albo nie być częścią „paczki”. Ty jesteś, wuj Charlus także. Cóż chcesz, ja tego nigdy nie lubiłem, to nie moja wina.

Rozumie się, iż zasadę, jaką nałożyłem Robertowi, aby mnie nie odwiedzał nie wzwany, zastosowałem równie ściśle do wszystkich osób z którymi zbliżyłem się w la Raspeliere, w Féterne, w Montsurvent i gdzieindziej; i kiedy spostrzegłem z hotelu dym przybywającego o trzeciej pociągu, który w skałach Parville gubił swój trwały pióropusz, długo uczepiony stoków zieleni, nie miałem żadnych wątpliwości co do osoby gościa, który przybywał na podwieczorek i który jeszcze, naksztalt jakiegoś boga, krył się przedemną w tej chmurze. Muszę wyznać, że tym gościem, z góry upoważnionym przeze mnie do przybycia, nie był prawie nigdy Saniette, co sobie często wyrzucałem. Ale świadomość własnej nudy (oczywiście jeszcze bardziej kiedy przyjeżdżał z wizytą, niż kiedy opowiadał jakąś historyjkę), sprawiała, iż Saniette, mimo że wykształceńszy, inteligentniejszy i lepszy od wielu innych, nie tylko nie sprawiał swoim towarzystwem żadnej przyjemności, ale przynosił wręcz z sobą nieznośny spleen, psujący człowiekowi całe popołudnie. Gdyby Saniette otwarcie wyznał swoją obawę znudzenia kogoś, wizyty jego nie byłyby tak groźne. Nuda jest jednym z najmniej poważnych cierpień; jego nuda istniała może tylko w wyobraźni innych, lub zaszczerpiono mu ją w drodze sugestji, której nie zdołała się oprzeć jego miła skromność. Ale tak bardzo pragnął utaić że nie jest chętnie widziany, iż nie śmiał się narzucać. Z pewnością dobrze czynił, nie naśladowując owych ludzi, co tak skwapliwie rozdają ukłony w miejscu publicznym, że, mimo iż was oddawna nie widzieli, spostrzegłszy was w łoży z wysoko położonymi osobami których nie znają, rzucają wam dorywcze i hałaśliwe „jak się masz!”, tłumacząc się przyjemnością, wzruszeniem jakie im sprawił twój widok i sposobność stwierdzenia żeś znów pojawił się w „świecie”, że dobrze wyglądasz etc. Saniette, przeciwnie, miał za mało tupetu. Mógłby, czy u pani Verdurin czy w kolejce, powiedzieć mi, że gdyby się nie lękał być natrętnym, chętnie by mnie odwiedził w Balbec. Taka propozycja nie przestraszyłaby mnie. Przeciwnie, on nie proponował nic, ale ze znękaną twarzą, ze spojrzeniem niezniszczalnym jak emalia, ale kryjącym gorączkową żądzę odwiedzenia mnie (o ile mu się nie trafiło coś przyjemniejszego) a zarazem chęć nie okazania tej żądzę, mówił swobodnie:

— Nie wie pan, co pan będzie robił w tych dniach, bo ja będę prawdopodobnie w pobliżu Balbec? Ale nie, to nie ma znaczenia, pytałem ot tak.

Ten wyraz twarzy nie mylił, odwrotnie zaś znaki, za pomocą których wyrażamy swoje uczucia przez ich przeciwieństwo, są tak czytelne, że trudno nam pojąć, jakim cudem istnieją jeszcze ludzie, powiadający naprzykład: „Mam tyle zaproszeń, że nie mogę sobie dać rady”, aby pokryć to, że nie są zaproszeni. Ale co więcej, ta swobodna mina, zapewne z powodu wszystkiego co wchodzi w jej mętny skład, przyprawia was o to, czego nie zdołałaby sprawić obawa znudzenia lub szczere wyznanie chęci widzenia was; rodzaj niesmaku, odrazy, będących, w zakresie stosunków towarzyskich, tem, czem jest w miłości pośrednia propozycja widzenia się nazajutrz, jaką zakochany robi nie kochającej go damie, starając się zarazem okazać że mu na tem nie zależy. Czasem jest to nawet nie propozycja, ale odcień fałszywego chłodu. Natychmiast z osoby Saniette’a wydzielalo się coś, co sprawiało, że mu się odpowiadało najczulej w świecie: „Niestety, w tym tygodniu nie; wytłumaczę to panu”... I zapraszałem w jego miejsce ludzi, którzy nie dorastali go wartością, ale nie mieli jego nabrzmiałego melancholią wzroku i ust skurczonych całą goryczą

wizyt, które miał ochotę (głęboko zamilczaną) złożyć. Niestety rzadko się zdarzało, aby Saniette nie spotkał w kolejce gościa jadącego do mnie; czasami sam ów gość mówił do mnie u Verdurinów: „Niech pan nie zapomni, że mam być u pana we czwartek” — właśnie w dniu gdy dla Saniette’a nie byłem wolny. Tak że w końcu Saniette wyobrażał sobie życie jako pasmo rozrywek organizowanych bez jego wiedzy, o ile wręcz nie przeciwko niemu. Z drugiej strony, ponieważ nigdy nie jesteśmy całkiem jednolici, ten człowiek nazbyt dyskretny był chorobliwie niedyskretny. Jedyny raz, kiedy przypadkowo Saniette odwiedził mnie bez mojej woli, jakiś list — nie wiem już od kogo — wałęsał się na stole. Po chwili zauważyłem, że Saniette ledwo słucha tego co do niego mówię. Ów list, którego pochodzenia Saniette absolutnie nie znał, niepokoił go! zdawało się, że jego emaliowane źrenice wyrwą się ze swoich orbit, aby dosięgnąć list, obojętny, ale namagnesowany jego ciekawością. Rzekłbyś ptak, który rzucił się nieuchronnie na węża. W końcu nie mógł wytrzymać; przesunął list, niby to robiąc porządek. To mu nie wystarczyło: wziął list, kręcił go; obracał, jakby machinalnie. Inną formą jego niedelikatności było to, że przypiąwszy się do ciebie, nie umiał odejść. Ponieważ byłem tego dnia cierpiący, prosiłem go aby odjechał najbliższym pociągami odchodzącym za pół godziny. Nie wątpił że cierpię, ale rzekł: „Zostanę jakąś godzinę, potem pojedę”. Od tego czasu dręczyło mnie, że go nie zapraszał przy każdej sposobności. Kto wie? Możeby odczynił jego zły urok, może zaprosiliby go inni, dla których byłby mnie niezwłocznie rzucił, tak iż moje zaproszenia miałyby podwójną korzyść: jemu wróciłyby radość życia, a mnie uwolniłyby od niego.

W dniu następujące po takiej recepcji, nie spodziewałem się oczywiście wizyt; i znów zajeżdżało auto po Albertynę i po mnie. A kiedyśmy wracali, Aimé, stojąc w progu, nie mógł się wstrzymać aby nie śledzić namiętnym, ciekawym i łakomym wzrokiem, ile napiwku dają szoferowi. Daremnie kryłem sztukę monety lub banknot w zamkniętej dłoni; spojrzenia Aimégo rozsuwały moje palce. Po sekundzie odwracał głowę, bo był dyskretny, dobrze wychowany i zadowalał się dość skromnymi obrywkami. Ale pieniądze dawane innemu budziły w nim niezrozumiałą ciekawość, sprowadzały mu ślinę do ust. Podczas tych krótkich chwil, miał uważną i zgorączkowaną minę dziecka czytającego powieść Verne’a lub minę gościa siedzącego opodal w restauracji, gdy, widząc iż krają dla was bażanta, na którego on nie chce lub nie może sobie pozwolić, porzuca na chwilę poważne myśli, aby wlepić w ptaka rozpromienione miłością i żądzą spojrzenie.

Tak więc, moje spacerowanie autem powtarzały się codzień. Ale raz, w chwili gdy wracał windą, chłopiec oznajmił mi: „Ten pan był u pana, zostawił zlecenie”. Wyrzekł te słowa głosem absolutnie złamanym, kaszląc i plując mi w twarz. „Co ja za katar złapałem!” — dodał, tak jakbym ja tego nie mógł zauważyć sam. „Doktor powiada, że to jest koklusz” — i dalej zaczął kaszleć i pluć na mnie. „Proszę się nie trudzić mówieniem” — rzekłem z dobrocią, niestety udaną. Bałem się zarazić kokluszem, który — przy mojej skłonności do astmy — byłby dla mnie nader uciążliwy. Ale on — jak wirtuoz który nie chce poddać się chorobie — wkładał swoją ambicję w to aby mówić i pluć cały czas. „Nie, to nic — rzekł (dla ciebie może — pomyślałem — ale nie dla mnie). Zresztą niedługo wracam do Paryża. (Tem lepiej, byle mi tylko nie wpakował choroby wcześniej). Zdaje się — ciągnął — że Paryż to coś bardzo wspaniałego. To ma być jeszcze wspanialsze niż nasz hotel i niż Monte Carlo, mimo że pikolaki, a także goście, i nawet kelnerzy, którzy bywali w Monte-Carlo w sezonie, mówili mi często, że Paryż jest mniej wspaniały niż Monte-Carlo. Może im się tak zwidziało, chociaż żeby być starszym kelnerem, człowiek nie może być głupi; przyjmować zamówienia, rezerwować stoliki, na to trzeba mieć głowę! Mówią, że to jeszcze cięższe niż pisać sztuki do teatru i książki.”

Dojechaliśmy prawie na moje piętro, kiedy windziarz ściągnął mnie na sam dół, bo uważał że guzik źle funkcjonuje. W mgnieniu oka poprawił go. Oświadczyłem, że wolę wracać pieszo, w czym taίło się wyznanie, że wolę nie dostać koklusza. Ale on, serdecznym i zaraźliwym atakiem kaszlu, wtrącił mnie z powrotem do windy. „Teraz już pan nic nie ryzykuje, naprawiłem guzik” — rzekł. Widząc że nie przestaje gadać, ciekawszy nazwiska gościa oraz zlecenia jakie mi zostawił, niż porównań piękności Balbec, Paryża i Monte-Carlo, rzekłem chłopcu (jak tenorowi, który cię męczy Benjaminem Godard, mówi się: „zaśpiewaj pan lepiej coś Debussy’ego”):

— Ale kto się pytał o mnie?



— Ten pan, z którym pan jeździł wczoraj. Poszukam kartki, została u odźwiernego.

Ponieważ w wilię odwoziłem Roberta na stację Doncières zanim się udałem po Albertynę, sądziłem że chłopiec mówi o Robercie; ale to był szofer. Określając go słowami: „Ten pan, z którym pan jeździł wczoraj”, windziarz uprzytomnił mi zarazem, że robotnik jest równie dobrze „panem” jak człowiek światowy. Lekcja tycząca jedynie słów. Bo, co do samej rzeczy, nigdy nie robiłem różnic między klasami. A jeżeli, słysząc że ktoś nazywa szofera „panem”, objawiłem to samo zdziwienie co hrabia X, który, będąc hrabią dopiero od tygodnia, kiedyś doń powiedział: „Hrabina wydaje się zmęczona”, obrócił głowę aby zobaczyć o kim mówię, było to jedynie przez nieobycie ze słownikiem; nie robiłem nigdy różnic między robotnikami, mieszczaństwem i wielkimi panami, i mógłbym się bez różnicy przyjaźnić z tymi lub tamtymi, z pewną predylekcją do robotników a potem do wielkich panów, nie z upodobania, ale przez świadomość, że można od nich wymagać więcej grzeczności wobec robotników niż się jej można spodziewać u mieszczan; czy że wielcy panowie nie gardzą robotnikami jak mieszczenie, czy że są chętnie grzeczni wobec każdego, jak ładne kobiety rade są darzyć wszystkich uśmiechem, w poczuciu że zawsze będzie przyjęty z radością. Ten mój obyczaj, aby osoby z ludu traktować narówni z osobami ze świata, o ile spotykał się z uznaniem światowców, o tyle nie mogę powiedzieć, aby zawsze przypadł do smaku matce. Nie znaczy to, aby, biorąc po ludzku, robiła kiedy różnicę między ludźmi. Jeżeli kiedy Franciszka miała zgryzotę lub była cierpiąca, mama pielęgnowała ją i pocieszała tak samo czule, z takim samym poświęceniem, co najlepszą przyjaciółkę. Ale matka zanadto była córką mego dziadka, aby nie uznawać kast. „Ludzie z Combray” mogli mieć serce, wrażliwość, mogli sobie przyswoić piękne teorie równości; ale kiedy któryś służący pozwolił sobie odezwać się do mnie przez „vous”, emancypując się nieznacznie z mówienia w trzeciej osobie, matka przyjmowała uzurpację z tem samym niezadowolaniem, jakie wybucha w *Pamiętnikach* Saint-Simona za każdym razem kiedy magnat jakiś, nie mający do tego prawa, uzurpuje sobie tytuł *Altesse* w urzędowym akcie, lub nie oddaje diukom tego co im powinien a od czego stopniowo się zwalnia. Istniał „duch Combray”, tak uparty, że trzeba będzie wieków dobroci (dobroć mamy była nieskończona) i teoryj socjalnych, aby go zneutralizować. Muszę przyznać, że u mamy pewne części tego ducha pozostały nierozpuszczalne. Równie trudno podałaby rękę lokajowi, jak łatwo dawała mu dziesięć franków (które mu zresztą sprawiały znacznie więcej przyjemności). Mimo żeby tego może nie przyznała, panowie to byli dla niej panowie, a służba to byli ludzie co jadają w kuchni. Kiedy widziała, jak szofer jadł ze mną obiad w jadalni, nie była zbyt rada i mówiła: „Zdaje mi się, że mógłbyś znaleźć odpowiedniejszego przyjaciela”, tak jakby powiedziała, gdy chodziło o małżeństwo: „Mógłbyś znaleźć lepszą partję”.

Szofer (na szczęście nigdy nie przyszło mi na myśl zaprosić tego szofera) przyszedł oznajmić, że przedsiębiorstwo samochodowe, które go wysłało na sezon do Balbec, każe mu wracać już jutro do Paryża. Rację tę wzięliśmy za szczerą prawdę, zwłaszcza że szofer był uroczy i że wyrażał się tak poprostu, iż słowa jego budziły zawsze wiarę naksztalt słów ewangelji. Było to prawdą jedynie w połowie. Nie miał w istocie już nic do roboty w Balbec. I w każdym razie, przedsiębiorstwo, mając tylko połowiczne zaufanie do prawdomówności młodego ewangelisty, wspartego na swoim symbolicznym kole, pragnęło go ujrzyć co rychlej w Paryżu. I w istocie, o ile młody apostoł cudownie skutecznie mnożenie kilometrów licząc je panu de Charlus, w zamian za to, kiedy chodziło o zdanie rachunków swojej władzy, dzielił przez sześć to co zarobił. W rezultacie, przedsiębiorstwo, myśląc że albo już nikt nie jeździ na spacer w Balbec (co o tej porze było prawdopodobne), albo że zachodzi ewentualność kradzieży, uznało, w obu wypadkach, że najlepiej będzie odwołać szofera do Paryża, gdzie zresztą też nie wiele było roboty. Pragnieniem szofera było uniknąć o ile możebne martwego sezonu. Wspomniałem — czegom nie wiedział wówczas a czego świadomość oszczędziłaby mi wielu zgryzot — że on był bardzo blisko z Morelem, mimo iż nigdy nie zdradzili że się znają. Poczawszy od dnia kiedy odwołano szofera (nie wiedząc jeszcze, że on znajdzie sposób aby nie pojechać), musieliśmy przestać na spacerach najętym powozem, lub czasem wierzchem dla rozerwania Albertyny, która lubiła jazdę konną. Powozy były liche. „Co za gruchot!” — mówiła Albertyna. Często byłbym zresztą wołał być w powozie sam. Nie chcąc określać sobie daty, pragnąłem aby się skończyło owo życie, które winiłem że mnie okrada nietyłe z pracy ile z przyjem-

ności. Ale zdarzało się również, że przyzwyczajenia, które mnie wiązały, znikaly nagle, najczęściej kiedy jakiś dawny *ja*, żądny życia i wesela, zastępował na chwilę obecne *ja*. Odczułem tę potrzebę ucieczki zwłaszcza pewnego dnia, kiedy, zostawiwszy Albertynę u ciotki, wybrałem się konno do Verdurinów i puściłem się przez las dziką drogą, której piękność mi zachwalali. Naginając się do konturów skalistego brzegu, droga to wspinała się w górę, to znów, wciśnięta w bukiety gęstych drzew, zapuszczała się w dzikie wąwozy. Przez chwilę, otaczające mnie nagie skały, morze widziane przez ich blanki, migaly mi przed oczami niby fragmenty innego świata; poznałem górzysty i morski pejzaż, jak Elstir dał za tło dwom cudownym akwarelom: „Poeta spotykający muzę” i „Młody człowiek spotykający centaury”, które widziałem u księżnej Oriany. Wspomnienie ich przenosiło oglądane przezemnie miejsca tak dalece poza świat obecny, że nie zdziwiłbym się, gdybym, jak przedhistoryczny młody człowiek u Elstira, minął w czasie przechadzki jaką mitologiczną osobę. Naraz, koń stanął dęba; usłyszał szczególny hałas, ledwie go zdołał opanować i nie spaść na ziemię; zaczem podniosłem oczy pełne łez ku punktowi skąd zdawał się pochodzić hałas, i ujrzałem, na pięćdziesiąt metrów nad sobą, w słońcu, między dwoma lśnjącymi stalowymi skrzydłami, istotę, której niewyraźna twarz zdała mi się podobna do twarzy człowieka. Byłem równie wzruszony jak mógłby być wzruszony Grek, ujrawszy pierwszy raz półboga. Płakałem również, bo byłem gotów płakać od chwili gdym poznał, że hałas płynie z nad mojej głowy — samoloty były jeszcze rzadkie w owej epoce — na myśl, że to co widzę pierwszy raz, to jest samolot. Wówczas — jak wtedy kiedy się czuje że zbliża się w dzienniku wzruszające słowo — czekałem tylko widoku samolotu, aby się zalać łzami. Tymczasem lotnik zdawał się wahać w drodze; czułem, że się otwierają przed nim — przedemną, gdyby przyzwyczajenie nie uczyniło mnie więźniem — wszystkie drogi przestrzeni, życia; pomknął dalej, bujał jakiś czas nad morzem, poczem, powziąwszy nagle decyzję, zdając się ustępować jakiemuś odwrotnemu do praw ciężkości przyciąganiu, jakgdyby wracając w swoją ojczyznę, lekkim ruchem złotych skrzydeł pomknął prosto ku niebu.

Ale wróćmy do szofera. Zażądał od Morela nietylko tego, aby Verdurinowie zastąpili swój breack autem (co, zważywszy hojność Verdurinów w stosunku do wiernych, było stosunkowo łatwe), ale zażądał rzeczy trudniejszej: mianowicie aby w miejsce stangreta (owego młodego człowieka wrażliwego i skłonnego do melancholji) wzięli jego samego. Spełniło się to w ciągu kilku dni w następujący sposób. Na początek, Morel postarał się aby stangretowi ukradziono wszystko co było potrzebne do zaprzęgu. Jednego dnia nie znalazł wędzidla, drugiego dnia łańcuszka. To znowuż znikła poduszka z kozła; wreszcie bat, koc, gąbka, skóra zamiszowa. Ale zawsze dał sobie jakoś radę, pożyczył od sąsiadów, tyle tylko że zajeżdżał późno, co drażniło pana Verdurin, jego zaś samego grążyło w smutku i melancholji. Szofer, któremu pilno było objąć miejsce, oświadczył Morelowi, że wraca do Paryża. Trzeba było zadać stanowczy cios. Morel wmówił w służbę pana Verdurin, iż młody stangret odgrażał się że ich wszystkich wciągnie w pułapkę i że da sobie rady bodaj z sześcioma; Morel wytłumaczył im, że tego nie mogą puścić płazem. On sam nie może się w to mieszać, ale uprzedza ich, aby się załatwili ze śmiałkiem. Ułożono, że podczas gdy państwo Verdurin i goście będą na spacerze, oni wezmą się w stajni do nieboraka. Wspomnę — mimo iż to była tylko okazja do tego co się miało zdarzyć, ale dlatego że te osoby interesowały mnie później — że tego dnia bawił u Verdurinów jakiś przyjaciel, na którego cześć, przed jego wyjazdem, postanowionym na ten właśnie wieczór, ułożono pieszy spacer.

Bardzo mnie zdziwiło, kiedyśmy szli na przechadzkę, że właśnie tego dnia Morel, który miał iść z nami pieszo i grać na skrzypcach w lasku, powiedział mi:

— Słuchaj pan, ręka mnie boli, nie chcę tego mówić pani Verdurin, ale niech ją pan poprosi, aby wzięła kogoś ze służby, na przykład Howslera, zanieś moje skrzypce.

— Sądzę, że inny lepiej by się nadał — rzekłem. — Howsler usługuje do obiadu.

Wyraz gniewu przebiegł twarz Morela.

— Ale nie, nie mam ochoty powierzać skrzypiec byle komu.

Zrozumiałem później rację tego wyboru. Howsler był ukochanym bratem młodego stangreta i gdyby został w domu, mógłby mu pospieszyć z pomocą. W czasie przechadzki, Morel rzekł cicho, tak aby starszy Howsler nie mógł nas usłyszeć:

— To bardzo pocziwy chłopak. Zresztą brat jego również jest pocziwy. Gdyby nie miał tego fatalnego nałogu picia...

— Jakto, picia? — rzekła pani Verdurin, blednąc na myśl, że ma stangreta który pija.

— Pani tego nie zauważyła? Zawsze sobie powtarzam, że to cud, że jemu się nie zdarzył wypadek w czasie gdy z panią jedzie...

— Ależ on jeździ i z innymi?

— Niech się pani spyta, ile on razy wywrócił; twarz ma dziś całą posiniaczoną. Nie wiem, jakim cudem się nie zabił; połamał dyszel.

— Nie widziałam go dzisiaj — rzekła pani Verdurin, drżąc na samą myśl tego, co się jej mogło przytrafić — martwi mnie pan.

Chciała skrócić przechadzkę, aby wracać do domu. Aby ją zatrzymać, Morel zaczął grać *Air* Bacha, przeciągając grę nieskończonymi warjacjami. Za powrotem, pani Verdurin poszła do wozowni, ujrzała nowy dyszel i Howslera we krwi. Chciała mu powiedzieć, nie robiąc wymówek, że nie potrzebuje już stangreta i wypłacić go, ale on sam, nie chcąc obwiniać kolegów, których niechęci przypisywał wstecz codzienną kradzież upręży, a widząc że dalsza cierpliwość mogłaby go kosztować życie, oznajmił że chce odejść, co rozwiązało sytuację. Szofer zgodził się od jutra, później zaś pani Verdurin (która musiała wziąć innego) była z niego tak zadowolona, że mi go gorąco poleciła jako człowieka absolutnie pewnego. Nie wiedząc o niczem, wziąłem go na dniówkę w Paryżu. Ale za nadto uprzedzam wypadki: wszystko to znajdzie się w historii Albertyny. W tej chwili jesteśmy w la Raspelière, dokąd przybyłem na obiad pierwszy raz z moją przyjaciółką, a p. de Charlus z Morelem, domniemanym synem „intendenty”, mającego trzydzieści tysięcy franków stałej pensji, własny powóz i mnogość marszałków dworu, urzędników, ogrodników, rządców i dzierżawców pod swymi rozkazami. Ale, skoro tak bardzo uprzedziłem wypadki, nie chcę zostawiać czytelnika pod wrażeniem absolutnej niegodziwości Morela. Był on raczej pełen przeciwieństw, zdolny w pewnych dniach do prawdziwej dobroci.

Byłem oczywiście bardzo zdziwiony, dowiadując się, że stangreta oddalono, a bardziej jeszcze widząc jego następcę szofera, który woził Albertynę i mnie. Ale ów opowiedział mi skomplikowaną historię, wedle której rzekomo wrócił do Paryża, skąd go wezwano do Verdurinów; ani na chwilę nie wątpiłem o prawdzie jego opowieści. Dymisja stangreta była przyczyną, że Morel wdał się ze mną w rozmowę, aby wyrazić żal z powodu odprawy tego dzielnego chłopca. Zresztą nawet poza chwilami gdy byłem sam i kiedy Morel rzucał się dosłownie na mnie z wybuchem radości, skrzypek, rozumiejąc że jestem mile widziany w la Raspelière i czując że się dobrowolnie wyrzeka przyjaźni z kimś kto nie jest dlań niebezpieczny (skoro mi kazał spalić mosty i pozbawił mnie wszelkiej możliwości przybierania wobec niego protekcyjnych tonów, czego zresztą bynajmniej nie zamierzałem czynić), przestał mnie unikać. Przypisałem tę zmianę wpływowi pana de Charlus, który w istocie czynił Morela na niektórych punktach mniej ograniczonym, bardziej artystą; na innych zato, w których Morel dosłownie stosował wielomowne, kłamliwe i kapryśne zresztą zasady mistrza, ogłupił go jeszcze bardziej. To, co mu mógł mówić p. de Charlus, było zresztą jedyną rzeczą, której się mogłem domyślać. Jak mógłbym zgadnąć wówczas to, czegom się dowiedział później (i czegom nigdy nie był pewny, ile ze wszelkie relacje Anny w przedmiocie Albertyny, zwłaszcza późniejsze, zdawały mi się zawsze mocno podejrzanym, bo, jak widzieliśmy niegdyś, Anna nie kochała szczerze Albertyny i była o nią zazdrosna), a co w każdym razie, jeżeli było prawdą, oboje ukrywali przedemną bardzo starannie: mianowicie że Albertyna znała się dobrze z Morelem.

Nowy system, jaki, w epoce odprawienia stangreta, Morel przybrał w stosunku do mnie, pozwolił mi zmienić o nim zdanie. Zachowałem o jego charakterze brzydkie pojęcie, powzięte z uniżoności tego młodego człowieka w chwili gdy mnie potrzebował, a następnie — skoro tylko oddałem mu usługę — ze wzgardy posuwającej się do ignorowania mnie. Przybywała do tego oczywistość jego przedajnych stosunków z panem de Charlus, a także bestjałskich instynktów, których niezaspokojenie (kiedy się to zdarzyło) lub wywołane niemi komplikacje powodowały jego smutek; ale ten charakter nie był tak jednolicie brzydki i pełen sprzeczności. Podobny był do starej średniowiecznej książki, pełnej błędów, niedorzecznych tradycji, obsceniów — był nadzwyczaj złożony. Sądziłem zrazu, że sztuka, w której stał się istotnie mistrzem, dała Morelowi coś, co przekracza technikę wirtuoza. Jednego razu, kiedym wyrażał pragnienie wzięcia się do

pracy, Morel rzekł: „Pracuj pan, stań się pan wielki. — Kto to powiedział? — spytałem. — Fontanes do Chateaubrianda.” Znal także korespondencję miłosną Napoleona. Dobrze, pomyślałem; odczytany jest. Ale to zdanie, wyczytane niewiadomo gdzie, było z pewnością jedynem które znalazłem z całej starej i nowej literatury, bo mi je powtarzał co wieczór. Innem zdaniem, które mi powtarzał częściej, aby mnie powstrzymać od mówienia o nim czegokolwiek, był cytat, który on uważał również za literacki, a który zaledwie jest francuski lub raczej niema żadnego sensu, chyba dla maskującego się lokaja: „Nie ufajmy nieufnym”. W gruncie, idąc od tej idjotycznej maksymy aż do słów Fontanes’a do Chateaubrianda, możnaby przebiec całą partję charakteru Morela, różnorodną ale mniej sprzeczną niżby się zdawało. Chłopiec ten, który, byle widział w tem korzyść pieniężną, zrobiłby wszystko, i to bez wyrzutów sumienia — może nie bez szczególnej przykrości, dochodzącej do ataków nerwowych, ale niezbyt podpadającej pod pojęcie „wyrzutów”; który gdyby w tem znalazł korzyść, pogrążyłby w zgryzocie, nawet w żalobie, całe rodziny; ten chłopak, stawiający pieniądze ponad wszystko, ponad (nie mówiąc już o dobroci) najnaturalniejsze uczucia prostej ludzkości, ten sam chłopak stawiał jednak ponad pieniądze swój dyplom laureata konserwatorjum oraz swoją opinię w klasie fletu lub kontrapunktu. Toteż jego najwścieklejsze wybuchy, najbardziej ponure i nieusprawiedliwione złe humory pochodziły z tego, co (generalizując z pewnością kilka wypadków niechęci) nazywał powszechnem szelmstwem. Pochlebiał sobie, że go uniknie, nie mówiąc nigdy o nikim, kryjąc swoje intencje, wystrzegając się całego świata. (Na moje nieszczęście — co miało się okazać po moim powrocie do Paryża — nieufność Morela nie stosowała się do szofera z Balbec, w którym z pewnością wyczuł podobnego sobie, to znaczy, sprzecznie z maksymą Morela, nieufnego w dobrem pojęciu słowa, nieufnego który milczy uparcie wobec porządných ludzi a natychmiast znajduje porozumienie z szują). Zdawało mu się — co nie było absolutnie fałszywe — że ta nieufność pozwoli mu zawsze wyjść z korzyścią z każdej sytuacji, przemknąć się bez niebezpieczeństw przez najdrażliwsze przygody, tak aby mu nie można było niczego nietylko dowieść ale nawet zarzucić w instytucie przy ulicy Bergère. Będzie pracował, stanie się sławny, zostanie może wciąż nieskazitelny, czcigodny — prezesem skrzypcowego *jury* na konkursach tego tak imponującego Konserwatorjum!

Ale rozbierając te sprzeczności, przypisujemy może za wiele logiki mózgowi Morela. W rzeczywistości, natura jego była doprawdy jak papier tak pognieciony na wszelkie sposoby, że niepodobna było coś odczytać. Zdawał się mieć zasady dość górne i posiadając wspaniały charakter pisma, zeszczonego straszliwą ortografią, spędzał całe godziny na pisaniu do brata że źle postąpił z siostrami, że jest ich starszym bratem, podpora, a do siostr, że popełniły jakąś niewłaściwość wobec niego samego.

Niebawem, pod koniec lata, kiedy się wysiadało z kolejki w Douville, słońce przyćmione mgłą tworzyło już tylko czerwony krąg na niebie jednostajnego koloru lila. Wielkiemu spokojowi, który zstępuje wieczór na te gęste i słone łąki i który skłaniał wielu paryżan, przeważnie malarzy, do spędzania lata w Douville, towarzyszyła wilgoć, każąca im wcześniej wracać do małych will. W wielu mieszkaniach już się paliła lampa. Jedynie kilka krów zostawało na dworze; patrzyły na morze rycząc, gdy inne, bardziej zainteresowane ludzkością, kierowały swoją uwagę na nasze powozy. Jeden tylko malarz, ustawivszy stalugi na małej wyniosłości, pracował, starając się oddać ten wielki spokój, to uciszone światło. Może krowy miały mu nieświadomie i dobrowolnie posłużyć za modele, bo ich zaduma i ich samotna obecność, kiedy ludzie weszli już do domów, przyczyniała się na swój sposób do przemożnego wrażenia spoczynku, jakie wydziela wieczór.

W kilka tygodni później, transpozycja była nie mniej przyjemna, kiedy, z posuwaniem się jesieni, dni stały się bardzo krótkie i trzeba było odbywać tę drogę w nocy. Jeżeli byłem na jakiej wycieczce popołudniu, należało wracać się ubrać, najpóźniej o piątej, kiedy słońce, teraz okrągłe i czerwone, zeszło już do połowy skośnego lustra — niegdyś nienawistnego — i niby jakiś grecki ogień zapalało morze w szybach wszystkich szaf na książki. Podczas gdy wkładał smoking, jakiś czarnoksięski gest wskrzesił owo żwawe i płochę *ja*, będące mojem *ja* wówczas gdy jechał z Robertem na obiad do Rivebelle, lub owego wieczora kiedym wierzył że zawiozę pannę de Stermaria na wyspę do Lasku; nuciłem bezwiednie tę samą melodię co wówczas; i dopiero spostrzegając to, poznawałem po piosence przygodnego śpiewaka, umięjącego w istocie tylko tę jedną. Za pierwszym

razem kiedyś nucił tę piosnkę, zaczynałem kochać Albertynę, ale sądziłem że jej nie poznam nigdy. Później, w Paryżu — wówczas gdy przestał ją kochać, i w kilka dni po tem jak ją posiadałem pierwszy raz. Teraz śpiewałem to samo kochając ją na nowo, w chwili gdy jechał z nią na obiad, ku wielkiemu żalowi dyrektora, obawiającego się że ja w końcu zamieszkać w la Raspelière i porzucę jego hotel: jakoż upewniał mnie, iż słyszał że tam panuje febra, idąca z bagien Bac i z ich „stagnancji”. Byłem szczęśliwy z tej wielorakości życia rozwijającego się na trzech planach; a przytem, kiedy się znów stajemy na chwilę dawnym człowiekiem, to znaczy różnym od tego jakim jesteśmy tak długo, wrażliwość, nie stepiona już przyzwyczajeniem, odczuwa najłżejsze wstrząsy tak żywych wrażeń, które każą błędnać wszystkiemu co je poprzedzało i których, dla ich siły, czepiamy się z dorywczym entuzjazmem pijaka.

Była już noc, kiedyśmy siadali do omnibusu lub wehikułu, mającego nas zawieźć na kolejkę. W hallu, prezydent z Caen powiadał:

— A, jedzicie państwo do la Raspelière! Dalipan, ma tupet ta pani Verdurin, kazać się wam tłuc godzinę po nocy poto aby zjeść poprostu obiad. A potem znów robić tę drogę o dziesiątej wieczór przy tym wietrze jak wszyscy djabli. Widać zaraz, że nie macie nic do roboty — dodał zacierając ręce.

Z pewnością prezydent mówił tak z urazy że go nie zaproszono, a także przez zadowolenie, jakie czerpią ludzie „zajęci” — choćby najgłupszą pracą — stąd że „nie mają czasu” na to co robi ktoś inny.

Niewątpliwie, godziwą rzeczą jest, że człowiek, który układa raporty, sumuje cyfry, odpowiada na listy w interesach, śledzi kursy giełdowe, że człowiek taki doznaje miłego uczucia wyższości, kiedy wam mówi podśmiechując się: „To dobre dla ludzi, co jak pan nie mają nic do roboty”. Ale ta wyższość objawiałaby się równie wzgardliwie, bardziej nawet (bo ostatecznie i ludzie zajęci chodzą na proszone obiady), gdyby waszą rozrywką było pisać *Hamleta*, lub bodaj czytać go. I w tem owi ludzie „zajęci” nie mają racji. Bo bezinteresowna kultura, która — zaskoczona niejako „na gorącym uczynku” — wydaje się im pociesznym zabijaniem czasu dla próżniaków, jest — o czem winnyby pomyśleć — tą samą, która w ich własnym zawodzie wyróżnia ludzi, może nie lepszych urzędników lub administratorów od nich samych, ale nakazujących szacunek swoim szybkim awansem, co sprawia że się o nich mówi: „Zdaje się, że to człowiek wszechstronnie wykształcony, człowiek zupełnie niepospolity.” Ale zwłaszcza prezydent nie zdawał sobie sprawy, że w tych obiadach w la Raspelière mnie się podobało właśnie to, że — jak sam powiadał słusznie, ale w sensie ujemnym — stanowiły one „istną podróż”, podróż której urok zdawał mi się tem żywszy przez to że nie była sama w sobie celem, że nie szukało się w niej przyjemności — ile że ta przyjemność wiązała się ze spodziewanem zebraniem, bardzo znowuż odmiennem od innych przez otaczającą atmosferę.

Była już teraz noc, kiedyśm zamieniał ciepło hotelu, będącego dla mnie ogniskiem domowym na wagon, do którego wsiadaliśmy i gdzie odbłask latarni na szybie oznajmiał, w momentach przystanku dychawicznej kolejki, że się przybyło na jakąś stację. Nie słysząc nazwy stacji i aby nie ryzykować że nas Cottard nie spostrzeże, otwierałem okno, ale zamiast „wiernych” wdzieriał się do wagonu tylko wiatr, deszcz, zimno. W ciemności widziałem wieś, słyszałem morze, byliśmy w szczerem polu. Zanim złączyliśmy się z gromadką, Albertyna przeglądała się w lusterku, wyjętem ze złotego nesaseru, który brała z sobą. W czasie pierwszych wizyt pani Verdurin prowadziła ją do gotowalni aby się ogarnęła przed obiadem; wówczas, w pełni głębokiego spokoju, w jakim żyłem od jakiegoś czasu, doznawałem lekkiego odruchu niepokoju i zazdrości że muszę rozstać się w sieni z Albertyną; przez czas który pozostawałem sam w salonie, pośród małego klanu, byłem tak niespokojny, tak wciąż zadawałem sobie pytanie co ona robi na górze, że nazajutrz, poprosiwszy pana de Charlus o wskazówki w tej mierze, zamówiłem telegraficznie u Cartiera najwykwintniejszy nesaser, który stał się radością Albertyny, a także i moją. Był dla mnie zakładem spokoju, a także starań mojej przyjaciółki. Bo ona z pewnością zgadła, że ja nie lubię kiedy znika bezemnie z panią Verdurin i zawsze dopełniała w wagonie przedobiedniej toalety.

Wśród „wiernych” pani Verdurin najwierniejszym ze wszystkich był obecnie od kilku miesięcy p. de Charlus. Regularnie trzy razy na tydzień, podróżni tkwiący w poczekalniach lub na peronie Doncierres-Ouest widzieli tego otyłego mężczyznę z siwymi włosami

mi, czarnymi węsami, z wargami ożywionymi szminką, mniej widoczną z końcem sezonu niż w lecie, kiedy jasny dzień uwydatniał jej barwy, a upał czynił ją wpół płynną. Kierując się do kolejki, baron nie mógł się wstrzymać — jedynie z nawyku znawcy, bo teraz miał w sercu uczucie, gwarantujące jego czystość lub bodaj (przeważnie) wierność — aby nie objąć tragarzy, żołnierzy, młodych ludzi w tenisowym stroju, ukradkowem, badawczem i nieśmiałem spojrzeniem, poczem spuszczał natychmiast powieki przymykając oczy, z namaszczaniem duchownego odmawiającego różaniec, z surowością nieskazitelnej małżonki lub dobrze wychowanej panienki. Wierni byli przekonani, że baron ich nie widział, tem bardziej że wsiadał do innego przedziału (często postępowała tak i księżna Szerbatow), jak człowiek, który nie wie, czy ktoś byłby rad pokazywać się w jego towarzystwie i zostawia każdemu swobodę zbliżenia się doń — o ile ktoś ma ochotę. Ochoty tej nie doświadczał w samych początkach doktor, który wołał, abyśmy barona zostawili samego w przedziale. Zręcznie maskując niezdecydowany charakter od czasu swej wielkiej kariery lekarskiej, profesor przechylał się z uśmiechem w tył; spoglądając z ponad binokli na Skiego, poczem rzekł przez złośliwość lub aby wydobyć opinię towarzyszy:

— Rozumiecie, gdybym był sam, gdybym był kawalerem... ale chodzi mi o żonę... Po tem coś mi pan powiedział, nie wiem doprawdy, czy nam wypada jechać z nim razem?... szepnął doktor.

— Co ty powiadasz? — spytała pani Cottard.

— Nic, nic, to ciebie nie obchodzi, to nie jest dla kobiet — odpowiadał mrużąc oko doktor z owem majestatycznym zadowoleniem z siebie, które było czemś pośrednim między jego z cicha pęk miną wobec uczniów i pacjentów a niepokojem towarzyszącym niegdyś jego dowcipom u Verdurinów. I dalej mówił cicho. Pani Cottard usłyszała jedynie słowa „bractwo” i „tapette”<sup>1</sup>, że zaś w słownictwie doktora pierwsze oznaczało rasę żydowską a drugie „wyparzoną gębę”, pani Cottard wywnioskowała z tego, że p. de Charlus musi być gadatliwym izraelitą. Nie zrozumiała, czemu to ma być powód aby trzymać barona na uboczu; toteż uważała za swój obowiązek naczelniczki klanu żądać aby go nie zostawiano samego. Puściliśmy się wszyscy ku przedziałowi pana de Charlus, prowadzeni przez niespokojnego wciąż Cottarda. Z kąta gdzie czytał tom Balzaka, p. de Charlus spostrzegł to wahanie; nie podniósł oczu. Ale jak głuchoniemi poznają z niewyczuwalnego dla innych przeciągu że ktoś zbliża się do nich z tyłu, tak on odznaczał się przeczuleniem, ostrzegającym go o czyimś chłodzie wobec niego. Przeczulenie to, jak się to zdarza we wszystkich dziedzinach, zrodziło w panu de Charlus imaginacyjne cierpienia. Jak neuropaci, którzy, czując najłżejszy chłód, wnoszą stąd że musi być okno otwarte o piętro wyżej, wpadają we wściekłość i zaczynają kichać, tak p. de Charlus, jeżeli ktoś miał przy nim nieswoją minę, wnioskował, że temu komuś powtórzono jakieś jego słowa o nim. Ale nie było nawet potrzeba aby ktoś miał minę roztargnioną, ponurą lub roześmianą; sam wymyślał te miny. W zamian za to, serdeczność łatwo maskowała mu obmowę o której nie wiedział. Odgadł za pierwszym razem wahanie się Cottarda; jakoż, o ile, ku zdziwieniu wiernych którzy nie sądzili aby baron, czytający ze spuszczonej oczami, mógł ich zauważyć, podał im rękę skoro się znaleźli w przyzwoitej odległości, wobec doktora poprzestał na lekkim ukłonie, ręką w szwedzkiej rękawiczce nie ujmując dłoni którą doktor doń wyciągał.

— Chcieliśmy koniecznie jechać razem z panem i nie zostawiać pana samego w tym kąciuku. To wielka przyjemność dla nas — rzekła pocziwie pani Cottard.

— Czuję się bardzo zaszczycony — wyrecytował baron kłaniając się chłodno.

— Byłam bardzo szczęśliwa, dowiedziawszy się, że pan definitywnie obrał tę okolicę aby w niej pomieścić swoje tabern... Miała powiedzieć *tabernakula*, ale to słowo wydało się jej nazbyt hebrajskie, niedelikatne wobec żyda, który mógłby w niem dostrzec aluzję. Toteż opamiętała się, aby wybrać inne ze swoich zwyczajnych uroczystych wyrażań; „aby tam pomieścić, chciałam powiedzieć, pańskie penaty” (prawda, że te bóstwa również nie należały do religii chrześcijańskiej, ale do innej, umarłej od tak dawna, że nie ma już wyznawców których możnaby urazić). My, na nieszczęście, ze szkołami chłopców, ze szpitalem profesora, nie mogliśmy się nigdy zdomowić dłużej w jednym miejscu”.

I pokazując pudło, dodała:

<sup>1</sup>*tapette* — franc. wyrażenie gwarowe może oznaczać albo gadułę albo pederastę. [przypis redakcyjny]

— Widzi pan zresztą, o ile my, kobiety, jesteśmy nieszczęśliwsze od was, panów świata: nawet jadąc tak blisko do przyjaciół, musimy się obarczać całą gamą impedimentów.

Patrzałem przez ten czas na tom Balzaka w rękę barona. Nie był to egzemplarz broszurowany, kupiony przygodnie jak tom Bergotte'a, który p. de Charlus pożyczył mi za pierwszym pobycem. To była książka z jego biblioteki i jako taka nosiła dewizę: „Należy do barona de Charlus”, którą zastępowało niekiedy, świadcząc o książkowych upodobaniach Guermantów: *In proeliis non semper*, lub: *Non sine labore*. Ale ujrzymy niebawem, że zjawią się inne, a to dla zrobienia przyjemności Morelowi. Po jakimś czasie, pani Cottard obrała temat, który uważała za bardziej interesujący dla barona.

— Nie wiem, czy pan jest mojego zdania — rzekła po chwili — ale ja mam bardzo szerokie poglądy; wedle mnie, każda religja jest dobra, byle ją praktykować szczerze. Nie jestem jak ci ludzie, których widok... protestanta przyprawia o atak wścieklizny.

— Nauczono mnie, że moja religja jest prawdziwa — odparł p. de Charlus.

— To fanatyk! pomyślała pani Cottard; Swann, wyjąwszy ostatnie lata życia, był bardziej tolerancyjny; prawda że on był chrzczony.

Otóż, wręcz przeciwnie, baron był nie tylko, jak wiadomo, chrześcijaninem, ale był pobożny na sposób średniowiecza. Dla niego, jak dla rzeźbiarzy XIII wieku, kościół chrześcijański był, w żywym znaczeniu słowa, zaludniony tłumem istot, które baron uważał za całkowicie realne, proroków, apostołów, aniołów, świętych wszelkiego rodzaju, otaczających wcielone Słowo, jego matkę i jej małżonka, Ojca Wiekuistego, wszystkich męczenników i doktorów, podobnych tym, co rzeźbionym tłumem cisną się w kruchcie lub wypełniają nawę katedr. Pośród nich wszystkich, p. de Charlus wybrał sobie za patronów i pośredników archaniołów Michała, Gabryjela i Rafała, i miewał z nimi częste rozmowy, iżby przekazali jego modły Ojcu przedwiecznemu, przed którego tronem przebywają. Toteż omyłka pani Cottard bardzo mnie ubawiła.

Aby opuścić teren religijny, powiedzmy, że doktor, przybywszy do Paryża ze szczupłym zasobem rad matki wieśniaczki, pochłonięty później przez ściśle fachowe studia, jakim ci, co chcą się wybić w karierze lekarskiej, zmuszeni są oddawać się przez szereg lat, nigdy nie starał się o głębszą kulturę. Nabył więcej autorytetu, ale nie więcej wyrobienia; wziął tedy dosłownie zwrot barona: „zaszczycony”; równocześnie sprawiło mu to przyjemność bo był próżny i przykrość bo był poczciwy. Biedny ten Charlus! — rzekł wieczorem do żony: przykro mi się zrobiło, kiedy powiedział, iż się czuje zaszczycony tem że jedzie z nami. Znać, że ten nieborak nie ma żadnych stosunków, płaszczy się.”

Ale niebawem, nie potrzebując nawet miłosiernej inspiracji pani Cottard, wierni zdolali poskromić niemiłe uczucie, jakiego wszyscy mniej lub więcej doznawali zrazu w towarzystwie pana de Charlus. Bezwątpienia, w obecności barona wciąż mieli w pamięci rewelacje Skiego o nieprawomyślności seksualnej ich towarzysza podróży. Ale sama ta osobliwość wywierała na nich pewien urok. Dawała ona rozmowie barona (zresztą niepospolitej, ale w rzeczach, których oni przeważnie nie mogli ocenić) smak, sprawiający, że przy niej konwersacja najbardziej zajmujących ludzi, nawet samego Brichot, zdawała się nieco mdła. Od początku zresztą zgodzono się, że baron jest inteligentny. „Geniusz może sąsiadować z szaleństwem” — wygłosił doktor; i nawet gdy księżna Szerbatow, żadna objaśnień, nalegała, nie rzekł w tym przedmiocie nic więcej, ile że ten aksjomat stanowił wszystko co doktor wiedział o geniuszu i nie zdawał mu się zresztą równie dowiedziony jak coś co tyczy tyfusu lub artretyzmu. Że zaś doktor zrobił się pyszny a pozostał źle wychowany, odpowiedział: „Żadnych pytań, księżno; proszę mnie nie męczyć, jestem nad morzem dla wypoczynku. Zresztą nie rozumiałaby pani, nie zna pani medycyny.” I księżna milkła, przepraszając doktora, uważając go za uroczonego człowieka i rozumiejąc że sławy nie zawsze są przystępne.

W tym pierwszym okresie uznano tedy pana de Charlus inteligentnym, mimo jego przywary, lub tego co się tak powszechnie nazywa. Teraz, nie zdając sobie z tego sprawy, właśnie z powodu tej przywary uważano go za inteligentniejszego od innych. Najprostsze zdania, jakie, zręcznie wyciągany na słowo przez akademika lub przez rzeźbiarza, p. de Charlus wygłaszał o miłości, zazdrości, piękności, miały, z powodu jego osobliwego, tajemnego, wyrafinowanego i monstualnego doświadczenia, ów urok zmiany klimatu, jaki psychologia — analogiczna do tej, którą nas karmiła zawsze nasza literatura dramatyczna — przybiera w jakiejś sztuce rosyjskiej lub japońskiej, granej przez tamtejszych

artystów. Czasem, kiedy baron nie słyszał, pozwalano sobie jeszcze na jakiś tani żarcik: „Och! — szeptał rzeźbiarz, widząc młodego funkcjonariusza kolejowego o długich rękach bajadery, za którym p. de Charlus bezwiednie pobiegł oczami — jeżeli baron zacznie robić oko do konduktora nie prędko zajedziemy, pociąg gotów jechać wspaniale. Spójrzcie tylko, jak on na niego patrzy; ten pociąg to istny pociąg płciowy”. Ale w gruncie, kiedy pana de Charlus nie było, czuło się niemal zawód podróżowania wśród ludzi takich jak wszyscy, nie mając przy sobie tej wymalowanej brzuchatej i skrytej osobistości, podobnej do jakiejś puszeki o egzotycznym i podejrzanym pochodzeniu, wydającej dziwny zapach owoców, samą myślą o ich spożyciu przyprawiającej o mdłości. Z tego punktu, wiernych płci męskiej czekały żywsze satysfakcje w krótkiej drodze między Saint-Martin-du-Chêne, gdzie wsiadał p. de Charlus, a Doncières, gdzie przybywał Morel. Bo dopóki skrzypka nie było z nimi (i jeżeli panie, oraz Albertyna, skupiając się osobno aby nie krępować rozmowy, trzymały się zdala), p. de Charlus nie krępował się, aby nie robić wrażenia że unika pewnych tematów i dość swobodnie mówił o tem, „co jest przyjęte nazywać *podejrzaniem obyczajami*”. Albertyna nie mogła go krępować, bo trzymała się zawsze z paniami, przez delikatność panny, która nie chce tamować swobody swoją obecnością. Co do mnie, znośłem łatwo brak jej bezpośredniego sąsiedztwa, ale pod warunkiem, żeby była w tym samym przedziale. Nie czując już wcale zazdrości a miłości niewiele, nie myślałem o tem co Albertyna robi w dni gdy jej nie widzę; ale kiedy z nią był razem, proste przepierzenie mogące w ostateczności osłaniać zdradę, było mi czemś nie do zniesienia. Kiedy Albertyna szła z paniami do sąsiedniego przedziału, po chwili, nie mogąc wytrzymać w miejscu, nie dbając o osobę mówiącą coś właśnie — Brichota, Cottarda, lub Charlusa, którym nie mogłem wyjaśnić przyczyn mojej dezercji — wstawiałem, zostawiałem ich i szedłem do przedziału obok, aby się przekonać, czy tam się nie dzieje nic podejrzanego. Aż do Doncières, p. de Charlus, nie bojąc się zgorzyc nikogo, mówił czasem bardzo jaskrawo o obyczajach, które, jego zdaniem, nie są same w sobie niczem dobrem ani złem. Robił to przez spryt, aby okazać szerokość poglądów, przekonany że jego własne obyczaje nie budzą podejrzeń w gromadce wiernych. Wiedział, że istnieje we wszechświecie kilka osób, „nie mających (wyrażenie, do którego później przywykłem) wątpliwości na jego punkcie”. Ale wyobrażał sobie, że tych osób jest nie więcej niż trzy lub cztery i że ani jedna z nich nie bawi nad morzem. To złudzenie może dziwić ze strony kogoś tak inteligentnego, tak czujnego. Nawet co do tych, których baron uważał za mniej lub więcej poinformowanych, pochlebiał sobie, że te ich pojęcia są jedynie mgliste i miał nadzieję, wedle tego co im w jakimś wypadku powie, uchronić daną osobę od podejrzeń interlokutora, przez grzeczność udającego że przyjmuje wersję barona. Nawet domyślając się co ja mogę wiedzieć lub przypuszczać, baron wyobrażał sobie, że opinia, którą uważał u mnie za znacznie dawniejszą niż była w istocie, jest bardzo mglista. Sądził iż wystarczy mu zaprzeczyć w tem lub owem, aby mu wierzone, podczas gdy przeciwnie, o ile świadomość ogólna wyprzedza zawsze znajomość szczegółów, ułatwia ona nieskończenie odkrycie tych szczegółów: zniweczywszy dar niewidzialności, nie pozwala już podejrzanemu osobnikowi ukrywać wszystkiego co mu się podoba. Z pewnością, kiedy p. de Charlus, zaproszony na obiad przez którego z „wiernych” lub przyjaciela wiernych, zachodził z daleka, aby wśród dziesięciu wymienionych nazwisk przemycić nazwisko Morela, nie domyślał się prawie, że pod zawsze inne motywy korzyści lub przyjemności jakimi baron motywował chęć spotkania u kogoś Morela, gospodarze, udając że mu całkowicie wierzą, podstawiali rację jedyną, zawsze tę samą (którą on uważał za nieznaną nikomu), mianowicie tę, że baron kocha skrzypka. Toż samo pani Verdurin, udając że zawsze całkowicie uznaje pół artystyczne pół humanitarne pobudki, jakimi p. de Charlus tłumaczył swoje zainteresowanie się Morelem, nie przestawała serdecznie dziękować baronowi za jego wzruszającą — jak mówiła — dobroć dla skrzypka. Otóż, jakżeby się zdziwił p. de Charlus, gdyby, pewnego dnia kiedy Morel i on spóźnili się i nie przyjechali kolejką, usłyszał, jak pryncypalka mówi: „Czekamy już tylko na trzecią pleć”. Baron byłby zdumiony tem bardziej, iż nie ruszając się prawie z la Raspelière, pełnił tam funkcje kapelana, klasycznego *labusia*, i czasami (kiedy Morel miał urlop na dwie doby) nocował tam dwa dni zrzędu. Pani Verdurin dawała im dwa połączone pokoje i aby ich ośmielić, powiadała: „Jeżeli macie ochotę muzykować, nie krępujcie się, mury są grube jak w fortecy, nikt nie mieszka na tem piętrze, a mój mąż



śpi jak susel.” W te dnię, p. de Charlus luzował księżnę jadąc po gości na pociąg, tłumaczył nieobecność pani Verdurin jej stanem zdrowia, który opisywał tak wymownie, że goście wchodzili z odpowiednimi minami i wydawali krzyk zdumienia, widząc witającą ich pryncypalkę, rzeżką, w wygorsowanej sukni.

Bo p. de Charlus stał się chwilowo dla pani Verdurin wiernym z wiernych, drugą księżną Szerbatow. Pani Verdurin była o wiele mniej pewna pozycji światowej barona niż pozycji księżnej, wyobrażając sobie, że jeżeli księżna żyje jedynie w tem małym kółku, to przez wzgardę dla innych a przez predylekcję do tych wybranych. Ponieważ ta mistyfikacja była właśnie specjalnością Verdurinów, którzy traktowali jako „nudziarzy” wszystkich u których nie mogli być, ledwie do wiary jest, aby pryncypalka mogła uważać księżnę za duszę niezłomną, nienawidzącą „szyku”. Ale faktem jest, że wierzyła w to, przekonana iż ta wielka dama również szczerze i przez skłonności intelektualne unika nudziarzy.

Ilość „nudziarzy” zmniejszała się zresztą w pojęciu Verdurinów. Życie kąpielowe odejmowało wizycie u nich konsekwencje, jakeimi taka wizyta groziłaby w Paryżu. Światowi ludzie, bawiący w Balbec bez żon (co ułatwiało sytuację), rozwijali w la Raspelière wszystkie uroki i z nudziarzy stawali się przemili. Tak było z księciem Gilbertem, którego nieobecność żony nie skłoniłaby do „kawalerskiej” wyprawy do Verdurinów, gdyby magnes dreyfusizmu nie był tak potężny, że jednym zamachem kazał mu przebyć stoki wiodące do la Raspelière. Nieszczęściem, tego dnia pryncypalki nie było w domu. Zresztą pani Verdurin nie była pewna, czy księżę Gilbert i p. de Charlus są z jednego świata. Baron powiedział wprawdzie, że księżę Błażej jest jego bratem, ale to było może kłamstwo awanturnika. Mimo iż okazał się tak elegancki, tak miły, tak „wierny”, pryncypalka wahała się niemal, czy go prosić razem z księciem Gilbertem. Poradziła się Skiego i Brichota.

— Baron i księżę de Guermantes, czy to idzie razem?

— Nawet bez mydła.

— To mnie nie obchodzi — podjęła pani Verdurin z irytacją, ja się pytam, czy oni pasują z sobą.

— Och, pani, to są rzeczy, które bardzo trudno wiedzieć...

Pani Verdurin nie miała żadnej ukrytej myśli. Nie miała wątpliwości co do obyczajów barona; ale wyrażając się w ten sposób, nie myślała o tem; chodziło jej tylko o to, czy można zaprosić księcia Gilberta i pana de Charlus, czy to się godzi z sobą. Nie wkładała żadnej dwuznaczności w te zwroty, mające kurs w cyganerii artystycznej. Aby się popisać księciem Gilbertem, chciała go zabrać po śniadaniu na dobroczynny bazar, gdzie miejscowi marynarze mieli inscenizować odpływanie okrętu. Ale nie mając czasu zająć się wszystkim, przekazała swoje funkcje wiernemu z wiernych, baronowi. „Rozumie pan, chodzi o to żeby nie tkwili nieruchomo jak kołki, niech się kręcą, niech się wiercą, żeby widać było ruch, nie wiem jak się nazywa to wszystko. Ale pan bywa tak często w porcie, mógłby pan, bez zbyteńgo kłopotu, kazać zrobić próbę. Musi się pan rozumieć na tem lepiej odemnie, panie de Charlus, jak się postępuje z majtkami. Ale ostatecznie, za wiele sobie zadajemy kłopotu dla pana de Guermantes. To może jakiś głupiec z Jockey-clubu. Och, Boże, ja się tak wyrażam o Jockey-clubie, a zdaje mi się, że pan też jest z tej paczki. He, baronku, nie odpowiadasz, jesteś pan z tej paczki? Nie chce pan iść z nami? O, ma pan książkę, którą właśnie dostałam: myślę, że to pana zajmie. To nowy Roujon. Tytuł wcale ładny: „Wśród mężczyzn.”

Co do mnie, byłem bardzo rad, że dość często powierzano panu de Charlus funkcję księżnej Szerbatow, bo byłem bardzo źle z księżną, z racji błażej a głębokiej zarazem. Pewnego dnia, kiedy się znalazł w kolejce, jak zawsze obsypując uprzejmościami księżną Szerbatow, ujrzałem wsiadającą panią de Villeparisis. Przybyła w istocie spędzić kilka tygodni u księżnej de Luxembourg, ale przykuty codzienną potrzebą widzenia Albertyny, nigdy nie uczyniłem zadość mnogim zaproszeniom margrabiny i jej dostojnej gospodyni. Uczułem wyrzut, widząc przyjaciółkę babki, i przez prosty obowiązek (nie opuszczając księżnej Szerbatow) rozmawiałem dość długo z panią de Villeparisis. Nie wiedziałem zresztą absolutnie, że pani de Villeparisis wie doskonale kim jest moja sąsiadka, ale że nie chce jej znać. Na następnej stacji, pani de Villeparisis opuściła wagon; wyrzuciłem sobie nawet, że nie pomogłem jej wysiąść; siadłem z powrotem przy księżnej. Ale możnaby rzec, iż dokonała się nagle zmiana: kataklizm częsty u osób, których sytuacja jest

niepewna i które boją się że się słyszało o nich co złego, że się nimi gardzi. Zatopiona w *Revue des Deux-Mondes*, pani Szerbatów ledwie odpowiadała na moje pytania i oświadczyła w końcu, że ją przyprawiam o migrenę. Nie miałem pojęcia, w czym dopuściłem się zbrodni. Kiedym się żegnał z księżną, zwyczajny uśmiech nie rozjaśnił jej twarzy, sucho skinęła głową, nie podała mi nawet ręki i nigdy nie odezwała się do mnie od tego czasu. Ale musiała coś mówić — nie wiem co — Verdurinom; bo z chwilą gdy się ich pytał, czy nie dobrze by było żebym zrobił jakąś grzeczność księżnej Szerbatow, wszyscy wykrzyknęli chórem: „Nie, nie, nie! za nic! ona nie lubi grzeczności!” Nie czyniono tego poto aby mnie z nią poróżnić, ale zdołała wmówić, że jest niewrażliwa na nadskakiwania, niedostępna próżnościom świata. Znacie polityka, który uchodzi za najbardziej niezłomnego, nieprzejednanego, nieprzystępnego od czasu jak jest przy władzy; otóż, trzeba go było widzieć w czasie niełaski, jak nieśmiało, z istic miłosnym uśmiechem, żebrał wyniosłego ukłonu byle dziennikarza; trzeba było widzieć przeobrażenie się Cottarda, którego nowi pacjenci brali za człowieka ze stali, i wiedzieć jakie zawody, jakie klęski snobizmu stworzyły pozorną dumę, powszechnie uznany antysnobizm księżnej Szerbatow, aby zrozumieć, iż regułą — z wyjątkami oczywiście — jest fakt, że ludzie twardzi to są odrzuceni przez świat słabeusze, i że jedynie silni, mało się troszczący o to czy świat ich chce czy nie, posiadają ową dobroć którą gmin bierze za słabość.

Zresztą nie powinienem sądzić surowo księżnej Szerbatow. Jej wypadek jest tak częsty! Pewnego dnia, na pogrzebie któregoś z Guermantów, wybitny człowiek, znalazłszy się koło mnie, wskazał mi jakiegoś smukłego i urodziwego pana. „Ze wszystkich Guermantów — rzekł — ten jest najniesłychańszy, najosobliwszy. To brat księcia Błażeja.” Odpowiedziałem niebacznie, że się myli, że ten pan, nawet nie żaden krewny Guermantów, nazywa się Fournier-Sarlovèze. Wybitny człowiek odwrócił się plecami i nigdy mi się odtąd nie odklonił.

Wielki muzyk, członek Instytutu, wysoki dygnitarz i znajomy Skiego, przejeżdżał przez Harembouville, gdzie miał siostrzenicę i zjawił się na środzie u Verdurinów. P. de Charlus był z nim specjalnie miły, na prośbę Morela, a zwłaszcza dlatego, aby, za powrotem do Paryża, Akademik ów pozwolił mu asystować na różnych prywatnych produkcjach, próbach etc., gdzie grywał Morel. Ujęty tem Akademik, zresztą przemiły człowiek, przyrzekł i dotrzymał słowa. Baron był bardzo wzruszony uprzejmością dygnitarza (osobiście zresztą wyłącznie i głęboko kochającego kobiety); ułatwieniami jakich mu dostarczył w widywaniu Morela w owych oficjalnych miejscach, dokąd profani nie wnikają, sposobnościami popisu dostarczonemi przez sławnego artystę młodemu wirtuozowi, którego specjalnie forytował w głośniejszych audycjach. Takie okazje pozwalają się artyście wybić z pomiędzy innych, choćby równych talentem. Ale p. de Charlus nie domyślał się, że winien był mistrzowi tem większą wdzięczność, ile że ów doskonale znał stosunki łączące skrzypka z jego szlachetnym protektorem: zasługa zatem była podwójna, lub, jeśli ktoś woli, podwójna wina. Mistrz faworyzował te stosunki, z pewnością bez sympatji, nie zdolny zrozumieć innej miłości niż miłość kobiety, która natchnęła całą jego muzykę; ale czynił to przez indyferentyzm moralny, przez zawodową uczynność i usłużność, przez światową uprzejmość, przez snobizm. Tak dalece nie miał wątpliwości co do charakteru tych stosunków, że od pierwszego obiadu w la Raspelière, mówiąc o panu de Charlus i o Morelu, zapytał Skiego, tak jakby pytał o normalną parę kochanków: „Czy oddawna są z sobą?” Ale był zanadto dobrym światowcem, aby cośkolwiek okazać samym zainteresowanym; w razie gdyby wśród kolegów Morela wszczęły się komeraże, gotów był poskromić je i uspokoić Morela, powiadając po ojcowsku: „Mówią to dziś o wszystkich.”

I nie przestawał świadczyć baronowi grzeczności, które panu de Charlus wydawały się urocze ale naturalne; baron niezdolny był przypuścić u dostojnego mistrza tyle zepsucia lub tyle cnoty. Bo nikt nie był dość nikczemny, aby powtórzyć baronowi dwuznaczni ki jakie puszczano o Morelu poza jego plecami. Mimo to, prosta ta sytuacja wystarczy jako dowód, że nawet owa powszechnie zozydzona rzecz, która nie znalazłaby nigdzie obrońcy: „plotka”, posiada swoją wartość psychologiczną, czy kiedy dotyczy nas samych i staje się nam przez to osobliwie nieprzyjemna, czy kiedy nam powiada coś nowego o kimś trzecim. Plotka nie pozwala umysłowi usypiać się sztucznym obrazem, stanowiącym pozór rzeczywistości. Odwraca ten obraz z magiczną zręcznością idealistycznego filozofa i ukazuje nam nagle niepodejrzewaną podszewkę. Czyż mógłby p. de Charlus

wyobrazić sobie te słowa, wyrzeczone przez pewną czułą krewniaczkę: „Jak chcesz, aby Mémé kochał się we mnie, zapominasz że jestem kobietą!” A przecież osoba ta była szczerze, głęboko przywiązana do pana de Charlus. Jak się zatem dziwić, że u Verdurinów, na których przywiązanie i dobroć nie miał żadnego prawa liczyć, słowa mówione poza jego plecami (a nie były to, jak się okaże, tylko słowa) były tak różne od tego co sobie wyobrażał, to znaczy od prostego odbicia tego co mówiono w jego obecności. Jedyne to stroiło przyjaznymi godłami idealny domek, gdzie p. de Charlus zachodził czasami marzyć w samotności, kiedy odtwarzał sobie na chwilę wyobraźnią pojęcie Verdurinów o nim. Atmosfera była tak sympatyczna, tak serdeczna, odpoczynek tak krzepiący, że kiedy p. de Charlus, przed zaśnięciem, zaszedł tam odpocząć chwilę po swoich troskach, nie wychodził stamtąd nigdy bez uśmiechu. Ale dla każdego z nas ten rodzaj domku jest podwójny: nawprost tego, który uważamy za jedyne, znajduje się drugi, zazwyczaj niewidzialny naszym oczom — prawdziwy, symetryczny z tym który znamy — ale bardzo odmienny; nieoczekiwana ornamentacja tego drugiego domku przerażałaby nas wstrętami symbolami niepodjętą przez nas wrogości. Co za zdumienie dla pana de Charlus, gdyby, dzięki jakiejś plotce wszedł do tego przeciwległego domku, niby przez kuchenne schody, gdzie widnieją sprośne napisy, nabazgrane koło drzwi ręką niezadowolonych sklepikarzy lub oddalonych służących. Ale, tak samo jak nam brakuje owego zmysłu orientacji, który posiadają niektóre ptaki, tak samo brak nam zmysłu widzialności, a także zmysłu odległości; wyobrażamy sobie, że mocno się nami interesują ludzie, którzy przeciwnie nigdy o nas nie myślą, a nie podejrzewamy, że przez ten czas jesteśmy znowuż jedyną troską innych. I tak p. de Charlus żył w błędzie, jak ryba przeświadczona iż woda w której pływa ciągnie się poza szybą akwarjum ukazującą jej odbicie, podczas gdy nie widzi, tuż koło siebie, w cieniu, przechodnia z rozbawieniem śledzącego jej obroty, lub wszechpotężnego hodowcy, który, w nieprzewidzianej i złowrogiej chwili, odległej jeszcze dla barona (owym hodowcą stanie się dlań w Paryżu pani Verdurin), wyjmie ją bez litości z miłego jej środowiska, aby ją rzucić w inne. Co więcej, narody, brane jedynie jako zbiorowisko jednostek, mogą przedstawiać rozleglejsze, ale identyczne w szczegółach przykłady tej głębokiej, upartej i niepokojącej ślepoty. Aż dotąd, ślepotą ta, będąca przyczyną że p. de Charlus wygłaszał w małej „paczce” rzeczy zbyt chytre lub zuchwałe, budzące kryjome uśmiechy, nie miała jeszcze dlań (ani nie miała mieć w Balbec) poważnych następstw. Trochę białka, cukru, lekka arytmia, nie przeszkadzają życiu iść zwykłym trybem u kogoś kto tego nawet nie spostrzeża, gdy jedynie lekarz widzi zapowiedź katastrof. Obecnie, platoniczny lub mniej platoniczny pociąg pana de Charlus do Morela kazał baronowi wychwalać jedynie w nieobecności Morela jego urodę, w przekonaniu że to będzie rozumiane całkiem niewinnie. Postępował w ten sposób jak człowiek inteligentny, który, stając przed sądem, nie lęka się wejść w szczegóły, na pozór dlań niekorzystne, ale właśnie dlatego naturalniejsze i mniej pospolite niż melodramatyczne zakłęcia o swojej niewinności. Z tą samą swobodą, wciąż między Doncières-Ouest a Saint-Martin-du-Chêne — lub odwrotnie — p. de Charlus chętnie mówił o ludziach mających podobno bardzo szczególne obyczaje, i dodawał nawet: „Ostatecznie, mówię *szczególne*, sam nie wiem czemu, bo nie ma w tym nic tak szczególnego”; aby dowieść samemu sobie, jak się czuje swobodny wobec słuchaczy. I był w istocie swobodny, pod warunkiem że on sam kierował rozmową i że był pewien niemej i uśmiechniętej publiczności, rozbrojonej łatwością lub dobrem wychowaniem.

Kiedy p. de Charlus nie mówił z podziwem o piękności Morela, tak jakby ona nie miała żadnego związku z pewną skłonnością — zwaną *zбочzeniem* — rozprawiał o tem zбочzeniu, ale tak jakby ono nie miało z nim nic wspólnego. Czasem nawet nie wahał się nazwać go po imieniu. Kiedy, spojrzawszy na piękną oprawę Balzaka, spytałem barona co najwyżej ceni z *Komedji ludzkiej*, odpowiedział, jakgdyby ścigając swoją *idée fixe*:

— Oba rodzaje, miniatury jak *Proboszcz Z Tours* lub *Kobieta porzucona*, albo wielkie freski jak serja *Straconych złudzeń*. Jakto! pan nie zna *Straconych złudzeń*! To takie piękne. Chwila, gdy w *Cierpieniach wynalazcy* Karlos Herrera pyta o nazwę zamku, który mija właśnie jego powóz: to Rastignac, gniazdo młodego człowieka, którego kochał niegdyś. I wówczas książd popada w zadumę, którą Swann nazywał — bardzo dowcipnie *Tristesse*

d'Olympio pederastji. A śmierć Lucjana! nie przypominam sobie kto taki<sup>2</sup> — musiał to być człowiek pełen smaku — kiedy go pytano, jakie wydarzenie najbardziej go zmartwiło w życiu, odpowiedział: „Śmierć Lucjana de Rubembré w *Blaskach i nędzach*”.

— Wiem, że Balzak modny jest w tym roku, jak w zeszłym roku pesymizm — przerwał Brichot. — Ale choćbym miał zasmucić dusze cierpiące na kult balzakowski, nie pretendując, Boże chroń, do roli żandarma literatury ani mając zamiar sporządzać inwentarz błędów gramatycznych, przyznaję, że ten obfity improwizator, którego zdumiewające elukubracje zdaje się pan osobliwie przeceniać, wydał mi się zawsze skrybą niedość skrupulatnym. Czytałem te *Stracone złudzenia*, o których pan mówi, baronie; czytałem, siląc się wykrzesać z siebie zapal adeptę, i wyznaję w prostocie ducha, że te felietonowe romanse, kwintesencja patosu i galimatjasu do ikstej potęgi (*Szczęście Estery*, *Dokąd prowadzą złe drogi*, *Po czemu miłość wypada starcom*), robiły na mnie zawsze wrażenie misterjów budy jarmarcznej, wyniesionych niewytłumaczonym faworem chwili do wyżyn arcydzieła.

— Mówi pan to, bo pan nie zna życia — rzekł baron, podwójnie podrażniony, bo czuł, że Brichot nie zrozumiałby ani jego racyj artystycznych ani innych.

— Rozumiem — odparł Brichot — że, mówiąc słownikiem mistrza Rabelego, chce pan rzec, że jestem sorbonistą, sorbonitrąbą i sorbonosłem. Jednakże, tak samo jak inni tu obecni, lubię aby mi książka dawała wrażenie szczerości i życia, nie jestem z gatunku tych klerków...

— Kwadransik Rabelego — przerwał doktor Cottard, już nie tonem wahania, ale dowcipnej pewności.

— ...którzy uprawiają kult literatury wedle reguły *Abbaye-aux-Bois* w obediencji dla pana wicehrabiego de Chateaubriand, wielkiego mistrza dętolu, wedle ścisłej reguły humanistów. Pan wicehrabia de Chateaubriand...

— Chateaubriand? z kartofelkami? — przerwał Cottard.

— To jest patron tego bractwa — ciągnął Brichot, nie zwracając uwagi na koncept doktora, który w zamian, przerażony zwrotem Akademika, spojrział niespokojnie na pana de Charlus. Cottard uważał, że Brichot okazał brak taktu, natomiast kalambur Cottarda sprowadził subtelną uśmiech na wargi księżnej Szerbatow.

— Z naszym profesorem gryząca ironia doskonałego sceptyka nigdy nie traci swoich praw — rzekła uprzejmie, aby okazać, że „dowcip” lekarza nie przeszedł niezauważony.

— Mędrzec jest z konieczności sceptykiem — odparł doktor. „Cóż ja wiem”? *gnoti seauton*, powiadał Sokrates. To bardzo słuszne, nadmiar we wszystkim jest wadą. Ale głupieję z podziwu, kiedy pomyślę, że to wystarczyło, aby przechować imię Sokratesa do naszych czasów. Cóż takiego jest w tej filozofji? Ostatecznie, nie wiele. Kiedy się pomyśli, że Charcot i inni dokonali prac tysięcy razy wybitniejszych — i które przynajmniej opierają się na czymś — zanik reakcji źrenic jako objaw paraliżu postępowego — i że ich prawie że zapomniano! W rezultacie, Sokrates, to nie żadna nadzwyczajność. To są ludzie, którzy nie mieli nic do roboty, pędzili życie przechadzając się i bawiąc w dysputy. To tak jak Chrystus: „Kochajcie się nawzajem”, to bardzo ładne.

— Mój drogi — prosiła pani Cottard.

— Oczywiście, żona protestuje, to są wszystko neuropatki.

— Ależ mężusiu, nie jestem neuropatką — szepnęła pani Cottard.

— Jakto! nie jest neuropatka! kiedy syn jest chory, ona zdradza symptomy bezsenności. Ale ostatecznie uznaję, że Sokrates *et consortes* to jest potrzebne dla wyższej kultury, żeby mieć cytaty na pokaz. Cytuję zawsze *gnoti seauton* uczniom z pierwszego kursu. Stary Bouchard, dowiedziawszy się o tem, powińszował mi.

— Nie należę do fanatyków formy dla formy, tak jak nie snobowałbym się w poezji na wyrafinowane rymy — podjął Brichot. Ale, bądź co bądź, *Komedja ludzka* — bardzo mało ludzka — za wiele wykazuje przeciwieństwa do tych dzieł, w których forma przerasta treść, jak powiada pocziwy drań Owidjusz. I wolno wybrać ścieżkę pośrednią, która wiedzie do probostwa w Meudon lub do pustelni w Ferney, w równej odległości od *Vallée-aux-Loups*, gdzie René wspaniale dopełniał obowiązków pontyfikatu bez litosierdzia, i od

<sup>2</sup>nie przypominam sobie kto taki — Oskar Wilde. [przypis tłumacza]

les Jardies, gdzie Honoré de Balzac, szarpany przez komorników, nie przestawał gryzmolić na intencję swojej Polki, jako gorliwy apostoł galimatjasu.

— Chateaubriand jest o wiele żywszy niż pan sądzi, a Balzac jest i tak wielki pisarz — odparł p. de Charlus, jeszcze zbyt nasiąknięty gustem Swanna, aby móc cierpliwie znosić Brichota. Balzac znał nawet te namiętności, które cały świat ignoruje, albo bada jedynie po to aby je piętnować, Nie mówiąc o nieśmiertelnych *Straconych złudzeniach*, *Sarazine*, *Dziewczyzna o złotych oczach*, *Namiętność w pustyni*, nawet dość enigmatyczna *Żółta kochanka*, starczą na poparcie tego co mówię. Kiedym wspomniał Swannowi o tej *wynaturzonej* stronie Balzaca, powiedział: „Jest pan tego samego zdania co Taine.” Nie miałem zaszczytu znać pana Taine — dodał p. de Charlus z tym drażniącym zwyczajem niepotrzebnego „pan”, jaki mają ludzie światowi, tak jakby uważali, że tytułując wielkiego pisarza *per* pan, wyświadczają mu zaszczyt, może zachowują dystans i stwierdzają jasno, że go nie znają. — Nie znałem pana Taine, ale czułem się bardzo zaszczycony, że jesteście tego samego zdania.

Zresztą, mimo tych śmiesznych światowych nawyków, p. de Charlus był bardzo inteligentny i gdyby jakieś dawne małżeństwo spokrewniło jego rodzinę z rodziną Balzaka, prawdopodobnie sprawiłoby mu to (nie mniej zresztą niż samemu Balzakowi) zadowolenie, którym nie omieszkałby jednak paradować jako oznaką cudownej łaskawości.

Czasami na stacji tuż pod Saint-Martin-du-Chêne, jacyś młodzi ludzie wsiadali do pociągu. P. de Charlus nie mógł się wstrzymać od przyglądania się im, że jednak równocześnie maskował to zainteresowanie, robiło ono wrażenie, że pokrywa jakiś sekret, specjalniejszy nawet od prawdziwego sekretu; możnaby rzec że baron ich zna, okazywał to nawet mimowoli dopełniwszy ofiary, zanim się odwrócił do nas, niby dzieci, którym, naskutek zwady między rodzicami, zabroniono się witać z kolegą, ale które, skoro go spotkają, nie mogą się powstrzymać od ruchu głowy, zanim się poddadzą dyscyplinie preceptora.

Po zacerpniętem z greczyzny słowie, jakiego p. de Charlus użył w aluzji do *Tristesse d'Olympio* w *Blaskach i nędzach*, Ski, Brichot i Cottard spojrzeli po sobie z uśmiechem mniej może ironicznym niż nacechowanym zadowoleniem, jaki mieliby przy obiedzie ludzie, którym udało się rozgadać Dreyfusa o jego własnej sprawie, lub cesarzową Eugenję o latach jej panowania. Spodziewano się pociągnąć barona za język na ten temat, ale już było Doncieres, gdzie Morel miał się z nami spotkać. Wobec niego, p. de Charlus bardzo pilnował się w rozmowie i kiedy Ski chciał go sprowadzić na miłość Karlosa Herrery do Lucjana de Rubempré, baron przybrał minę niezadowoloną i tajemniczą, w końcu zaś, widząc że go nie słuchają, surową i karcącą minę ojca, słyszącego że ktoś mówi nieprzyzwoitości przy jego córce. Kiedy Ski upierał się przy tym temacie, p. de Charlus, wybałuszając oczy, podnosząc głos i pokazując Albertynę (która zresztą nie mogła słyszeć, zajęta rozmową z panią Cottard i z księżną Szerbatow), rzekł znacząco tonem człowieka, który chce dać lekcję ludziom źle wychowanym:

— Sądzę, że byłby czas przejść na tematy, zdolne interesować tę młodą panienkę.

Ale zrozumiałem jasno, że dla barona młodą panienką była nie Albertyna lecz Morel; dowiódł zresztą później ścisłości mojej interpretacji wyrażeniami, któremi się posłużył, prosząc aby nie prowadzić tych rozmów przy Morelu. „Wie pan — rzekł do mnie — on nie jest wcale tem co by pan mógł przypuszczać; to chłopak bardzo uczciwy, do dziś pozostał bardzo moralny, bardzo serjo”. I czuło się przy tych słowach, że p. de Charlus uważał inwersję za niebezpieczeństwo równie groźne dla młodych ludzi jak prostytucja dla kobiet, i że jeżeli się posługuje dla Morela epitetem „serjo”, to w tym sensie, jaki on przybiera w zastosowaniu do młodej robotniczki.

Aby odmienić rozmowę, Brichot spytał mnie, czy jeszcze długo zamierzam zostać w Incarville. Daremnie kilka razy zwróciłem mu uwagę, że ja mieszkam nie w Incarville lecz w Balbec, wciąż popadał w ten błąd, określając tę część wybrzeża nazwą Incarville albo Balbec-Incarville. Bywają ludzie, którzy mówią o tych samych rzeczach co my, oznaczając je nazwą nieco odmienną. Pewna dama z *faubourg Saint-Germain* pytała mnie zawsze, mając na myśli panią de Guermantes, czy dawno widziałem Zenaidę lub Oriane-Zenaidę, co sprawiało że w pierwszej chwili nie wiedziałem o kim mówi. Prawdopodobnie musiał być czas, kiedy jakaś krewna pani de Guermantes nazywała się Oriana, dla uniknięcia

omyłek nazywano tedy ją samą Orianą-Zenaidą. Może też był dawniej dworzec tylko w Incarville, i stamtąd się jechało końmi do Balbec.

— O czemż takim panowie mówili? — spytała Albertyna, zdziwiona uroczystym i ojcowskim tonem pana de Charlus.

— O Balzaku — skwapliwie odpowiedział baron — a pani ma dziś wieczór właśnie toaletę w stylu księżnej de Cadignan, nie tę pierwszą, z obiadu, ale tę drugą.

Podobieństwo wynikało stąd, że w wyborze toalet Albertyny kierowałem się smakiem, jaki ona sobie wyrobiła dzięki Elstrowi, Elstir zaś bardzo cenił dyskrecję, którą możnaby nazwać brytyjską, gdyby jej nie łagodziło coś ze słodyczy i miękkości francuskiej. Najczęściej suknie, które przekładał nad inne, tworzyły harmonijną kombinację kolorów szarych jak w sukni Diany de Cadignan<sup>3</sup>. Jeden bez mała p. de Charlus zdolny był zrozumieć i ocenić istotne wartości toalet Albertyny; oczy jego zaraz odkrywały to co stanowiło ich rzadkość; cenę; nieomylnie umiał wymienić nazwę materji, poznać krawca. Tylko baron lubił — dla kobiet — trochę więcej blasku i koloru, niż ich znosił Elstir. Toteż tego wieczoru Albertyna rzuciła mi uśmiechnięte i niespokojne zarazem spojrzenie, marszcząc nosk różowy jak u kotki. W istocie, jej szary szewiotowy żakiecik, zapięty na szarej spódnicy *crêpe de chine*, pozwalał wnosić, że Albertyna cała jest na szaro. Ale, dając mi znak abym jej pomógł (ponieważ buffy u rękawów wymagały aby je przypląszczyć lub podnieść), zdjęła żakiet; że zaś rękawy były w szkocką kratę, bardzo delikatną, różową, bładoniebieską, zielonkawą, perłową, robiło to wrażenie, jakby na szarem niebie ukazała się tęcza. I Albertyna nie była pewna, czy się to spodoba panu de Charlus.

— Och! — wykrzyknął baron zachwycony — oto promień, pryzmat barw. Winszuję, winszuję.

— To zasługa tylko tego pana — rzekła Albertyna wskazując na mnie, bo lubiła chwalić się tem co miała odemnie.

— Jedyne kobiety nie umiejące się ubrać boją się kolorów — odparł p. de Charlus. Można być jaskrawą bez pospolitości i słodką bez mdłości. Zresztą pani nie ma tych samych przyczyn co pani de Cadignan, aby chcieć się wydać obcą życiu, bo to było pojęcie, jakie chciała wszczepić d'Arthezowi swoją szarą toaletą. Albertyna, którą zainteresowała ta niema wymowa sukien, spytała pana de Charlus o księżnę de Cadignan.

— Och, to urocza nowela — rzekł baron marzącym tonem. — Znam ogródek, gdzie Diana de Cadignan przechadzała się z panem d'Espard. To ogród jednej z moich kuzynek.

— Wszystkie te „ogrody kuzynki” — mruknął Brichot do Cottarda — mogą mieć wartość dla zacnego barona, tak jak jego genealogia. Ale co to obchodzi nas, którzy nie mamy przywileju przechadzania się w tym ogródku, nie znamy tej damy i nie posiadamy pergaminów?

Bo Brichot nie podejrzewał, aby można się było interesować suknią i ogrodem jak dziełem sztuki, i że p. de Charlus jakgdyby poprzez Balzaka oglądał ogródek pani de Cadignan.

Baron ciągnął:

— Ależ zna ją pan — rzekł aby mi pochlebić, zwracając się do mnie, jak do kogoś, kto, wygnany do „klaniku”, był dla pana de Charlus jeżeli nie z jego świata, to bodaj kimś kto bywa w jego świecie. W każdym razie, musiał ją pan widzieć u pani de Villeparisis.

— Margrabina de Villeparisis, do której należy zamek de Baucreux? — spytał Brichot z zainteresowaniem.

— Tak, zna ją pan? — spytał sucho pan de Charlus.

— Ani trochę — odparł Brichot — ale nasz kolega Norpois spędza co lato jakiś czas w Baucreux. Miałem sposobność pisać tam do niego.

Powiedziałem Morelowi, myśląc że go to zainteresuje, że pan de Norpois jest przyjacielem mego ojca. Ale żaden odruch nie zaświadczył aby Morel usłyszał, tak dalece uważał moich rodziców za ludzi mało znaczących i nie umywających się nawet do tego czem był wuj, u którego ojciec jego był kamerdynerem i który zresztą, w przeciwieństwie do reszty rodziny, lubiąc paradę, zostawił olśniewające wspomnienie służbie.

<sup>3</sup>Diana de Cadignan — bohaterka opowiadania Balzaka, do którego p. de Charlus robi aluzję (*Sekrety księżnej de Cadignan*). [przypis redakcyjny]

— Zdaje się, że pani de Villeparisis jest kobietą niepospolitą, ale nigdy nie miałem zaszczytu sprawdzenia tego osobiście, jak zresztą żaden z moich kolegów. Norpois, przeżył w Instytucie, nie przedstawił żadnego z nas margrabinie. Wiem, że bywał u niej jedynie nasz przyjaciel Thureau-Dangin, którego z nią łączyły dawne stosunki rodzinne, a także Gaston Boissier; margrabina chciała go poznać w związku z jakąś pracą, która ją specjalnie zainteresowała. Był u niej raz na obiedzie i wrócił pod urokiem. Ale pani Boissier nie zaproszono.

Na te nazwiska, Morel uśmiechnął się z rozczuleniem:

— A! Thureau-Dangin — rzekł do mnie z miną wyrażającą w tym samym stopniu zainteresowanie, w jakim mina, którą przyjął wzmiankę o margrabim de Norpois i o moim ojcu, zdradzała obojętność. Thureau-Dangin, to była para przyjaciół z pańskim wujem. Kiedy jakaś dama chciała mieć dobre miejsce na przyjęcie w Akademji, pański wuj mówił: „Napiszę do mego Thureau-Dangin.” I oczywiście miejsce zaraz było, bo rozumie pan, że Thureau-Dangin nie odważyłby się niczego odmówić wujowi, któryby mu potrafił dać byka za indyka. Bawi mnie też słyszeć nazwisko Boissier, bo tam właśnie wuj pański robił wszystkie zakupy dla dam koło Nowego Roku. Wiem o tem, bo znam osobę, która załatwiała te sprawunki.

Więcej niż *znał*, bo to był jego ojciec. Niektóre serdeczne aluzje Morela do pamięci wuja, potraçały o fakt, że my nie zamierzaliśmy pozostać w pałacu Guermantes, gdzieśmy zamieszkali jedynie dla babki. Mówiło się czasem o możliwej zmianie mieszkania. Otóż, aby zrozumieć rady, jakie mi dawał w tej mierze Morel, trzeba wiedzieć, że niegdyś wuj mieszkał pod numerem 40 *bis* przy boulevard Malesherbes. Z tego wynikło, że, ponieważ odwiedzaliśmy często wuja Adolfa aż do nieszczęsnego dnia kiedy poróżnił z nim rodziców opowiadając o różowej damie, zamiast mówić „do wuja”, mówiło się w rodzinie „pod 40 *bis*.” Kuzynki mamy mówiły najnaturalniej w świecie: „A, w niedzielę nie będziesz w domu, masz obiad pod 40 *bis*.” Kiedyś szedł odwiedzić jaką krewną, zalecano mi najpierw iść „pod 40 *bis*”, aby się wuj nie obraził, że się nie zaczęło od niego. Był właścicielem tego domu i bardzo był trudny w wyborze lokatorów, którzy wszyscy byli lub stawali się jego przyjaciółmi. Pułkownik baron de Vatry zachodził codziennie wypalić z wujem cygaro, aby łatwiej uzyskać remont. Brama wjazdowa była zawsze zamknięta. Jeżeli w jakim oknie wuj dojrzał bieliznę, dywan, wpadał we wściekłość i kazał je sprzątać energiczniej niż to dziś czynią posterunkowi. Ale ostatecznie i tak odnajmował część domu, zachowując dla siebie tylko dwa piętra i stajnie. Mimo to, wiedząc że lubi aby chwalić staranne utrzymanie domu, sławiło się komfort „pałacyku”, tak jakby wuj sam jeden go zajmował; on zaś przyjmował to, nie zakładając (jakby się godziło) formalnego protestu. „Pałacyk” był niewątpliwie komfortowy (wuj wprowadzał tam wszystkie nowe udogodnienia), ale nie było w nim nic nadzwyczajnego. Jedyny wuj, powiadając z fałszywą skromnością „moja nora”, był przekonany (lub conajmniej wszczepił swemu kamerdynerowi, jego żonie, stangretowi, kucharce, to pojęcie), że nie istnieje w Paryżu nic, coby w zakresie komfortu, zbytku i przyjemności można porównać z jego „pałacykiem”. Młody Morel wzrósł w tej wierze i zachował ją. Toteż nawet kiedy nie rozmawiał specjalnie ze mną, jeżeli w pociągu wspominałem komuś o możliwości przeprowadzki, uśmiechał się i mrugając porozumiewawczo, mówił: „Och! państwu by trzeba czegoś w rodzaju 40 *bis*! Tam by było dobrze! To fakt, że wuj pański rozumiał się na tem. Jestem pewien, że w całym Paryżu niema nic, coby można równać z 40 *bis*”

Z melancholijnej miny, jaką baron przybrał mówiąc o księżnej de Cadignan, odczułem, że ta nowela przywodzi mu na myśl nie tylko ogródek dosyć obojętnej kuzynki. Popadł w zadumę i jakby do samego siebie wykrzyknął:

— *Sekrety księżnej de Cadignan!* Arcydzieło! jakie to głębokie, bolesne, ta zła reputacja Djany, drżącej, aby człowiek, którego kocha, nie dowiedział się o niej. Co za wiekuista prawda, powszechniejsza niż się zdaje; jak to daleko sięga!

P. de Charlus wyrzekł te słowa ze smutkiem, czuło się jednak, że ten smutek jest dlań nie bez uroku. Z pewnością baron, nie wiedząc ściśle w jakiej mierze jego obyczaje są znane, drżał od jakiegoś czasu, że, skoro wróci do Paryża i pokaże się z Morelem, rodzina skrzypka gotowa się w to wdąć i wówczas szczęście jego będzie narażone. Ewentualność ta przedstawiała mu się zapewne dotąd wyłącznie jako coś bardzo przykrego i ciężkiego. Ale baron był w wysokim stopniu artystą. I teraz, kiedy od paru chwil utożsamiał swo-

je położenie z sytuacją opisaną przez Balzaka, chronił się poniekąd w to opowiadanie; w nieszczęściu, które mu może groziło — a w każdym razie przerażało go — miał tę pociechę, że znajduje we własnym lęku to, co Swann, a także Saint-Loup nazwaliby czemś „bardzo balzakowskim”. Owo utożsamienie się z księżną de Cadignan stało się łatwe dla pana de Charlus dzięki duchowej transpozycji, do której przywykł i której dawał już nieraz przykłady. Transpozycja ta wystarczała zresztą, aby samo zastąpienie kobiety jako przedmiotu ukochania — młodym człowiekiem, stworzyło natychmiast dokoła niego cały splot komplikacji socjalnych, jakie się rozwijają dokoła zwykłego stosunku. Kiedy, z jakiegoś powodu, wprowadza się trwałą zmianę w kalendarzu lub w zegarach, jeżeli rok zaczyna się o kilka tygodni później, lub północ bije o kwadrans wcześniej, wszystko co wynika z miary czasu pozostanie identyczne, bo dzień i tak będzie miał dwadzieścia cztery godzin, a miesiąc trzydzieści dni. Wszystko mogło się zmienić bez żadnego wstrząsu, bo stosunki cyfr pozostały wciąż jednakie. Tak samo u tych którzy przyjmą „czas średnio-europejski” lub kalendarz wschodni. Zdaje się nawet, że miłość własna, którą głaszczcie stosunek z aktorką, grała rolę i tutaj. Kiedy od pierwszego dnia p. de Charlus wywiedział się kim jest Morel, z pewnością stwierdził, że jest niskiego pochodzenia; ale i dama z półświatka którą pokochamy, nie traci przecież dla nas uroku przez to że jest córką biedaków. W zamian za to, znani muzycy, do których baron się zwrócił — odpowiedzieli mu — nawet nie z rozmysłu, ale ot, jak owi przyjaciele, którzy, przedstawiając Odecie Swanna, odmalowali mu ją jako trudniejszą i bardziej poszukiwaną niż była w istocie przez zdawkową banalność ludzi sławnych, łaskawych dla debiutanta: „Och! Wielki talent, duża sytuacja, zważywszy oczywiście że jest młody, ceniony przez znawców, ma przed sobą karierę.” I przez ową manję, z jaką ludzie nieznaną zbroczeni mówią o męskiej urodzie, ten i ów dodał: „A przytem, ładny jest kiedy gra; świetnie wygląda na estradzie, ładne włosy, ruchy dystyngowane, czarująca głowa, wygląda jak z portretu.” Toteż p. de Charlus, podniecany zresztą przez Morela, który mu nie tań, ilu propozycji jest przedmiotem, dumny był, że go przywozi z sobą, że mu uściele gniazdko do któregoby skrzypek lubił wracać. Bo pozatem baron chciał aby Morel był wolny, co było konieczne dla kariery, której — mimo pieniędzy, jakie mu gotów był dawać — p. de Charlus pragnął dla Morela, bądź to z powodu tego poglądu — bardzo w stylu „Guermantes” — że trzeba aby mężczyzna coś robił, że człowiek jest coś wart jedynie przez swój talent, szlachectwo zaś lub pieniąż to są jedynie zera, które mnożą wartość, bądź że się bał, iż, nie mając zajęcia i będąc wciąż przy nim, skrzypek znudziłby się. Wreszcie, baron nie chciał się pozbawiać przyjemności, jakiej doznawał w czasie wielkiego koncertu, powiadając sobie: „Ten, którego oklaskują w tej chwili, będzie u mnie dziś w nocy.” Ludzie światowi, kiedy są zakochani — bez względu na gatunek miłości — wkładają swoją próżność w to, co może zniwieczyć dawniejsze ich przewagi, w których próżność ich znalazłaby zadowolenie.

Morel, czując że ja mu źle nie życzę, szczerze przywiązany do pana de Charlus, a z drugiej strony fizycznie absolutnie obojętny w stosunku do nas obu, nabrał w końcu do mnie owej gorącej sympatii, jaką ma kokotka do kogoś, kto się do niej nie zaleca i w kim kochanek jej ma szczerzego przyjaciela, nie starającego się go z nią poróżnić. Nietylko mówił ze mną ściśle tak jak niegdyś Rachela, kochanka Roberta, ale także — wedle tego co mi powtarzał p. de Charlus — mówił mu o mnie w mojej nieobecności mniej więcej to samo, co niegdyś Rachela Robertowi. Słowem, p. de Charlus powtarzał: „On pana bardzo lubi”, jak Robert mówił: „Ona cię bardzo lubi.” I jak Robert w imieniu kochanki, tak teraz wuj jego w imieniu Morela często zapraszał mnie we trójkę na obiad. Było zresztą między nimi nie mniej burz niż między Robertem a Rachelą. Niewątpliwie, kiedy Charlie (Morel) wyszedł, p. de Charlus nie szczędził mu pochwał, powtarzając — co pochlebiało jemu samemu — że skrzypek jest dlań taki dobry! Mimo to, widoczne było, że często Charlie, nawet wobec „wiernych”, zdradzał irytację, zamiast się wydawać zawsze szczęśliwy i uległy, jakby tego pragnął baron. Później — naskutek słabości, z jaką p. de Charlus przebaczał Morelowi wszystkie nietakty — irytacja ta posunęła się tak daleko, że skrzypek nie starał się jej ukryć a nawet afszował ją. Widziałem, jak p. de Charlus wchodził do wagonu, gdzie Charlie siedział z kolegami z wojska; muzyk przyjmował go wzruszeniem ramion, robiąc oko w stronę towarzyszków. Lub udawał że śpi, jak ktoś, kogo ta obecność napęla nieodpartą nudą. Albo zaczynał kaszleć; tamci śmiali się, przedrzeźniali specyficzne mizdrzenie się pana de Charlus; odciągali w ką Morela, który w końcu



jakby pod przymusem wracał do barona. Wszystkie te grotty przeszywały nawskroś serce barona. Niepojęte jest, że je znosił; i te wciąż odmienne formy cierpienia stwarzały wciąż na nowo dla pana de Charlus problemat szczęścia, zmuszały go nie tylko do żądania więcej, ale do pragnienia czego innego, ile że poprzednia kombinacja nasiąkła okropnym wspomnieniem. I mimo iż te sceny stały się później tak przykre, trzeba przyznać, że w pierwszym okresie instynkt dziecka francuskiego ludu natchnął Morela formami uroczej prostoty, pozornej szczerości, nawet szlachetnej dumy, która zdawała się zrodzona z bezinteresowności. To było fałszywe, ale wszystkie korzyści tej postawy przypadają Morelowi tem bardziej, że ten co kocha wciąż musi atakować, silić się na coś, gdy przeciwnie temu co nie kocha łatwo jest zachować linię prostą, nieugiętą i wdzięczną. Istniała ona, mocą przywileju rasy, w tak otwartej twarzy Morela, człowieku o tak zamkniętym sercu; twarzy strojnej neohelleńskim wdziękiem, kwitnącym w bazylikach Szampanji. Mimo swojej sztucznej dumy, często, spostrzegając pana de Charlus w chwili gdy się tego nie spodziewał, Morel zażenowany był wobec „paczki”; rumienił się, spuszczał oczy, ku zachwytowi barona, widzącego w tem cały romans. Były to poprostu oznaki irytacji i wstydu. Irytacja ta dawała sobie niekiedy folgę, mimo bowiem iż zazwyczaj spokojny, męski i skromny, Morel wypadał niekiedy z roli; czasem nawet, na jakieś odezwanie się barona, wybuchał ostro i zuchwale, ku zgorszeniu obecnych. P. de Charlus spuszczał smutno głowę, nie odpowiadał nic i dalej mimo to śpiewał pochwały skrzypka, gotów wierzyć — jak wierzą zbyt słabi rodzice, że nikt nie zauważył chłodu i grubiaństwa ich dzieci. Nie zawsze zresztą był p. de Charlus równie uległy, ale bunty jego nie osiągały zazwyczaj celu, zwłaszcza że, żyjąc zawsze w kołach światowych, w obliczaniu ewentualnej reakcji uwzględniał nikczemność, jeżeli nie wrodzoną, to bodaj nabytą przez wychowanie. Otóż, zamiast tego, spotykał u Morela jakiś plebejski powiew chwilowej obojętności.

Nieszczęściem dla siebie, p. de Charlus nie rozumiał, że dla Morela wszystko znika z chwilą gdy wchodzi w grę konserwatorjum (i dobra opinja w konserwatorjum, ale ten wzgląd — poważniejszy — nie nastroczał się jeszcze w tej chwili). Tak naprzykład, mieszczenie łatwo zmieniają nazwisko przez próżność, a wielcy panowie dla korzyści. Przeciwnie, dla młodego skrzypka nazwisko Morel było nierozłączne z uzyskaną pierwszą nagrodą skrzypcową, zatem niepodobne do zmienienia. P. de Charlus byłby chciał, aby Morel miał od niego wszystko, nawet nazwisko. Wiedząc że Morelowi jest na imię Charles, co brzmiało podobnie do *Charlus* i że posiadłość w której się widywali nazywała się *les Charmes*, chciał przekonać Morela, że ładne i mile brzmiące nazwisko jest połową artystycznej reputacji, i że powinien bez wahania przybrać nazwisko *Charmel* — dyskretna aluzja do miejsca ich schadzek. Morel wzruszył ramionami. Jako ostatni argument, p. de Charlus dodał nieszczęśliwie, że ma kamerdynera, który się tak nazywa. Obudził tem jedynie furję młodego człowieka.

— Był czas, gdy moi przodkowie byli dumni z tytułu pokojowca, marszałka królewskiego dworu — mówił baron.

— Był inny czas — odparł dumnie Morel — gdy moi przodkowie ucięli głowę pańskim.

Po odrzuceniu nazwiska „Charmel”, p. de Charlus gotów był już adoptować Morela i dać mu jeden z tytułów rodu Guermites jakimi rozporządzał, ale — jak się okaże — okoliczności nie pozwoliły mu ofiarować skrzypkowi tego tytułu; zresztą p. de Charlus przekonałby się, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że Morel byłby odmówił, wciąż przez wzgląd na reputację artystyczną, związaną z nazwiskiem Morel i na komentarze, jakieby to wywołało w jego klasie. O tyle wyżej stawał ulicę Bergère od faubourg Saint-Germain. Narazie, trzeba się było panu de Charlus zadowolić wymianą symbolicznych pierścionków, noszących starożytny napis: *PLUS ULTRA CAROL'S*. Niewątpliwie, w obliczu przeciwnika z rodzaju którego nie znał, p. de Charlus powinien był zmienić taktykę. Ale kto to potrafi? Zresztą, jeżeli p. de Charlus popełniał niezręczności, nie zbywało ich i Morelowi. O wiele bardziej niż sama okoliczność, która spowodowała zerwanie, zgubić, bodaj prowizorycznie (ale to prowizorjum okazało się definitywnem), Morela wobec pana de Charlus miało to, że w tym chłopcu była nie tylko sama nikczemność, każąca mu się płaszczyć wobec brutalności a odpłacać zuchwalstwem dobroć. Równoległe z tą wrodzoną nikczemnością, była w nim neurastenja, skomplikowana złem wychowaniem, która, budząc się za każdym razem kiedy Morel zawinił lub kiedy stawał się ciężarem,

sprawiała iż właśnie w chwili kiedyby potrzebował całego swego wdzięku, wesołości, słodczy, aby rozbroić barona, Morel stawał się chmurny, zaczepny, wszczynał beznadziejne dyskusje, podtrzymywał swój wrogi punkt widzenia z nicością argumentów a zarazem z brutalnością, która pogłębiała jeszcze tę nicość. Bo bardzo szybko wyczerpawszy argumenty, wymyślał nowe, w których ujawniał cały bezmiar swojej ignorancji i głupoty. Wady te ledwie przeświecały wówczas kiedy Morel był miły i starał się podobać. Przeciwnie, w napadach złego humoru, wady te z niewinnych stawały się wstrętne, przesłaniały wszystko inne. Wówczas p. de Charlus popadał w rozpacz; całą nadzieję pokładał jedynie w lepszym jutrze, podczas gdy Morel, zapominając o zbytku jaki zawdzięczał baronowi, mówił z uśmiechem ironicznego politowania:

— Nigdy nie przyjąłem nic od nikogo; toteż niema człowieka, któremu bym był winien jakkolwiek wdzięczność.

Narazie, i tak jakby miał do czynienia z człowiekiem z towarzystwa, p. de Charlus dalej dawał upust swoim gniewom, prawdziwym lub udanym, ale daremnym. Nie zawsze zresztą. I tak, pewnego dnia (już w dalszym okresie tego stosunku), kiedy baron wracał z Morelem i ze mną ze śniadania u Verdurinów, sądząc że spędzi wieczór ze skrzypkiem w Doncières, Morel, wysiadając z wagonu, pożegnał go słowami: „Nie, jestem zajęty.” Sprawilo to panu de Charlus zawód tak silny, że mimo iż próbował uzbroid serce przeciw srogości losu, ujrzałem jak lzy stopiły szminkę na jego rzesach, podczas gdy stał ogłupiały koło pociągu. Boleść jego była taka, że ponieważ zamierzaliśmy z Albertyną zakończyć dzień w Doncières, szepnąłem jej, że baron ma wyraźnie jakieś zmartwienie i że nie chciałbym go zostawiać samego. Kochana dziewczyna zgodziła się chętnie. Spytałem wówczas pana de Charlus, czy nie chce abym został trochę przy nim. Zgodził się, ale nie chciał fatygować mojej kuzynki. Znalazłem pewną słodycz (i zapewne ostatni raz, skoro byłem zdecydowany zerwać z Albertyną) w tem, aby jej nakazać łagodnie, tak jakby była moją żoną: „Wracaj sama, zajdę do ciebie wieczór”, i otrzymać tak jakby od żony — zgodę na to abym postąpił jak uważam za stosowne, w razie gdyby p. de Charlus, którego Albertyna bardzo lubiła, mnie potrzebował. Zaszliśmy we dwóch z baronem (przyczem on kołysał swoje wielkie ciało, ze spuszczonej jezuicko oczami, a ja szedłem za nim) do kawiarni, gdzie nam podano piwo. Czulem, że oczy pana de Charlus ścigają niespokojnie jakiś plan. Nagle baron zażądał papieru i atramentu i zaczął pisać z niezwykłą szybkością. Podczas gdy zapisywał ćwiartkę po ćwiartce, oczy jego błyszczały marzeniem i wściekłością. Napisawszy osiem stronic, rzekł do mnie:

— Czy mogę pana prosić o wielką przysługę? Niech pan daruje, że zakleję ten list. Ale tak trzeba. Weźmie pan fiakra, auto jeśli pan znajdzie, aby być prędzej. Zastanie pan z pewnością Morela w domu, poszedł się przebrać. Biedny chłopiec, fanfaronował w chwili gdy nas opuszczał, ale może pan być pewny, że jemu jest jeszcze ciężej niż mnie. Odda mu pan list, a jeśli zapyta gdzie mnie pan widział, powie pan, że się pan zatrzymał w Doncières (co jest zresztą prawda) aby się widzieć z Robertem (co nie jest może prawda), ale że mnie pan spotkał z kimś kogo pan nie zna, że był wyraźnie bardzo zirytowany; ma pan wrażenie, że pan słyszał coś o posyłaniu świadków (biję się w istocie jutro). Zwłaszcza niech pan nie mówi, że ja go wzywam, niech się go pan nie stara sprowadzić; ale gdyby chciał przyjść z panem, proszę mu tego nie bronić. Idź, dziecko, to dla jego dobra, możesz oszczędzić wielkiego dramatu. Podczas gdy pan uda się do niego, ja napiszę do moich świadków. Zepsułem panu spacer z kuzynką. Mam nadzieję, że nie będzie miała o to żalu, nawet jestem tego pewny. Bo to jest szlachetna dusza, i wiem, że jest z tych, które umieją zrozumieć doniosłość sytuacji. Musi pan jej podziękować odemnie. Jestem jej osobiście zobowiązany i cieszę się z tego.

Bardzo mi było żal pana de Charlus; zdawało mi się, że Charlie powinienby zapobiec temu pojedynkowi, którego był może przyczyną. Jeżeli tak było, czulem się oburzony że on odszedł obojętnie, zamiast towarzyszyć swemu protektorowi. Oburzenie moje wzrosło, kiedy, przybywszy do domu gdzie mieszkał Morel, poznałem głos skrzypka, który, potrzebując dać upust wesołości, śpiewał na całe gardło: „Sobota wieczór, po fajerancie!” Gdyby biedny p. de Charlus słyszał, on który chciał aby wierzone i wierzył zapewne, że Morel jest w tej chwili smutny! Na mój widok, Charlie zaczął tańczyć z uciechy.

— Och, mój stary (daruje pan, że go tak nazywam, w tem przekłętym życiu wojskowym człowiek nabiera plugawych manjer), co za gratka, że pana widzę. Nie mam co

robić z wieczorem, błagam, chodźmy gdzie razem. Zostaniemy tutaj, jeżeli pan woli, albo popływamy łódką, albo będziemy muzykowali, co tylko pan chce.

Powiedziałem, że muszę wracać na obiad do Balbec; miał ochotę abym go zaprosił, ale nie zrobiłem tego.

— Ale skoro panu tak spieszą, poco pan przyszedł?

— Przynoszę panu list barona.

W tej chwili wesołość Morela pierzchła, twarz mu się skurczyła.

— Jakto! jeszcze tutaj mnie ściga! Więc ja jestem niewolnik? Drogi panie, niech pan będzie poczciwy. Nie otwieram listu. Powie pan, że mnie pan nie zastał.

— Czy nie lepiej otworzyć, zdaje mi się że tam jest coś ważnego.

— Ale nie! pan nie zna kłamstw, piekielnych sztuczek tego starego plugawca. To finta wymyślona na to, żebym poleciał do niego. Ale nie, nie pójdę, chcę mieć spokój dzisiaj.

— Ale przecież on ma pojedynek jutro? — spytałem, sądząc że Morel jest świadomy rzeczy.

— Pojedynek? — odparł zdumiony. — Nie wiem o tem ani słowa. Ostatecznie, mam to gdzieś, niech się ten stary pluch da wypaproszyć, skoro ma ochotę. Ale wie pan, to mnie intryguje: otworzę ten list. Powie mu pan, że mi go pan zostawił na wszelki wypadek, w razie gdybym wrócił do domu.

Podczas gdy Morel mówił, patrzałem ze zdumieniem na cudowne książki — dar pana de Charlus — walające się po pokoju. Skrzypek nie chciał przyjąć książek, które miały napis: „Należę do barona etc...”; dewiza ta zdawała mu się obrażająca dla niego jako znak przynależności; zaczął baron, z sentymentalną pomysłowością, w której lubuje się nieszczęśliwa miłość, zastąpił te godła innymi, odziedziczonymi po przodkach, ale zamówionymi u introligatora w duchu melancholijnej przyjaźni. Czasami były krótkie i ufne, jak *Spes mea* albo *Expectata non eludet*. Czasem tylko zrezygnowane, jak „Zaczekam”. Niektóre frywolne, jak „*Mesmes plaisir du mestré*”, lub doradzające czystość, jak ta zapożyczona od rodziny Simiane, usiana błękitnymi wieżami i kwiatami lilji i odarta ze swego sensu: *Sustendant lilia turres*. Inna wreszcie, zrozwyczajona i dająca schadzki w niebie temu, który go nie chciał na ziemi: *Manet ultima coelo*. W innej, znajdując nazbyt zielonem grono którego nie mógł dosięgnąć, udając że się nie ubiega o to czego nie otrzymał, p. de Charlus powiedział: *Non mortale quod opto*. Ale nie miałem czasu obejrzyć wszystkich.

Jeżeli p. de Charlus, kreśląc ten list, zdawał się pastwą demona prowadzącego mu pióro, Morel, złamawszy pieczęć *Atavis et armis*, opatrzoną lampartem w sąsiedztwie dwóch czerwonych róż, zaczął czytać z gorączką równą tej z jaką p. de Charlus pisał; oczy jego biegały po zabazgranych stronicach nie mniej szybko niż pióro barona.

— Och, Boże! tylko tego brakowało! ale gdzie go znaleźć! Bóg wie, gdzie on jest teraz.

Poddałem myśl, że pospieszywszy się, zastałoby się może jeszcze barona w piwiarni, gdzie sobie kazał dać piwa aby ochłonić. „Nie wiem, czy wrócę, rzekł Morel do gospodyni; i dodał *in petto*: to będzie zależało od obrotu rzeczy.” W kilka minut przybyliśmy do kawiarni. Zauważyłem wyraz pana de Charlus w chwili gdy mnie spostrzegł. Uczułem iż na widok że nie idę sam, wraca mu oddech, życie. Będąc tego wieczora w takim nastroju że się nie mógł obyć bez Morela, zmyślił, że — jak mu doniesiono — dwaj oficerowie z pułku Morela źle mówili o nim z powodu skrzypka i że on wyprawił do nich świadków. Morel dojrzał w tem skandal, uniemożliwienie swego życia w pułku; zadrzał. W czem niezupełnie był w błędzie. Bo, aby uczynić swoje kłamstwo prawdopodobniejszym, p. de Charlus napisał już do dwóch przyjaciół (jednym z nich był Cottard), prosząc ich na sekundantów. I gdyby skrzypek się nie zjawił, można być pewnym, że taki warjat jak p. de Charlus (aby zmienić swój smutek we wściekłość) wysłałby ich na oślep do jakiegoś oficera, z którym pojedynek sprawiłby mu ulgę. Przez ten czas, p. de Charlus, przypominając sobie że jest z krwi czystszej niż krew królów Francji, myślał że śmieszne jest tyle się dręczyć dla syna kamerdynera, z którego panem nie raczyłby utrzymywać stosunków. Z drugiej strony, o ile znajdował już upodobanie tylko w przestawianiu z mętami, zakorzeniony u ludzi tego pokroju zwyczaj aby nie odpowiadać na listy, nie przyjść na schadzki bez uprzedzenia, bez wytłumaczenia się później, dawał baronowi — ponieważ często chodziło o miłości — tyle wzruszeń, a skądinąd przyprowadził go o tyle irytacji, kłopotów i wściekłości, że często zdarzało mu się żałować mnogości zbytecznych listów, punktualności ambasadorów i monarchów, którzy, o ile mu byli niestety obojętni, dawali mu mimo wszystko uczucie

wytchnienia. Przyzwyczajony do manier Morela, wiedząc jak mało ma nań wpływu i jak dalece był niezdolny wcisnąć się w życie, w którym pospolite ale obowiązujące stosunki zabierały zbyt wiele miejsca i czasu aby można było znaleźć godzinę dla wzgardzonego magnata, dumnego i błagającego napróżno, p. de Charlus był tak dalece przekonany że muzyk nie przyjdzie, tak bardzo się bał że się z nim na zawsze poróżnił posuwając się za daleko, że ledwie mógł wstrzymać krzyk na jego widok. Ale, czując się zwycięską, chciał podyktować warunki pokoju, wydobyć dla siebie możliwe korzyści.

— Co pan tu robi? — rzekł do Morela. — A pan? — dodał patrząc na mnie; — mówiłem przecie żeby mi go nie sprowadzać.

— Nie chciał mnie sprowadzać — rzekł Morel śląc, w swojej naiwnej kokieteryj, w stronę pana de Charlus spojrzenia konwencjonalnie smutne i tęsknie niemożne, z miną — uważał ją zapewne za nieodpartą — taką jakby chciał barona uściskać i rozplakać się. — To ja sam przyszedłem, wbrew niemu. Przychodzę w imię naszej przyjaźni, błagać pana na kolanach, aby pan nie robił tego szaleństwa.

P. de Charlus nie posiadał się z radości. Reakcja była zbyt silna na jego nerwy; mimo to, opanował ją.

— Przyjaźń na którą się pan powołujesz dosyć niewczesnie — odparł sucho — po-winnaby przeciwnie zyskać mi pańskie uznanie, za to iż nie mam ochoty cierpieć imper-tynencyj durnia. Zresztą, gdybym chciał ulec perswazjom uczucia, które bywało lepiej natchnione, nie miałbym już możliwości; listy do moich świadków już odeszły, a nie wą-pię że przyjmą misję. Postępowałeś zawsze ze mną jak głuptas. Zamiast czuć się dumny — jak miałeś prawo — z predylekcji, jaką ci okazywałem, zamiast pouczyć ciźbę sier-żantów lub fagasów, wśród których rygory wojskowe nakazują ci żyć, jakim źródłem nieporównanej dumy jest dla ciebie przyjaźń taka jak moja, starałeś się usprawiedliwiać, starałeś się niemal pysznić tem, że nie jesteś dość wdzięczny. Wiem — dodał baron, aby nie okazać jak go niektóre sceny upokorzyły — że jesteś w tem winny tylko o tyle, żeś się dał powodować zawiści innych. Ale jak ty, w swoim wieku, możesz być takim dzieckiem (i to dzieckiem dosyć źle wychowanym), aby nie pojąć odrazu, iż fakt że ja cię wybrałem, oraz wszystkie zrozumiałe korzyści płynące stąd dla ciebie, wznicią zazdrość, że wszyscy koledzy będą cię podburzali przeciw mnie, starając się równocześnie zająć twoje miej-sce. Nie uważałem za potrzebne uprzedzać cię o listach, jakie dostawałem w tej mierze od wszystkich tych, którym ty najbardziej ufasz. Gardzę zarówno nadszkakiwaniami tych fagasów, jak ich bezsilnymi drwinami. Jedyna osoba, o którą dbam, to ty, bo cię bardzo kocham: ale przywiązanie ma swoje granice, powinienbyś to zrozumieć.

Słowo *fagas* musiało przykro zabrzmieć dla uszu Morela, którego ojciec był „fagasem”; ale właśnie dlatego że ojciec nim był, wytłumaczenie wszystkich konfliktów socjalnych przez „zazdrość”, wytłumaczenie prostackie i niedorzeczne, ale niepożyte i w pewnej kla-sie „chwytające” zawsze w sposób równie niezawodny jak stare sztuczki biorą publiczność teatralną, lub jak groźba klerikalnego niebezpieczeństwa bierze na wiecach, znajdowało u Morela wiarę prawie równie silną jak u Franciszki lub u służby pani de Guermantes, widzących w tem jedyne źródło nieszczęść ludzkości. Nie wątpił, że wszyscy koledzy pró-bowali mu zdmuchnąć miejsce i czuł się tem nieszczęśliwszy z powodu tego oplakanego, urojonego zresztą pojedyńku.

— Och! co za rozpacz! — wykrzyknął Charlie. Ja tego nie przeżyję. Ale czy tamci panowie nie mają się z panem spotkać, zanim pójdą do tego oficera?

— Nie wiem, sądzę że tak. Dałem znać jednemu z nich że zostanę tu dziś wieczór i że mu dam instrukcje.

— Mam nadzieję, że do jego przybycia zdołam pana przekonać; niech mi pan tylko pozwoli zostać z sobą — prosił czule Morel.

Było to wszystko, czego pragnął p. de Charlus. Nie odrazu ustąpił.

— Myliłbyś się, stosując tu przysłowie że „kto mocno kocha, mocno karci”, bo ko-chałem mocno ciebie, a skarcić zamierzam, nawet po naszym zerwaniu, tych, co nik-czemnie próbowali ci szkodzić. Na ich insynuacje, ośmielające się stawiać mi pytanie, w jaki sposób człowiek taki jak ja może obcować z żygolakiem twojego gatunku, wyro-słym z plebsu, odpowiadałem dotąd jedynie dewizą moich kuzynów La Rochefoucauld: *Taka moja ochota*. Zaznaczyłem ci już kilka razy, że ta ochota mogłaby się stać mojem

największym szczęściem, przyczem twoje samowładne wywyższenie nie stałoby się poniżeniem dla mnie. W odruchu szaleńczej pychy, baron wykrzyknął, wznosząc ręce:

— *Tantus ab uno splendor!* Zstępować, nie znaczy zniżać się — dodał spokojniej po tym wybuchu dumy i radości. Mam nadzieję bodaj, że moi dwaj przeciwnicy, mimo nierówności stanowiska, są z krwi, którą mogą przelać bez sromu. Zasięgnąłem w tej mierze dyskretnej informacji, które mnie uspokoiły. Gdybyś miał dla mnie cień wdzięczności, powinienbyś być przeciwnie dumny z tego, że z twojego powodu odzyskuję wojenny wigor przodków, mówiąc jak oni, w razie nieszczęśliwego wyniku — teraz kiedym zrozumiał coś ty jest za małe ladaco — że „Śmierć mi jest życiem”.

I p. de Charlus mówił to szczerze, nie tylko przez miłość do Morela, ale dlatego, że buńczuczny temperament (baron sądził naiwnie, że go ma po przodkach) dawał mu tyle radości na myśl o biciu się, że z żalem by się wyrzekł teraz tego pojedynku, zrazu ukartowanego jedynie po to aby sprowadzić Morela. Ilekroć miał taką sprawę, baron czuł się natychmiast nadzwyczaj dzielny i utożsamiał się ze znakomitym konetabłem de Guermantes, gdy u każdego innego fakt pojedynku wydawał mu się czemś bardzo błahem.

— Sądzę, że to będzie bardzo piękne — powiadał szczerze, akcentując każde słowo. Widzieć Sarę Bernhard w *Orlątku*, co to jest, to wielkie łajno! Mounet Sully w *Edypie*, łajno! Co najwyżej dostępuje to pewnej bladej transfiguracji, kiedy się odbywa na Arenie w Nimes. Ale co to jest w porównaniu z tą niesłychaną rzeczą: widzieć w boju rodzzonego potomka wielkiego Konetabla.

I na samą tę myśl, nie posiadając się z radości, p. de Charlus zaczął wymierzać tercje i kwarty, które przypominały Moliera i sprawiły żeśmy przezornie przysunęli do siebie kufle, bojąc się zarazem, że pierwsze skrzyżowania szpad mogłyby poranić przeciwników, lekarza i świadków.

— Co za kuszące widowisko dla malarza — ciągnął baron. — Pan, który znasz pana Elstir, powinienbyś go sprowadzić.

Odpowiedziałem, że Elstira niema na wybrzeżu. P. de Charlus poddał, że możnaby po niego zatelegrafować.

— Och, ja mówię to dla niego — dodał wobec mojego milczenia. — To zawsze interesujące dla mistrza — a mojem zdaniem to jest mistrz — utrwalić przykład podobnego etnicznego odzicia. To się nie zdarza ani raz w ciągu wieku.

Ale jeżeli p. de Charlus rozkoszował się myślą o walce którą zrazu uważał za całkowicie fikcyjną, Morel myślał ze strachem o plotkach, które, dzięki hałasowi jakiego narobi ten pojedynek, mogłyby się z muzyki pułkowej przedostać aż do świątyni przy ulicy Bergère. Widząc już „klasę” powiadomioną o wszystkim, stawał się coraz natarczywszy wobec pana de Charlus, który dalej gestykulował, upajając się ideą pojedynku. Morel błagał barona, aby mu pozwolił zostać przy sobie do pojutra (dnia rzekomego spotkania), chcąc go pilnować i starać się mu trafić do rozsądku. Tak czuła propozycja pokonała ostatnie wahania pana de Charlus. Oświadczył, że spróbuje znaleźć furtkę, że odłoży do pojutra ostateczną decyzję. W ten sposób, nie załatwiając sprawy odrazu, p. de Charlus miał nadzieję zatrzymać swego Charlie conajmniej dwa dni i skorzystać z tych dni, aby od niego uzyskać zobowiązania na przyszłość, w zamian za wyrzeczenie się pojedynku, zabawy która (powiadał) nęci go sama w sobie i której wyrzeka się nie bez żalu. W czem zresztą baron był szczery, bo zawsze znajdował przyjemność w tem aby stawać na placu, czy chodziło o skrzyżowanie szpad czy o wymianę kul.

Cottard przybył wreszcie, mimo że bardzo spóźniony; uszczęśliwiony że ma służyć za świadka ale bardziej jeszcze wzruszony, musiał się zatrzymywać przy wszystkich kawiarniach lub folwarkach po drodze, prosząc aby mu zechciano pokazać nr 100, czyli „*buen retiro*”. Skoro tylko się zjawił, baron zaprowadził go do oddzielnego pokoju, bo nie uważał za właściwe abyśmy obaj z Morelem byli obecni przy tej rozmowie, celował zaś w sztuce dania jakimkolwiek pokojowi prowizorycznego charakteru sali tronowej lub sali obrad. Znalazłszy się sam z doktorem, podziękował mu gorąco, ale oświadczył, iż zdaje się prawdopodobne, że powtórzonych słów w istocie nie wyrzeczono; w tych warunkach doktor zechce uprzedzić drugiego świadka, iż, poza ewentualnymi komplikacjami, incydent można uważać za załatwiony. Wobec oddalającego się niebezpieczeństwa, Cottard doznał uczucia zawodu. Chciał nawet przez chwilę pogniewać się, ale przypomniał so-

bie, że jeden z jego mistrzów, który zrobił swego czasu najpiękniejszą karierę lekarską, przepadłszy za pierwszym razem w Instytucie tylko dwoma głosami, przyjął wesoło to nieszczęście i poszedł uściskać rękę szczęśliwemu rywalowi. Toteż doktor oszczędził sobie wyrazów żalu, któryby już nic nie zmienił, i szepnąwszy — on, najtchórzliwszy z ludzi — że są pewne rzeczy, których się nie powinno puszczać płazem, dodał że tak będzie najlepiej i że rad jest z tego finału. P. de Charlus, pragnąc okazać wdzięczność doktorowi w ten sam sposób w jaki książę jego brat poprawiłby kołnierz u paltota mojemu ojcu, jak zwłaszcza jakaś księżna byłaby uściskała plebejuskę, zbliżył krzesło do krzesła doktora, mimo wstrętu jaki ów w nim budził. I nie tylko bez fizycznej przyjemności, ale zwalczając psychiczną odrazę, ujął na pożegnanie doktora za rękę — jako Guermentes, nie jako zboczeniec — i pieścił jakiś czas jego dłoń z dobrocią pana gładzącego konia po pysku i dającego mu cukier. Cottard nigdy nie okazał baronowi aby słyszał coś o jego złych obyczajach, ale mimo to liczył go w duchu do klasy „anormalnych” (nawet, ze swoją zwykłą nieścisłością terminów, najpoważniejszym tonem pytał o lokaja Verdurinów: „Czy to nie jest dziewczynka barona?”). Mało obyty z temi sprawami, wyobraził sobie, że owa pieśczoła dłoni jest przygrywką do zgwałcenia, dla którego pojedynek był jedynie pretekstem; że go ściągnięto w pułapkę i zaprowadzono do ustronnego pokoju, gdzie będzie zniewolony siłą. Nie śmiejąc opuścić krzesła, do którego przykuwał go strach, toczył przerażeniami oczami, jakgdyby popadł w ręce dzikiego, o którym nie jest całkiem pewny czy się nie żywi mięsem ludzkim. Wreszcie p. de Charlus puścił rękę doktora i chcąc być do końca uprzejmy, rzekł:

— Napije się pan czego z nami; jest tu coś co nazywało się niegdyś mazagran, lub „gloria”, napoje figurujące już tylko jako archeologiczne zabytki w sztukach Labiche’a i w kawiarniach w Doncières. „Gloria” byłaby dosyć zastosowana do miejsca, nieprawdaż, i do okoliczności? Co pan na to?

— Jestem prezesem ligi antyalkoholowej — odparł Cottard. — Wystarczyłoby, aby jaki prowincjonalny lekarzyna zajrzał tutaj, a będą opowiadali, że nie świecę przykładem. *Os homini sublime dedit coelumque tueri* — dodał Cottard, mimo że to nie miało żadnego związku, ale jego zapas łacińskich cytatał był dosyć ubogi, wystarczający zresztą aby olśnić studentów.

P. de Charlus wzruszył ramionami i zaprowadził Cottarda do nas, poprosiwszy go o sekret, na którym zależało mu tem więcej, iż motyw poronionego pojedyńku był całkowicie urojony. Chodziło o to, aby nie doszedł uszu oficera, samowolnie wciągniętego w grę.

Podczas gdyśmy popijali we czwórkę, pani Cottard, która czekała na męża pod drzwiami i którą p. de Charlus widział doskonale nie kwapiąc się jej zaprosić, weszła i przywitała się z baronem; podał jej rękę jak pokojówce, nie ruszając się z krzesła; trochę jak król, który przyjmuje hołdy, trochę jak snob, który nie chce aby kobieta mało elegancka siadała przy jego stoliku, trochę jak egoista, który lubi być sam z przyjaciółmi i nie chce zwracania głowy. Pani Cottard stała tedy, rozmawiając z panem de Charlus i z mężem. Ale zapewne dlatego iż grzeczność, poczucie tego co „wypada”, nie jest wyłącznym przywilejem Guermantów i może nagle oświecić i natchnąć najbardziej niepewny umysł, lub dlatego że bardzo zdradzając żonę, Cottard czuł chwilami, rodzajem kompensaty, potrzebę chronienia jej przed kimś ktoby jej uchybił, nagle doktor zmarszczył brwi, czego u niego nigdy nie widziałem, i nie troszcząc się o pana de Charlus, rzekł władczo:

— Słuchaj, Leontyno, nie stój że tak, siadaj.

— Ale czy ja panu nie przeszkadzam? — spytała nieśmiało pani Cottard barona, który, zdziwiony tonem doktora, nie odpowiedział. Nie zostawiając jej tym razem czasu, Cottard powtórzył stanowczo:

— Powiedziałem ci, siadaj.

Po chwili towarzystwo rozeszło się; wówczas p. de Charlus rzekł do Morela:

— Z tej całej historii, lepiej zakończonej niżbyś na to zasługiwał, wyciągam wniosek, że nie umiesz sobą powodować i że z końcem twojej służby wojskowej odstawię cię sam do ojca, jak archanioł Rafael zesłany przez Boga młodemu Tobiaszowi.

I baron uśmiechnął się z wyniosłą miną i z radością, której Morel, bynajmniej nie zachwycony perspektywą takiego powrotu, nie zdawał się podzielać. Upojony porównaniem siebie z archaniołem a Morela z synem Tobiasza, p. de Charlus nie myślał już o celu

swojego odezwania się, którym było zmacać grunt, aby się dowiedzieć, czy, jak baron tego pragnął, Morel zgodzi się z nim wracać do Paryża. Upojony miłością czy próżnością, baron nie widział — lub udał że nie widzi miny skrzypka, bo zostawiwszy go samego w kawiarni, rzekł do mnie z dumnym uśmiechem:

— Czy pan zauważył, jaki on był szczęśliwy, kiedym go porównał z synem Tobiasza? To dlatego, iż, będąc bardzo inteligentny, rozumiał, że Ojciec przy którym ma żyć od-tąd, to nie jego ojciec cielesny (będący zapewne jakimś okropnym fagasem), ale ojciec duchowy, to znaczy Ja. Co za duma dla niego! Jak hardo podnosił głowę! Jaką uczuł radość, że rozumiał. Jestem pewien, że będzie sobie powtarzał codzień: „O Boże, któryś dał błogosławionego archanioła Rafała za *przewodnika* twemu słudze Tobiaszowi w długiej podróży, pozwól nam, sługom twoim, aby nas zawsze wspomagał i darzył opieką”. Nie potrzebowałem — dodał baron, mocno przekonany że będzie kiedyś zasiadał przed tronem Boga — mówić mu, że jestem niebiańskim wysłannikiem; rozumiał sam i oniemiał ze szczęścia!

I p. de Charlus (któremu przeciwnie szczęście nie odejmowało mowy), nie troszcząc się o paru przechodniów, którzy się odwracali sądząc że mają przed sobą warjata, wykrzyknął nagle z całych sił, podnosząc dłonie: „Alleluja!”

Pojednanie to położyło jedynie na jakiś czas koniec cierpieniom pana de Charlus; często Morel, wyjechawszy na manewry zbyt daleko aby go baron mógł odwiedzać lub wyprawić mnie doń jako posła, pisał zropaczone i tkliwe listy, gdzie zapewniał barona, że przyjdzie mu skończyć z życiem, ponieważ potrzeba mu, na jakąś okropną rzecz, dwudziestu pięciu tysięcy franków. Nie mówił, co to za okropna rzecz; gdyby zresztą powiedział, byłaby z pewnością zmyślona. Co do samych pieniędzy, p. de Charlus byłby je chętnie posłał, gdyby nie czuł, że to daje Morelowi możliwość obywatelstwa bez niego, a także kupienia sobie innych faworów. Toteż odmawiał, a depesze jego miały suchy i ostry ton głosu barona. Kiedy był pewny ich efektu, pragnął, aby Morel poróżnił się z nim na zawsze, bo przekonany w duchu iż będzie odwrotnie, zdawał sobie sprawę ze wszystkich przykrości, jakie wynikną z tego nieuchronnego stosunku. Ale jeżeli nie przychodziła odpowiedź od Morela, baron nie spał, nie miał już chwili spokoju, tak wielka jest w istocie ilość rzeczy które przeżywamy nie znając ich, oraz wewnętrznych i głębokich realności, które nam pozostają ukryte. Tworzył wówczas wszystkie przypuszczenia co do tej *okropności*, która sprawiała że Morel potrzebuje dwudziestu pięciu tysięcy; dawał jej wszystkie formy, łącząc z nią kolejno wiele imion własnych. Sądzę, że w tych momentach, p. de Charlus (mimo że w owym czasie jego zanikający snobizm wyrównywała już, jeżeli nie przewyższała, rosnąca ciekawość jaka zbudziła się w baronie w stosunku do ludu) musiał sobie przypominać z niejakim żalem wdzięczne i barwne kręgi światowych zebrań, gdzie najbardziej czarujące osoby — mężczyźni i kobiety — szukały jego towarzystwa jedynie dla bezinteresownej przyjemności, gdzie nikt nie myślałby o tem aby go „nabrać”, aby wymyślić „okropną rzecz”, grożącą samobójstwem, o ile nie wysze zaraz dwudziestu pięciu tysięcy. Sądzę, że wówczas — i może dlatego że baron pozostał jednak bardziej „z Combray” odemnie, przyczem zaszczepił feudalną dumę na pysze niemieckiej — musiał uważać, że nie jest się bezkarnie kochankiem od serca lokajskiego dziecka, że lud to nie jest całkiem to samo co „świat”, i w sumie nie miał tego zaufania do ludu, jakie ja miałem zawsze.

Następna stacja kolejki, Maineville, przypomina mi właśnie pewne wydarzenie dotyczące Morela i pana de Charlus. Zanim o niem wspomnę, muszę powiedzieć, że przystanek Maineville (kiedy się wiozło do Balbec eleganckiego przybysza, który, aby nie być natrętnym, wołał nie mieszkać w la Raspelière) bywał terenem scen mniej przykrych, niż ta którą opowiem za chwilę. Gość, mając swoje walizki w pociągu, uważał często że Grand Hotel jest trochę daleko; że jednak przed Balbec były tylko małe plaże z niewygodnymi willami, tedy, przez kult dobrobytu i zbytku, godził się z dalszą siedzibą. I oto, w chwili gdy pociąg stawał w Maineville, spostrzegł nagle wylaniający się *Palace*, o którym nie mógł przypuszczać, że to jest dom publiczny. „Ależ zostaniemy tutaj — mówił niechybnie do pani Cottard, osoby znanej jako charakter zaradny, praktyczny. Oto właśnie czego mi trzeba. Poco wlec się do Balbec, gdzie z pewnością nie będzie nic lepszego. Już z samego wyglądu wnoszę, że tu musi być wszelki komfort; doskonale będę mógł zaprosić tutaj panią Verdurin, bo zamierzam, wzamian za jej uprzejmości, wydać parę zebrań na

jej cześć. Będzie miała bliżej niż gdybym zamieszkał w Balbec. To mi się wydaje idealne dla niej i dla pańskiej żony, drogi profesorze. Muszą tam być salony, sprowadzimy damy. Między nami mówiąc, nie rozumiem czemu, zamiast wynajmować la Raspelière, pani Verdurin nie zamieszkała tutaj. To o wiele zdrowsze niż stare domy takie jak la Raspelière, która jest niechybnie wilgotna, nie będąc zresztą czysta; niema tam gorącej wody, nie można się porządnie umyć. Maineville wydaje mi się znacznie przyjemniejsze. Pani Verdurin doskonale grałaby tu rolę gospodyni. W każdym razie, każdy ma swoje gusty; ja zamieszkał tutaj. Pani Cottard, czy pani nie zechce wysiąść ze mną? — ale spieszymy się, bo pociąg zaraz ruszy. Oprowdzi mnie pani po tym domu, który będzie pani domem i gdzie pani musiała nieraz bawić. To rama jak stworzona dla pani.

Ledwie z największą trudnością zdołało się uciszyć gadułę, a zwłaszcza nie dać mu wysiąść. Z uporem często towarzyszącym gaffie, nieszczęsny gość nalegał, ściągał walizki i nie chciał nic słyszeć, dopóki go nie upewniono, że nigdy pani Verdurin ani pani Cottard nie przyjechałyby tam do niego. „W każdym razie, ja rozbijam namioty tutaj — mówił. — Niech pani Verdurin poprosto napisze tu do mnie”.

Wspomnienie tyżące się Morela wiąże się ze specjalniejszym wypadkiem. Były i inne, ale ja poprzestaję tutaj, w miarę jak się kolejka zatrzymuje i jak konduktor wykrzykuje Doncierres, Gralevast, Maineville, etc., na zanotowaniu tego, co mi nasuwa mała plaża lub garnizon. Mówiłem już o Maineville (*media villa*) i o ważności jakiej nabierała ta miejscowość dzięki zbytkownemu domowi rozpusty, który tam świeżo wzniesiono, nie bez daremnych protestów ze strony żon i matek. Ale, nim powiem, w czym Maineville ma w mojej pamięci jakiś związek z Morelem i z panem de Charlus, trzeba mi zanotować dysproporcję (którą później zgłębię) między wagą, jaką przywiązywał Morel do zachowania dla siebie niektórych godzin, a błahością zatrudnień, na jakie zamierzał ich użyć, ile że ta sama dysproporcja powtarzała się w innego rodzaju wyjaśnieniach, jakie skrzypek dawał panu de Charlus. On, który zgrywał się wobec barona na bezinteresowność (i mógł się zgrywać bez ryzyka, zważywszy hojność jego protektora), ilekroć chciał spędzić wieczór na własną rękę aby udzielić jakiejś lekcji etc., nie omieszkwał poprzeć swojego pretekstu słowami wymawianymi z uśmiechem chciwości: „A przytem, to mi da czterdzieści franków zarobku. To nie byle co. Niech mi pan pozwoli tam iść, bo widzi pan, to jest zysk dla mnie. Ba, ja nie jestem bogacz jak pan, ja muszę sobie stworzyć sytuację, to jest moment aby ciuć.”

Pragnąc odbyć swoją lekcję, Morel nie był całkiem nieuczciwy. Z jednej strony fałszem jest, aby pieniąż nie miał barwy. Nowy sposób zarobku przywraca blask monecie, szerniałej w obiegu. Gdyby naprawdę Morel szedł na lekcję, możebne jest, iż dwa ludwiki wręczone przez uczenicę dałyby mu inne wrażenie niż dwa ludwiki któreby mu spadły z ręki pana de Charlus. Następnie, najbogatszy człowiek zrobiłby dla dwóch ludwików kilometry, które stają się milami, jeżeli się jest synem lokaja. Ale nieraz p. de Charlus miał co do lekcji skrzypiec grube wątpliwości, zwłaszcza że często muzyk wydobywał preteksty innego rodzaju, całkowicie bezinteresowne pod względem materialnym, zresztą niedorzeczne. Morel nie mógł przeszkodzić, aby baron tworzył sobie obraz jego życia; ale dobrowolnie i mimowolnie obraz ten zaciemniał tak, że jedynie niektóre partje dało się rozpoznać. Przez miesiąc oddał się do dyspozycji pana de Charlus, pod warunkiem aby miał wieczory wolne; miał ochotę przejść pełny kurs algebry. Zająć potem do pana de Charlus? Och, to niemożliwe: kurs kończy się czasem bardzo późno. — Nawet po drugiej w nocy? — pytał baron. — Bywa i tak. Ale przecież algebry można się nauczyć z książki. — Nawet łatwiej, bo ja nie wiele rozumiem z wykładu. — Zatem co? Zresztą algebra nie zda ci się na nic. — Ja to lubię. To mi leczy neurastenję.

— Nie dla algebry bierze przepustki na noc — powiadał sobie p. de Charlus. — Czyżby on był z tajnej policji?

Bądź jak bądź, nie zważając na żadne obiekcje, Morel zachowywał sobie niektóre późne godziny, czy to z przyczyny algebry czy skrzypiec. Pewnego razu nie było to ani jedno ani drugie; poprosto książkę Gilbert, przybywszy na kilka dni na wybrzeże aby złożyć wizytę księżnej de Luxembourg, spotkał muzyka, nie wiedząc kto to jest, sam mu również nieznanym, i ofiarował mu pięćdziesiąt franków za to aby spędzić razem noc w zamtużie w Maineville; podwójna przyjemność dla Morela: zarobek od pana de Guermantes i rozkosz bliskości kobiet, których brunatne piersi widzi się bez osłonek. Nie wiem, jak p.



de Charlus wpadł na trop faktu i miejsca, ale nie osoby uwodziciela. Oszałała zazdrością i chcąc wiedzieć jego nazwisko, zatelegrafował do Jupiena, który przybył w dwa dni. Kiedy, z początkiem następnego tygodnia, Morel oświadczył że go znów nie będzie, baron spytał Jupiena, czy się podejmie przekupić gospodynię zakładu i uzyskać od niej to, aby baron z Jupieniem mogli z ukrycia asystować całej scenie. „Załatwione, ja się tem zajmę, dziubasku” — odparł Jupien. Trudno pojąć, do jakiego stopnia ten niepokój wzburzał i przez to samo wzbogacił chwilowo umysł pana de Charlus. Miłość sprawia w ten sposób istne geologiczne wzdymania się myśli. W duszy pana de Charlus, która przed kilku dniami podobna była do równiny tak jednostajnej że na najdalszym horyzoncie nie mógłby spostrzec idei wznoszącej się ponad ziemię, nagle wyrosły, twarde jak kamień, łańcuchy gór, i to gór tak wyrzeźbionych, jakgdyby jakiś rzeźbiarz, zamiast wywieźć marmur, wyczelował go na miejscu: w olbrzymich i tytanicznych grupach wily się tam Wściekłość, Zazdrość, Ciekawość, Zawieść, Nienawiść, Cierpienie, Duma, Przerazenie i Miłość.

Tymczasem nadszedł wieczór, gdy Morel miał być nieobecny. Misja Jupiena powiodła się. Obaj z baronem mieli przyjść około jedenastej, obiecano ich ukryć. Na trzy ulice przed tym wspaniałym zamtuzem (dokąd pielgrzymowano ze wszystkich eleganckich okolic), p. de Charlus szedł na palcach, zmieniał głos, błagał Jupiena aby mówił ciszej, z obawy aby ich Morel stamtąd nie usłyszał. Otóż, z chwilą gdy weszli na palcach do sieni. p. de Charlus, nie nawykły do tego rodzaju zakładów, znalazł się, ku swej zgrozie i zdumieniu, w miejscu hałaśliwszem niż giełda lub hala licytacyjna. Próżno zalecał stłumienie głosu subretkom, które się cisnęły do niego: głos ich pokrywały zresztą krzyki i nawoływania starej makareli w peruce zbyt czarnej, o twarzy na której luszczyla się powaga rejenta lub hiszpańskiego księdza. Dama ta wykrzykiwała co minutę, z łoskotem gromu, każąc kolejno otwierać i zamykać drzwi, tak jak się reguluje ruch pojazdów: „Dajcie pana pod dwudziesty ósmy, pokój hiszpański. — Niema miejsca, komplet. — Puśćcie, ci panowie żądają panny Noemi. Oczekuje ich w salonie perskim.”

P. de Charlus wystraszony był jak prowincjusz, gdy ma przebyć bulwary; aby zaś sięgnąć po porównanie nieskończenie mniej świętokradzkie niż motyw kapitelów w kruchcie starego kościoła w Corlesville, powiedzmy iż głosy młodych służebnic powtarzały ciszej ale niestrudzenie rozkaz gospodyni, niby owe modlitwy, które uczniowie psalmodjują w ciszy wiejskiego kościoła. Choć tak spłoszony, p. de Charlus, który na ulicy drżał że go usłyszą, przekonany iż Morel stoi w oknie, mniej był może przestraszony w zgiełku tych olbrzymich schodów, pojmując że z pokojów niepodobna coś widzieć. Wreszcie, u kresu swojej udręki, znalazł pannę Noemi, która miała go ukryć z Jupieniem, ale zaczęła od tego, że zamknęła barona we wspaniałym salonie perskim, skąd nie widział nic. Oświadczyła, że Morel zażądał szklanki oranżady i że z chwilą gdy mu ją podadzą, zaprowadzi się obu gości — barona z Jupieniem — do przeźrocystego salonu. Narazie, ponieważ ją wzywano, panna Noemi przyrzekła im, jak we frywolnej opowiadce, że, dla skrócenia czasu, przysła im „inteligentną młodą osobę”. Ją samą wzywają. Inteligentna młoda osoba miała na sobie perski peniuar, który chciała zdjąć. P. de Charlus powstrzymał ją od tego; zaczęła kazać sobie podać szampana, po 40 franków butelka.

W rzeczywistości Morel był przez ten czas z księciem Gilbertem de Guermentes; udał dla formy, że zmylił drogę, wszedł do pokoju gdzie były dwie kobiety, które coprędzej zostawiły obu panów samych. P. de Charlus nic o tem wszystkim nie wiedział, ale kłął, chciał otwierać drzwi, kazał wołać z powrotem pannę Noemi, która, usłyszawszy że inteligentna młoda osoba daje panu de Charlus co do Morela informacje niezgodne z temi jakich ona sama udzieliła Jupienowi, przepędziła ją i przysłała niebawem zamiast młodej osoby inteligentnej, „młodą osobę milusią”, która im nie pokazała nic więcej, ale stwierdziła jaki ten zakład jest „odpowiedzialny” i też zażądała szampana. Baron, piniąc się, kazał sprowadzić pannę Noemi, która oświadczyła: „Tak, to trwa trochę długo, te panie pozują się; nie wydaje się aby gość się decydował.” Wreszcie, wobec obietnic i gróźb barona, panna Noemi odeszła z niezadowoloną miną, upewniając, że nie będą czekali dłużej niż pięć minut. To pięć minut trwało godzinę, poczem Noemi zaprowadziła na palcach pijanego wściekłością pana de Charlus oraz zrozpaczonego Jupiena do uchylonych drzwi, powiadając: „Będziecie świetnie widzieli. Zresztą w tej chwili to nie bardzo interesujące; jest z trzema damami i opowiada im o życiu w pułku.”

Wkońcu, baron mógł coś dojrzyć przez szparę, a także w lustrach. Ale śmiertelny przestrach kazał mu się oprzeć o ścianę. Miał przed sobą Morela, ale jakgdyby pogańskie misterja i czary istniały jeszcze, był to raczej cień Morela, Morel zabalsamowany, nawet nie Morel wskrzeszony jak Łazarz, zjawa Morela, widmo Morela, Morel-upiór wywołany w tym pokoju (gdzie wszędzie ściany i kanapy nosiły godła czarnoksiężskie), stojący o kilka metrów od barona z profilu. Morel stracił — niby po śmierci — wszelką barwę; pośród tych kobiet, z którymi — zdawałoby się — powinienby igrać radośnie, stał błąd, zamrożony w sztucznym bezruchu; chciał wypić kubek szampana, bezsilne ramię próbowało się wyciągnąć i opadało. Miało się wrażenie owej dwuznaczności, która sprawia że jakaś religia głosi nieśmiertelność, ale rozumie pod tem coś, co nie wyklucza nicości. Kobiety oblegały Morela pytaniami: „Widzi pan — mówiła Noemi do barona; rozmawiają z nim o życiu w pułku, to zabawne, nieprawdaż — zaśmiała się — czy pan zadowolony? Spokojny jest, nieprawdaż — dodała tak jakby mówiła o umierającym. Pytania kobiet stawały się natarczywsze, wyzuty z życia Morel nie miał siły odpowiadać. Nie ziscił się cud nawet szeptu z jego ust. P. de Charlus miał tylko chwilę wahania, zrozumiał prawdę; czy to niezręczność Jupiena kiedy poszedł pertraktować, czy siła ekspansji powierzonych sekretów, która sprawia, że się ich nie dochowuje nigdy, czy wrodzona niedyskrecja takich kobiet, czy obawa policji, dość że uprzedzono Morela, iż dwaj panowie zapłacili bardzo słono za to aby go oglądać. Uprzątnięto księcia Gilberta, zmieniając go w trzy kobiety, i umieszczono tam Morela drżącego, sparaliżowanego zdumieniem, tak że o ile p. de Charlus widział go lichy, on, steroryzowany, bez głosu, nie śmiejąc nawet ująć szklanki z obawy by jej nie upuścić, widział dokładnie barona.

Historja zresztą nie skończyła się zbyt dobrze dla księcia Gilberta. Kiedy go wyprawdzono, aby go p. de Charlus nie zobaczył, książę, wściekły za swój zawód, nie wiedząc kto jest jego sprawcą, błagał Morela — wciąż nie chcąc mu zdradzić kim jest — aby następnej nocy przybył na schadzkę do willi wynajętej umyślnie przez księcia. Mimo że nie miał zamiaru w niej pozostać, przybrał ją (manja, obserwowana już swego czasu u pani de Villeparisis) mnóstwem pamiątek rodzinnych, aby się czuć bardziej u siebie. Zatem, na drugi dzień, Morel, odwracając się co chwila, drżąc że go p. de Charlus szpieguje i tropi, wkońcu, nie spotkawszy nikogo podejrzanego, wszedł do willi. Lokaj wprowadził go do salonu, oświadczając że pójdzie uprzedzić pana (książę Gilbert zabronił mu wymawiać tytułu „książę”, aby nie budzić podejrzeń). Ale kiedy Morel znalazł się sam i chciał sprawdzić w lustrze, czy mu się włosy nie zburzyły, miał wrażenie jakiejś halucynacji. Fotografie na kominku, znajome skrzypkowi, bo je widział u pana de Charlus — fotografie księżnej Marji de Guermantes, księżnej de Luxembourg, pani de Villeparisis — przejęły go w pierwszej chwili dreszczem. W tej samej chwili spostrzegł fotografię pana de Charlus, trochę w tyle. Baron zdawał się wpijać w Morela dziwne i uporczywe spojrzenie. Oszalały ze strachu, Morel, ocknąwszy się z pierwszego zdumienia, nie wątpiąc iż to p. de Charlus zwabił go w pułapkę, aby doświadczyć jego wierności, zbiegł po cztery schody, wypadł z willi, puścił się pędem. Kiedy książę Gilbert (który uważał, że przelotnego znajomego trzeba trochę wytrzymać, przyczem zastanawiał się czy to wogóle jest rozsądnie i czy to nie jest niebezpieczny osobnik) wszedł do salonu, nie zastał już nikogo. Daremnie, wraz z lokajem, z obawy rabunku, przetrząsnął z rewolwerem w dłoni niewielki domek, ogród, suteryny; towarzyszy, którego obecności w domu był przecież pewny, znikł. Spotkał go kilka razy następnego tygodnia. Ale za każdym razem Morel, ów niebezpieczny osobnik, zmykał tak, jakby książę był jeszcze niebezpieczniejszy. Utwierdziwszy się w swoich podejrzeniach, Morel nie pozbył się ich nigdy, i nawet w Paryżu widok księcia Gilberta wystarczał aby go spłoszyć. Dzięki czemu, p. de Charlus uniknął zdrady, która go przywozdziała do rozpacz, oraz znalazł pomstę, nigdy nie dowiedziawszy się o niej, ani zwłaszcza jak się spełniła.

Ale już wspomnienie tej anegdoty ustępuje miejsca innym wspomnieniom, bo „samowarek”, podejmując swój kręty bieg, wciąż wysadza lub zabiera podróżnych na stacjach.

W Grattevast wsiadał czasami pan Piotr de Verjus, hrabia de Crécy (nazywano go tylko hrabią de Crécy). Wracał od siostry, która tam mieszkała. Był to szlachcic ubogi, ale nadzwyczaj dystyngowany; poznałem go przez Cambremerów, z którymi był zresztą dość daleko. Skazany był na życie nadzwyczaj skromne, prawie nędzne; czułem iż cygario

lub przekąska są dlań rzeczą tak przyjemną, że przyzwyczałem się, w dniu kiedy nie mogłem widzieć się z Albertyną, zapraszać go do Balbec. Bardzo subtelny, wystawiający się doskonale, całkiem siwy, z uroczeni błękitnymi oczami, mówił od niechcienia, bardzo delikatnie, o komforcie pańskiego życia, które najwidoczniej znał, a także o genealogjach. Kiedy go pytałem, co jest wyryte na jego pierścionku, odpowiedział ze skromnym uśmiechem: „Gałązka wina” i dodał jakby smakując: — Nasz herb to gałązka wina — symboliczna, skoro nazywam się Verjus<sup>4</sup> — z łodygą i zielonym liściem.” Ale sądzę, że doznałby zawodu, gdybym go w Balbec poczęstował tylko sokiem z niedojrzałych winogron. Lubił najlepsze wina, których był pierwszorzędnym znawcą. Toteż, kiedy go zapraszał na obiad do Balbec, hrabia układał menu z wyrafinowaną sztuką, ale jadł trochę za dużo, a zwłaszcza pił, każąc grzać wina którym się to należy, mrozić te które wymagają lodu. Przed obiadem i po obiedzie wymieniał datę lub numer porto lub koniaku których sobie życzył, tak jak byłby cytował datę stworzenia jakiegoś margrabstwa, jemu jednemu znaną z całą ścisłością.

Ponieważ byłem ulubionym klientem Aimégo, uszczęśliwiony był, że wydają te specjalne obiady i krzyczał na garsonów: „Prędko, nakryjcie stół 25”; mówił nawet nie „nakryjcie”, ale „nakryjcie mi”, tak jakby to było dla niego. A że gwara metrdotelów jest nie zupełnie ta sama co język kelnerów, starszych kelnerów, pikolów, w chwili gdy prosił o rachunek, Aimé mówił garsonowi, który nas obsługiwał, z kilkakrotnie powtarzanym łagodzącym gestem, tak jakby chciał uspokoić konia gotowego ponieść. „Nie za ostro (z rachunkiem); łagodnie, łagodnie.” Potem, kiedy garson odchodził opatrzone tem *memento*, Aimé, bojąc się czy zalecenia będą dość ściśle wykonane, odwoływał go: „Czekaj, ja sam policzę.” A, kiedy mówiłem że to nic nie szkodzi, odpowiadał: „Mam za zasadę, że — jak się to mówi pospolicie — nie powinno się obdzierać gościa ze skóry.” Co się tyczy dyrektora, ze względu na skromny, zawsze jednaki i dość zużyty strój mojego gościa (a przecie nikt nie umiałby się ubrać tak wytwornie, niczem balzakowski elegant, gdyby miał środki), ograniczał się przez szacunek dla mnie do tego, aby zdaleka doglądać czy wszystko jest w porządku i spojrzeniem kazać podstemplować nogę stołu który się kiwał. Nie znaczy to, aby dyrektor nie umiał zakasać rękawów, mimo iż krył się z tem, że zaczął od zawodu pomywacza. Trzeba było jednak wyjątkowej okoliczności na to, aby pewnego dnia sam pokrajał indyki. Nie było mnie wówczas w hotelu, ale dowiedziałem się, że dokonał tego z kapłańskim majestatem, otoczony — w pełnej szacunku odległości od kredensu — kręgiem garsonów, którzy pragnęli przez to nietyle się nauczyć, ile pokazać się zwierzchnikowi, z twarzą obleczoną w wyraz błęgiego zachwytu. Zresztą dyrektor (zatapiający powolnym gestem nóż w łonie ofiar i nie odrywający już oczu od swojej wzniosłej czynności, tak jakby miał z niej czytać jaką wróżbę) nie widział ich zgola. Ofiarnik nie spostrzegł nawet mojej nieobecności. Kiedy się o niej dowiedział, bolał nad tem. „Jakto! nie widział pan, jak sam krajałem indyki?” Odpowiedziałem, że nie mogąc dotąd zobaczyć Rzymu, Wenecji, Sienny, Prado, galerji drezdeńskiej, Indyj, Sary Bernhardt w *Fedrze*, znam rezygnację i że mogę dołączyć jego indyki do tej listy. Porównanie ze sztuką dramatyczną (Sara w *Fedrze*) było jedynem, które zdawał się rozumieć, bo wiedział przezemnie, że w dniu galowych przedstawień sam wielki Coquelin przyjmuje „ogony”, nawet rolę w której ma do powiedzenia jedno słowo lub nic. „Wszystko jedno — rzekł — przykro mi za pana. Kiedyż będę krajał znowu! Trzebaby na to wielkiego wydarzenia, trzebaby wojny”. (W istocie, trzeba było zawieszenia broni). Od tego dnia, kalendarz uległ zmianie, liczono tak: „To było nazajutrz po dniu, kiedy sam krajałem indyka.” „Słusznie, to było w tydzień po tem jak dyrektor sam krajał indyka.” Toteż operacja ta dała, jak Narodzenie Chrystusa lub Hegir, punkt wyjścia kalendarzowi różnemu od innych, mimo iż nie zdołał się tak rozpowszechnić i utrwalić.

Smutek życia pana de Crécy płynął porówni stąd, że już nie miał koni ani smacznego stołu, jak stąd że sąsiaduje z ludźmi, zdolnymi myśleć iż Cambremer i Guermantes to jedno i to samo. Kiedy ujrzał, że wiem, iż Legrandin, który kazał się teraz nazywać Legrand de Méséglise, nie ma do tego żadnego prawa, p. de Crécy; podniecony zresztą winem, wpadł w istny szal radości. Siostra jego mówiła mi porozumiewawczo: „Brat jest zawsze taki szczęśliwy kiedy może porozmawiać z panem.” W istocie, czuł że żyje, od

<sup>4</sup>Verjus — sok z niedojrzałych winogron. [przypis redakcyjny]

czasu jak znalazł kogoś świadomego mierności Cambremerów a wielkości Guermantów, kogoś dla kogo istniał wszechświat socjalny. Tak po pożarze wszystkich bibliotek kuli ziemskiej i po wyłonieniu się rasy całkowicie ciemnej, jakiś stary latynista odzyskałby ducha i wiarę w życie, słysząc jak ktoś cytuje wiersz Horacego. Toteż, jeżeli p. de Crécy nigdy nie wysiadł z wagonu, nie powiedziawszy mi: „Kiedyż nasze miłe posiedzonko?“, wyrażało się w tem porówni łakomstwo pieczeniara co smakoszostwo erudyty; ucza w Balbec stanowiła dlań zarazem sposobność gwarzenia o rzeczach które mu były drogie a o których nie mógł mówić z nikim; coś w rodzaju owych obiadów, gdzie w oznaczone dni spotyka się Towarzystwo bibliofilów przy specjalnie smakowitym stole *Cercle de l'Union*.

P. de Crécy był bardzo skromny w tem co tyczyło jego rodziny; nie od niego dowiedziałem się, że była bardzo stara — autentyczna francuska gałąź angielskiego rodu, noszącego tytuł *de Crécy*. Kiedy się dowiedziałem, że on jest prawdziwy Crécy, opowiedziałem mu, że siostrzenica pani de Guermantes zaślubiła Amerykanina nazwiskiem Karol Crécy, wyrażając przypuszczenie, że to niema z nim żadnego związku. „Żadnego — odparł. Tak samo — mimo iż zresztą rodzina moja nie jest równie świetna — jak wielu Amerykanów, którzy nazywają się Montgomery, Berry, Chaudos albo Capel, nie ma żadnego związku z rodzinami Pembroke, Buckingham, Essex lub z księciem de Berry.” Kilka razy chciałem mu powiedzieć, dla zabawienia go, że znam panią Swann, która, jako kokotka, znana była niegdyś pod nazwiskiem Odety de Crécy; ale, mimo iż książę d'Alençon nie mógłby się urazić, gdyby się mu wspomniało o kokotce d'Alençon, nie czułem się dość blisko z panem de Crécy, aby sobie pozwolić na takie żarty. „On jest z bardzo wielkiej rodziny — powiedział mi raz p. de Montsurvent. Jego rodowe miano jest Saylor.” I dodał, że na jego starym kasztelu nad Incarville (zresztą prawie niemieszkalnym, bo p. de Crécy, mimo że z domu bardzo bogaty, był dziś zanadto zrujnowany aby móc odnowić ów zamek), widniało jeszcze stare zawołanie jego rodziny. Godło to wydało mi się bardzo piękne, czy w zastosowaniu do drapieżnej rasy usadowionej w tem gnieździe, skąd musiała niegdyś zrywać się do lotu, czy też dziś, w zastosowaniu do jej schyłku, do oczekiwania bliskiej śmierci w tem wyniosłym i dzikim odludziu. W tym podwójnym sensie w istocie igra z nazwiskiem Saylor owo zawołanie, które brzmi:

*Ne sçais l'heure* — „nie znam godziny.”

W Hermenonville wsiadał czasami p. de Chevrigny, którego nazwisko (jak nam powiadał Brichot) oznaczało, jak nazwisko arcybiskupa de Cabrieres, miejsce gdzie się gromadzą kozy. Był krewnym Cambremerów; z tej racji ci zapraszali go często do Féterne, ale przez fałszywe poczucie elegancji, tylko wówczas, kiedy nie mieli gości którychby chcieli olśnić. Żyjąc cały rok w Beausoleil, p. de Chevrigny pozostał większym prowincjuszem od nich. Toteż, kiedy mu się zdarzyło spędzić kilka tygodni w Paryżu, nie przepuścił ani dnia w oglądaniu tego „co trzeba widzieć”, tak iż czasem, nieco oszołomiony nadmiarem zbyt szybko trawionych widowisk, kiedy go pytano czy widział jaką sztukę, nie był już tego pewny. Ale ta niepewność zdarzała się rzadko, bo znał sprawy paryskie z precyzją właściwą ludziom, którzy nie często bywają w tem mieście. Radził mi „nowości” godne oglądania („to warto widzieć”), biorąc je zresztą tylko jako spędzenie wieczoru, zgoła nieświadomy punktu widzenia estetycznego, tak iż nie podejrzewał, że mogą one w istocie stanowić czasem „nowość” w historii sztuki. I tak, mówiąc o wszystkim na jednym planie, powiadał:

— Poszliśmy raz do Opéra Comique, ale to nie było nadzwyczajne. Ma tytuł *Pelleas i Melisanda*, wielkie nic. Périer gra zawsze dobrze, ale lepiej go zobaczyć w czem innym. W zamian za to, w Gymnase grają *La Châtelaine*. Byliśmy na tem dwa razy, niech pan nie zapomni tam iść, to warte widzenia; grane przytem wspaniale, Frévalles, Marie Magnier, Baton młodszy.

Cytował nazwiska aktorów, o których nigdy nie słyszałem, nie poprzedzając ich tytułem *Monsieur*, *Madame* lub *Mademoiselle*, jakby to zrobił książę Błażej, który mówił jednakim ceremonialnie wzgardliwym tonem o „piosenkach panny Yvette Guilbert” i o „doświadczeniach pana Charcot.” P. de Chevrigny postępował odwrotnie: mówił Cornaglia i Dehelly, tak jakby mówił Wolter i Montesquieu. Bo u niego, w stosunku do aktorów jak do wszystkiego co paryskie, nad chęcią okazania arystokratycznej wzgardy, górowała gorliwość prowincjusza, żadnego być paryżaninem.

Po pierwszym obiedzie, jaki spożyłem w la Raspelière z tymi których nazywano jeszcze w Féterne „młodem państwem”, mimo że państwo de Cambremer byli wcale nie pierwszej młodości, stara margrabina napisała do mnie jeden z owych listów, których styl poznaje się wśród tysiąca. Pisała: „Niech pan przywiezie swoją kuzynkę — rozkoszną — uroczą — miłą. To będzie dla nas prawdziwe szczęście — przyjemność!” chybiając zawsze tak nieomylnie progresji oczekiwanej przez adresata, że zmieniłem w końcu zdanie o charakterze tych *diminuendo*, dochodząc do wniosku, że są rozmyślnie i znalazłem w nich nawet tę samą rozpustę smaku — przeniesioną w zakres towarzyski — jaka popychała Sainte Beuve’a do łamania wszystkich powinowactw słowa, do zmieniania wszelkiego bodaj trochę utartego zwrotu. Dwie metody, przekazane z pewnością przez dwóch różnych mistrzów, zderzały się w tym stylu epistolarnym; druga z nich kazała okupywać pani de Cambremer banalność licznych przymiotników użyciem ich w gamie zstępującej, przyczem unikała zakończenia zdania doskonałym akordem. W zamian za to, byłem skłonny widzieć w tych odwrotnych stopniowaniach już nie wyrafinowanie, jak wówczas kiedy były dziełem starej margrabiny, ale niezręczność — ilekroć się niemi posługiwał jej syn lub jej kuzynki. Bo w całej rodzinie, nawet dalszej, kult i naśladownictwo ciotki Zelji utrzymywało we czci regułę trzech przymiotników, tak samo jak pewną entuzjastyczną manierę chwywania oddechu. Naśladownictwo to przeszło w krew; kiedy w rodzinie od dzieciństwa dziewczynka przerywała sobie aby przełknąć ślinę, powiadano: „Ma coś z ciotki Zelji”; przeczuwano, że wargi jej dość wcześnie będą skłonne ocienić się lekkim wąsikiem i obiecywano sobie pielęgnować jej talenty muzyczne.

Stosunki Cambremerów z panią Verdurin stały się niebawem o wiele gorsze niż ze mną, a to z wielu przyczyn. Chcieli ją zaprosić. Młoda margrabina mówiła do mnie wzgardliwie: „Nie widzę, czemu nie mielibyśmy zaprosić tej osoby; na wsi widuje się byle kogo, to nie pociąga następstw.” Ale w gruncie rzeczy dość tem przejęci, nie przestawali się mnie radzić co do sposobu w jaki należało im zrealizować swoje intencje. Pomyślałem, że skoro zaprosili na obiad Albertynę i mnie wraz z przyjaciółmi Roberta de Saint-Loup, eleganckimi ludźmi z sąsiedztwa, właścicielami zamku w Gourville (trochę więcej niż „śmietanka” normandzka, której pani Verdurin, mimo iż tego nie okazując, była łasa), poradziłem Cambremerom, aby doprosili na to wszystko „pryncypałkę”. Ale państwo z Féterne, z obawy (tacy byli nieśmiali) urażenia swoich szlachetnych przyjaciół, lub (tacy byli naiwni) z obawy że państwo Verdurin mogą się znudzić z ludźmi nie należącymi do intelektualistów, a może wreszcie (ile że sami nasiąkli rutyną, której doświadczenie nie zapłodniło) z obawy pomieszenia rodzajów i popełnienia „gaffy”, oświadczyli, że to się nie klei razem, że toby nie „klapowało”, i że lepiej będzie zachować panią Verdurin (wraz z całą jej gromadką) na inny obiad. Na najbliższy — ten wykwintny, z przyjaciółmi Roberta — zaprosi się z „paczki” jedynie Morela, aby p. de Charlus dowiedział się pośrednio o świetności ich zebrań, a także aby muzyk przyczynił się do zabawienia gości, bo poproszą go żeby wziął z sobą skrzypce. Doproszono do niego Cottarda, bo p. de Cambremer orzekł, że profesor ma humor i że „dobrze robi” na obiedzie; a przy tem nieźle jest być w stosunkach z lekarzem, na wypadek choroby w domu. Ale zaproszono profesora samego, aby „nie zaczynać z żoną”. Pani Verdurin była oburzona, kiedy się dowiedziała, że dwóch członków „paczki” zaproszono bez niej na obiad w Féterne w „małym kółku”. Podyktowała doktorowi, którego pierwszym odruchem było przyjąć, dumną odpowiedź, w której pisała: „*Jesteśmy* dziś na obiedzie u pani Verdurin”: liczba mnoga, która miała być lekcją dla Cambremerów i miała im pokazać, że nie da się rozłączyć doktora z panią Cottard. Co do Morela, pani Verdurin nie potrzebowała mu wytyczać linii impertynencji, którą obrał samorzutnie. Oto czemu. O ile Morel, w tem co tyczyło własnych przyjemności, zachowywał w stosunku do pana de Charlus niezależność, która martwiła barona, widzieliśmy, iż wpływ barona bardziej dawał się uczuć w innych dziedzinach; tak np. p. de Charlus rozszerzył wiadomości muzyczne i uszlachetnił styl wirtuoza. Ale był to jeszcze — przynajmniej w tym momencie naszego opowiadania — jedynie wpływ. W zamian za to był teren, na którym każde słowo pana de Charlus spotykało się ze ślepą wiarą i posłuszeństwem Morela. Wiarą ślepą i szaloną, bo nie tylko nauki pana de Charlus były fałszywe, ale, gdyby nawet miały wartość z punktu widzenia wielkiego pana, stawały się komiczne stosowane dosłownie przez Morela. Gruntem, na którym Morel stawał się tak łatwowierny i powolny swemu mistrzowi, był teren światowy. Skrzypek, który przed

poznaniem pana de Charlus nie miał najmniejszego pojęcia o „świecie”, wziął dosłownie wyniosły i ogólnikowy szkic, jaki mu w tej mierze nakreślił baron.

— Jest pewna liczba znakomitych rodzin — powiedział p. de Charlus; — przede wszystkim Guermantowie, czternaście razy spokrewnieni z królewskim domem Francji, co jest pochlebne zwłaszcza dla domu Francji, boć przecie Aldonsowi de Guermantes, a nie Ludwikowi Otyłemu, jego przyrodniemu ale młodszemu bratu, powinien być przypaść tron Francji. Za Ludwika XIV nosiliśmy się czarno po śmierci królewskiego brata, jako mający wspólną babkę z królem. O wiele poniżej Guermantów można wszelako wymienić takich La Tremoille, pochodzących od królów Neapolu i od hrabiów de Poitiers; takich d’Uzès, niezbyt dawnych jako ród, ale najstarszych parów; takich Luynes, całkiem świeżych, ale błyszczących aliansami, wreszcie Choiseul, Harcourt, La Rochefoucauld. Dodaj jeszcze nazwisko Noailles — mimo hrabiego Tuluzy<sup>5</sup>; — dodaj Montesquiou, Castellane i — o ile czego nie zapomniałem — to już koniec. Co do wszystkich tych ichmość panów, czy się nazywają margrabiowie de Cambremerde czy Mamcięgdzieś, nie ma żadnej różnicy między nimi a ostatnim pucybutem z twojego pułku. Czy pójdziesz zrobić pipi u hrabiny Kaka czy kaka u baronowej Pipi, to na jedno wychodzi; skompromitujesz swoją reputację i weźmiesz zafajdaną ścierkę za papier klozetowy. Co jest nieapetyczne.

Morel przyjął z pietyzmem tę lekcję historii, może trochę sumaryczną; widział świat tak, jakby sam był Guermantem; łaknął sposobności spotkania się z fałszywymi La Tour d’Auvergne, aby wzgardliwym podaniem ręki dać im uczuć, że ich nie bierze zbyt serjo. Co do Cambremerów, właśnie miał sposobność pokazać im, że nie są „niczem więcej niż ostatni pucybut z jego pułku”. Nie odpowiedział na ich zaproszenie i w sam dzień obiadu wymówił się w ostatniej godzinie depeszą, zachwycony, że postąpił jak księżę krwi.

Dodajmy, że nie podobna sobie wyobrazić, do jakiego stopnia wogóle p. de Charlus mógł być nieznośny, spryka, a nawet — on, taki subtelny — głupi we wszystkich okazjach, w których wchodziły w grę wady jego charakteru. Można w istocie powiedzieć, że takie wady są rodzajem okresowego obłądzenia. Któż nie stwierdził tego faktu u kobiet, a nawet u mężczyzn obdarzonych wybitną inteligencją ale z neuropatycznym obciążeniem? Kiedy są szczęśliwi, spokojni, radzi z otoczenia, wówczas przychodzą do głosu ich cenne dary, rzekłbyś sama prawda przemawia przez ich usta. Lada migrena, lada uraz miłości własnej wystarcza, aby to wszystko zmienić. Świetna inteligencja kurczy się konwulsyjnie i nagle, odbijając już tylko jakieś inne *ja* — przeczulone, podejrzliwe, mizdrzące się, czyniące wszystko aby się przedstawić z najgorszej strony.

Cambremerowie obrazili się bardzo; równocześnie zaś inne wydarzenia sprowadziły pewne napięcie ich stosunków z „paczką”. Pewnego razu, wracaliśmy — Cottardowie, Charlus, Brichot, Morel i ja — z obiadu w la Raspelière; Cambremerowie, którzy mieli śniadanie u przyjaciół w Harambouville, jechali część drogi z nami. „Pan tak kocha Balzaka i tak umie go pan rozpoznawać we współczesnym społeczeństwie — rzekłem do pana de Charlus — iż musi pan mieć wrażenie, że ci Cambremer wyrwali się ze *Scen z życia prowincji*.” Ale p. de Charlus, absolutnie tak jakby był ich przyjacielem i jakby go uraziła moja uwaga, przerwał:

— Mówi pan to dlatego, że żona jest inteligentniejsza od męża — rzekł sucho.

— Och! nie chciałem powiedzieć, aby to była *Muza z zaścianka*, ani pani de Bargeton<sup>6</sup>, mimo że...

P. de Charlus przerwał znowu:

— Powiedz pan raczej: pani de Mortsauf<sup>7</sup>.

Pociąg zatrzymał się, Brichot wysiadł.

— Próżno dawaliśmy znaki, pan jest straszny.

— Jakto?

— Ech, czy pan nie widzi, że Brichot jest śmiertelnie zakochany w pani de Cambremer?

<sup>5</sup>Hrabia Tuluzy — nieprawy syn Ludwika XIV i pani de Montespan. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup>Pani de Bargeton — bohaterka *Straconych złudzeń*. [przypis tłumacza]

<sup>7</sup>pani de Mortsauf — idealna bohaterka *Lilji w dolinie* Balzaka. [przypis tłumacza]

Ujrzałem z zachowania się Cottardów i Morela, że to nie budzi cienia wątpliwości w „paczce”. Sądziłem, że to jakaś złośliwość z ich strony.

— No, czy pan nie zauważył, jaki on był zmieszany, kiedy pan mówił o niej? — podjął p. de Charlus, który lubił okazywać, że zjadł zęby na kobietach, mówiąc o uczuciach, jakie one budzą, z całą naturalnością, tak jakby to był właśnie jego zwyczajny stan duszy. Ale pewien dwuznacznie patryjarchalny ton ze wszystkimi młodymi ludźmi — mimo jego wyłącznej miłości do Morela przeczył tym aforyzmom godnym starego kobieciarza.

— Och! te dzieci — mówił baron krzykliwe, mizdrząc się; — trzeba ich wszystkiego uczyć; niewinne to jak nowonarodzone niemowlę, nie umieją nawet poznać, kiedy ktoś jest zakochany w kobiecie. W pańskim wieku, byłem większy cwaniak — dodał baron, bo lubił używać wyrażeń ze świata apaszowskiego, może przez upodobanie, może dlatego aby unikaniem ich nie stwarzać wrażenia że obraca się w świecie gdzie wyrażenia te stanowią potoczny słownik.

W kilka dni później, trzeba mi było poddać się oczywistości i uznać, że Brichot kocha się w margrabinie. Na nieszczęście, był u niej kilka razy na śniadaniu. Pani Verdurin uznała, że czas położyć temu koniec. Poza pożytkiem takich interwencji z punktu widzenia polityki „paczki”, pani Verdurin nabierała coraz to żywszego upodobania w tego rodzaju wyjaśnieniach oraz dramatach będących ich następstwem; upodobanie, które zarówno w świecie arystokratycznym jak w burżuazji rodzi się z próżniactwa. Był to dzień wielkich emocyj w la Raspeliere, kiedy ujrano, jak pani Verdurin znika na godzinę z Brichotem; rychło dowiedziano się, że mu powiedziała, iż pani de Cambremer kpi sobie z niego, że jest pośmiewiskiem jej salonu, że hańbi swoją starość, kompromituje sytuację naukową. Pani Verdurin posunęła się do tego, że mówiła mu we wzruszających słowach o praczce z którą Brichot żył w Paryżu i o ich córeczce. Zwyciężyła; Brichot przestał bywać w Féterne, ale odczuł to tak, iż przez dwa dni sądzono że całkiem straci wzrok; w każdym razie choroba posunęła się i to pogorszenie już zostało.

Tymczasem Cambremerowie, wściekli na Morela, zaprosili raz — i to umyślnie — pana de Charlus ale bez skrzyпка. Nie otrzymując odpowiedzi od barona, bali się, że popełnili gaffę; znajdując, że uraza jest złym doradcą, napisali nieco późno do Morela. Upokorzenie to spowodowało uśmiech pana de Charlus, ukazując mu jego władzę.

— Odpowiesz za nas dwóch, że przyjmuję — rzekł baron do Morela. Kiedy nadszedł dzień obiadu, czekali goście w wielkim salonie w Féterne. Cambremerowie dawali w rzeczywistości obiad dla arcy-śmietanki, jaką byli państwo Féré. Ale tak się bali dezaprobaty pana de Charlus, że mimo iż poznali państwa Féré przez pana de Chevregny, pani de Cambremer dostała niemal gorączki, kiedy w dniu obiadu ujrzała iż także p. de Chevregny przybył z wizytą do Féterne. Użyto wszystkich pozorów, aby go wyprawić możliwie najszybciej, ale nie dość szybko aby się nie minął w dziedzińcu z państwem Féré, którzy byli równie oburzeni wypędzeniem pana de Chevregny jak on sam był niem zawstydzony. Ale Cambremerowie chcieli za wszelką cenę oszczędzić panu de Charlus widoku pana de Chevregny; uważali go za prowincjusza z powodu drobnych odcieni, na które nie zważa się w rodzinie, ale które nabierają wagi wobec obcych — jedyńskich, którzy by ich właśnie nie spostrzegli. Ale nie jest miło pokazywać krewnych, którzy zostali tem, czem my zdołaliśmy przestać być.

Co się tyczy państwa Féré, byli oni w najwyższym stopniu tem, co się zwie „bardzo dobrze”. W oczach tych co ich określali w ten sposób, z pewnością Guermantowie, Rohanowie i wielu innych byli również „bardzo dobrze”, ale ich nazwisko mówiło samo za siebie. Nie wszyscy znali wysokie urodzenie matki pana Féré, oraz bardzo zamknięte kółko w jakim państwo Féré bywali; toteż, kiedy przyszło ich wymieniać, dodawano zawsze dla objaśnienia, że oni są „nie można lepiej”. Czy pospolite nazwisko narzucało im wyniosłą wstrzeźliwość? Bądź co bądź, faktem jest, że państwo Féré nie bywali u ludzi, u których bywaliby księstwo La Tremoille. Trzeba było sytuacji nadmorskiej królowej, jaką stara margrabina de Cambremer miała w okolicach la Manche, aby państwo Féré zjawili się u niej na podwieczorku raz do roku. Zaproszono ich na obiad i bardzo liczono na efekt, jaki wywrze na nich p. de Charlus. Oznajmiono dyskretnie, że jest na liście gości. Przypadkowo, pani Féré nie знаła barona. Pani de Cambremer odczuła z tego powodu żywe zadowolenie; na twarzy jej błędził uśmiech chemika, który ma zetknąć ze sobą pierwszy raz dwa nadzwyczaj ważne ciała.

Drzwi się otworzyły i pani de Cambremer omal nie zemdlą, widząc że Morel wchodzi sam. Niby sekretarz osobisty mający usprawiedliwić swego ministra, niby morgantyczna małżonka wyrażająca żal że monarcha jest cierpiący (tak czyniła pani de Clinchamp imieniem księcia d'Aumale), Morel oświadczył lekko: „Baron nie będzie mógł się zjawić. Jest trochę niedysponowany, przynajmniej tak sędzę, bo nie widziałem go jakoś w tym tygodniu” — dodał, tem bardziej przywołując ostatnimi słowami do rozpaczy panią de Cambremer, która mówiła państwu Féré, że Morel widuje barona o wszelkiej porze. Cambremerowie udali, że nieobecność barona jest dla zebrania jednym urokiem więcej i kiedy Morel nie mógł słyszeć, powiadali gościom:

— Obejdziemy się bez niego, zabawa jedynie zyska na tem.

Ale byli wściekli, podejrzewali intrygę pani Verdurin i kiedy ta znów zaprosiła ich do la Raspelière, p. de Cambremer, nie mogąc się oprzeć przyjemności oglądania swego domu i znalezienia się w małej paczce, przybył, ale sam, powiadając że margrabina jest w rozpaczy, ale lekarz zabronił jej opuszczać pokoju. Cambremerowie sądzili, że tą połowiczną wizytą dadzą lekcję panu de Charlus, a zarazem pokażą Verdurinom; iż są wobec nich zobowiązani do grzeczności jedynie w pewnej mierze, tak jak księżniczki krwi odprowadzały niegdyś diuszessy, ale tylko do połowy drugiego pokoju.

Po kilku tygodniach, stosunki stanowczo się popsły. P. de Cambremer komentował to przedemną.

— Powiem panu, że z panem de Charlus to było trudno. On jest straszliwy dreyfusista.

— Ależ nie!

— Owszem... W każdym razie, jego kuzyn, książę Gilbert, jest za Dreyfusem, dosyć sobie na nich strzępiono języki z tego powodu. Mam krewnych bardzo drażliwych na tym punkcie. Nie mogę utrzymywać stosunków z tymi ludźmi, poróżniłbym się z całą rodziną.

— Skoro książę Gilbert jest dreyfusistą — rzekła pani de Cambremer — dobrze się składa, że Saint-Loup (który, jak mówią, żeni się z jego siostrzenicą) jest nim również. To może nawet jest racja tego małżeństwa.

— Och, moja droga, nie mów że Saint-Loup, którego bardzo kochamy, jest dreyfusistą. Nie powinno się lekkomyślnie opowiadać takich rzeczy — rzekł p. de Cambremer. Ładnie byś go urządziła w armji.

— Był, ale już nie jest — rzekłem do pana de Cambremer. Co się tyczy jego małżeństwa z panną de Guermantes-Brassac, czy to prawda?

— Wszyscy tak mówią, ale pan chyba lepiej może wiedzieć.

— Ale powtarzam panu, sam mi powiedział, że jest za Dreyfusem — rzekła pani de Cambremer. To zresztą bardzo zrozumiałe, Guermantowie są nawpół Niemcy.

— Co się tyczy Guermantów z ulicy Varenne, możesz powiedzieć, że są cali Niemcy — rzekł Cancan. Ale Saint-Loup to inna para butów; mimo że ma całą rodzinę niemiecką, ojciec jego ceniał nad wszystko inne swój tytuł francuskiego magnata, wrócił do służby w r. 1871 i zginął na wojnie bardzo piękną śmiercią. Mimo że jestem na tym punkcie bardzo drażliwy, nie trzeba przesadzać ani w jednym ani w drugim kierunku. *In medio... virtus*, och, nie pamiętam już dobrze. To coś, co mówi doktor Cottard. Ten zawsze znajdzie właściwe słówko. Musi być tutaj mały Larousse.

Aby uniknąć wypowiedzenia się w sprawie łacińskiego cytatu i aby porzucić temat Roberta de Saint-Loup, w którym mąż wyraźnie uważał, że żona zgrzeszyła brakiem taktu, pani de Cambremer przeszła na „pryncypałkę”, z którą zerwanie było jeszcze pilniejsze do wyjaśnienia.

— Wynajęliśmy chętnie la Raspelière pani Verdurin — rzekła margrabina. Tylko że ona wyobraziła sobie widocznie, iż wraz z domem i wszystkim co potrafiła zagarnąć — użytkowanie łąk, stare makaty, wszystko czego wcale nie było w kontrakcie nabyła co więcej prawo do stosunków z nami. Otóż to są rzeczy absolutnie różne. Nasza wina w tem, żeśmy nie załatwili rzeczy poprostu przez pośrednika lub przez agencję. W Féterne to nie ma znaczenia, ale stąd widzę, jaką minę zrobiłaby ciotka de Ch'nouville, gdyby ujrziała tryndającą się na mój żurek mamę Verdurin z rozwianym włosiem. Co do pana de Charlus, oczywiście on zna osoby *bardzo dobre*, ale zna także osoby *bardzo złe*.

Poprosiłem o wyjaśnienia. Nagłona pytaniami, pani de Cambremer powiedziała wkońcu:



— Twierdzą, że on utrzymuje jakiegoś pana Moreau, Morille, Morue, sama nie wiem. Oczywiście to nie ma żadnego związku ze skrzypkami Morelem — dodała rumieniąc się. — Kiedyś uczyła, że pani Verdurin, dlatego że jest nad morzem naszą lokatorką, wyobraża sobie, że miałyby prawo bywać u mnie w Paryżu, zrozumiałam, że trzeba to przeciąć.

Mimo tego zerwania z pryncypałą, Cambremerowie nie byli źle z „wiernymi” i wsiadali chętnie do naszego wagonu, kiedy się znaleźli w kolejce. Kiedy się dojeżdżało do Douville, Albertyna, wyjmując ostatni raz lusterko, uważała czasem za właściwe zmienić rękawiczki lub zdjęć na chwilę kapelusz i szyldkretowym grzebieniem (prezent ode mnie), tkwiącym we włosach, poprawiała loki, podnosiła węzeł i o ile było trzeba, zwijszała kok nad ondulacją, która spływała kształtnymi falami na kark. Wsiadłszy do powozów, które na nas czekały, nie wiedziało się już gdzie się jest; drogi nie były oświetlone; głośniejszy turkot kół świadczył że się przejeżdża przez wieś, myślał człowiek że już przybywa na miejsce, znów wjeżdżał w szczerze pole, słyszał dalekie dzwony, zapominał że jest w smokingu i zasypiał niemal, kiedy, na końcu tego długiego marginesu ciemności, który, mocą przebieżonego dystansu i zdarzeń charakterystycznych dla jazdy koleją, zdawał się nas nieść aż w daleko posuniętą godzinę nocy i prawie na pół drogi z powrotem do Paryża, naraz, gdy drobniejszy piasek pod kołami powozu zaznaczył fakt wjechania do parku, wybuchy — wprowadzając nas znowuż w życie światowe — błyszczące światła salonu, potem jadalni, gdzie uczuwalimy jakgdyby wstrząs, słysząc że bije ta ósma którą myśleliśmy żeśmy dawno zostawili za sobą, podczas gdy liczne dania i wykwintne wina oczekiwały wyfraczonych panów i lekko wygorsowane damy, w czasie obiadu skapanego w świetle niby prawdziwy obiad w mieście; obiadu, który otaczała — jedynie zmieniając przez to jego charakter ciemna i osobliwa podwójna szarfa, którą utkały nocne, sielskie i morskie godziny przybycia i powrotu, odarte przez ten światowy użytek z pierwotnego dostojęstwa. Ten powrót zmuszał nas w istocie do opuszczenia błyszczącej i rychło zapomnianej jasności salonu, aby zająć miejsce w powozie, gdzie urządziłem się tak, aby się znaleźć z Albertyną, aby Albertyna nie mogła być z innymi bezemnie, a często z innej jeszcze przyczyny, a mianowicie, iż mogliśmy na wiele sobie pozwalać w ciemnym powozie, którego wstrząsy tłumaczyły nas zresztą w razie gdyby nagły promień światła zdradził że jesteśmy spleceni z sobą.

Kiedy p. de Cambremer nie był jeszcze źle z Verdurinami, pytał mnie:

— Nie sądzi pan, że przy tej mgle będzie pan miał napad astmy? Siostra miała dziś rano straszliwą duszność. A! pan także — dodał z zadowoleniem. Powiem to jej dziś jeszcze. Wiem, że za powrotem zaraz się będzie dowiadywała, czy pan dawno już nie miał astmy.

Mówił zresztą o mojej astmie wyłącznie po to, aby dojść do astmy siostry; kazał mi opisywać właściwości mojej astmy jedynie po to, aby lepiej zaznaczyć różnice, zachodzące między jedną a drugą. Ale, mimo tych różnic, ponieważ astma siostry zdawała mu się miarodajna, nie mógł uwierzyć, aby to co pomagało jej nie było wskazane dla mnie, i irytował się, że ja tego nie próbuję. Bo jeszcze trudniejszą rzeczą niż nagiąć się do jakiejś kuracji, jest nie narzucać jej drugim.

— Zresztą co ja mówię, ja profan, kiedy pan tu jest przed areopagiem, u źródła. Co myśli o tem profesor Cottard?

Odwiedziłem zresztą panią de Cambremer innym razem, ponieważ powiedziała komuś, że moja kuzynka ma szczególnie „genre”, chciałem się tedy dowiedzieć, co ona pod tem rozumie. Zapała się, ale w końcu przyznała, że mówiła o innej osobie, którą (tak się jej zdawało) spotkała z moją kuzynką. Nie знаła jej nazwiska; powiedziała w końcu, że, jeśli się nie myli, to jest żona bankiera, że się nazywa Lina, Lineta, Lizeta, Lia, słowem coś w tym rodzaju. Miałem wrażenie, że „żonę bankiera” dodała jedynie dla zmylenia śladu. Chciałem spytać Albertyny, czy to prawda. Ale wolałem raczej wyglądać na takiego co wie, niż na takiego co się pyta. Zresztą Albertyna nie byłaby mi odpowiedziała nic, albo wyrzekłaby owo „nie”, w którym „n” byłoby zbyt wahające a „ie” zbyt tryumfalne. Albertyna nie opowiadała nigdy faktów mogących ją „wsypać”, ale inne, dające się wytłumaczyć jedynie tamtemi; *prawda* bowiem to są nietylko jakieś słowa które słyszymy, ile prąd płynący z tych słów i wyczuwalny mimo swej niewidzialności. I tak, kiedy upewniłem Albertynę, że kobieta, którą znała w Vichy, ma podejrzany *genre*, przysięgała

że nie i że nigdy ta kobieta nie próbowała namówić jej na coś złego. Ale innego dnia, kiedy wspomniałem, że byłbym ciekawy tego rodzaju osób, Albertyna dodała, że owa pani z Vichy ma także przyjaciółkę, której ona, Albertyna, nie zna, ale że owa pani „przysięgła jej, że je z sobą zapozna”. Skoro jej to przysięgła, to znaczy że Albertyna musiała tego pragnąć, albo że pani z Vichy, proponując, wiedziała że jej to zrobi przyjemność. Ale gdybym to zarzucił Albertynie, sprawiłbym wrażenie, że czerpię swoje rewelacje tylko od niej, zahamowałbym je natychmiast, nie dowiedziałbym się już nic, przestałbym być niebezpieczny. Zresztą byliśmy w Balbec, pani z Vichy i jej przyjaciółka mieszkaly w Mentonie; oddalenie, brak niebezpieczeństwa rychło zniweczyły moje podejrzenia.

Często, kiedy pan de Cambremer wołał mnie z peronu, korzystałem właśnie z Albertyną z ciemności, nie bez trudu zresztą, bo Albertyna bronila się trochę, bojąc się że ciemność nie jest dość głęboka.

— Wiesz, jestem pewna, że Cottard nas widział; zresztą nawet nie widząc, słyszał nasz zduszony głos i to właśnie w chwili, gdy była mowa o twojej duszności innego rodzaju — mówiła Albertyna, dojeżdżając na stację w Douville, gdzie siadaliśmy do kolejki wracając. Ale ów powrót — tak samo jak jazda w tamtą stronę — o ile, dając mi wrażenie poezji, budził we mnie żądze podróży, nowego życia i tem samem odwracał mnie od wszelkich projektów małżeństwa z Albertyną a nawet podsuwał mi myśl ostatecznego zerwania naszych stosunków, czynił również — właśnie z przyczyny sprzecznej natury tych stosunków — owo zerwanie czemś łatwiejszem. Bo w czasie powrotu, równie dobrze jak w tamtą stronę, na każdej stacji wsiadali lub witali się z nami na peronie znajomi; nad ulotnemi rozkoszami wyobraźni dominowały te ciągle przyjemności towarzyskie, tak kojące, tak usypiające. Już przed samemi stacjami, nazwy ich (które tyle wzniewały we mnie marzeń od chwili gdy je usłyszał owego pierwszego wieczora kiedym przybył z babką) obłaskawiły się, utraciły swoją osobliwość w dni gdy Brichot, na prośbę Albertyny, wytłumaczył nam dokładnie ich etymologie. Uroczy wydał mi się ów „kwiat” — *fleur* — który kończył niektóre nazwiska, jak Fiquefleur, Honfleur, Flers, Bartfleur, Hartfleur, etc., a zabawny „wół” *boeuf* — znajdujący się w zakończeniu *Bricqueboeuf*. Ale *kwiat* zniknął, a także i *wół*, odkąd Brichot (a powiedział to już pierwszego dnia w pociągu) pouczył nas że *fleur* znaczy port (jak fiord), a *boeuf* — normadzkie *budb* — chatę. Ponieważ profesor zacytował mi kilka przykładów, to co mi się wprzód zdało poszczególnie, uogólniało się; Bricqueboeuf spotykało się z Elboeuf, i nawet w nazwie napozór równie indywidualnej jak miejscowości (np. nazwa Pennedepie), gdzie osobliwości najmniej podobne do racjonalnego wytłumaczenia zdawały się stopione od niepamiętnych czasów w wyraz pospolity, soczysty i stwardniały naksztalt normandzkiego sera, z rozpaczą odnalazłem gallickie *pen*, oznaczające górę i znajdujące się równie dobrze w Pennemarck jak w Apeninach.

Ponieważ za każdym przystankiem czułem, że czekają nas przyjacielskie uściski rąk (o ile nie wizyty), powiadałem do Albertyny:

— Pytaj prędko Brichota o nazwy, które chciałaś wiedzieć. Wspominałaś o Marcouville l’Orgueilleuse.

— Tak, bardzo lubię tę dumę, to jest harde miasteczko.

— Wydałoby się pani — odparł Brichot — jeszcze bardziej harde, gdyby, zamiast się sfrancuzić, lub nawet zlatynizować (w cartularium biskupa z Mayeux znajduje się *Marcouvilla superba*), objawiło się pani pod dawniejszą formą, bliższą normandzkiego *Marculplinvilla superba*, wioska, dziedzina Mareulfa. Prawie we wszystkich tych nazwach, które się kończą na *ville*, mogłaby pani ujrzeć wylaniające się jeszcze na tym wybrzeżu widmo twardych normandzkich najeźdźców. W Harembouville widziała pani przed drzwiczkami wagonu jedynie zacnego doktora, który z pewnością nie ma nic z normandzkiego wodza. Ale zamknąwszy oczy, mogłaby pani ujrzeć znamienitego Herimunda (*Herimundivilla*). Mimo iż nie wiem czemu się chodzi temi drogami ciągniętymi się pomiędzy Loigny a Balbec-Plage, nie zaś bardzo malowniczymi drózkami, które wiodą od Loigny do starego Balbec. Pani Verdurin musiała was tam może obwozić. Wówczas widzieliście Incarville, czyli wioskę Wiskara, i Tourville — przed dojazdem do pani Verdurin — to znaczy wioskę Turola. Zresztą byli to nie tylko Normandowie. Zdaje się, że Niemcy zaszli aż dotąd (Aumenancourt, *Alemanicurtis*) — nie mówmy tego młodemu oficerowi, którego widzę: gotów byłby nie chcieć już odwiedzić swoich kuzynów. Byli i Saksończycy, jak

o tem świadczy źródło Sissonne (jeden z ulubionych spacerów pani Verdurin, i słusznie), równie dobrze jak w Anglii Middlesex, Wessex. Rzecz niewytłumaczona, zdaje się, że Goci, dziady (*gueux*) jak powiadano, przyszli aż tutaj, i nawet Maurowie, bo Mortagne pochodzi od *Mauretania*. Ślad tego pozostał w Gourville — *Gothorunvilla*. Jakiś ślad Latynów istnieje zresztą także, Lagny (*Latiniacum*).

— Ja poproszę o wytłumaczenie Thorpehomme — rzekł p. de Charlus. — Rozumiem *homme* (dodał podczas gdy rzeźbiarz i Cottard wymieniali porozumiewawcze spojrzenie). Ale Thorp?

— *Homme* nie znaczy bynajmniej tego co pan jesteś skłonny przypuszczać, baronie — odparł Brichot, patrząc chytrze na Cottarda i na rzeźbiarza. *Homme* nie ma nic wspólnego z płcią, której nie zawdzięczam matki. *Homme* to jest *Holm*, które oznacza wysepkę, etc... Co do *Thorp*, czyli wieś, odnajdzie się ją w stu słowach, którymi już nudziłem naszego młodego przyjaciela. Toteż w Thorpehomme nie ma imienia wodza normadzkiego, ale są słowa z normadzkiego języka. Widział pan, jak ten cały kraj był zgermanizowany.

— Ja sądzę, że profesor przesadza — rzekł p. de Charlus. — Byłem wczoraj w Orgeville.

— Tym razem zwracam panu *mężczyznę*, którego panu odebrałem w Thorpehomme, baronie. Stwierdzimy bez pedantyzmu, że akt Roberta I mówi nam zamiast Orgeville o *Otgervilla*, dziedzina Otgera. Wszystkie te nazwy, to są imiona dawnych panów. *Octeville la Venelle* powstało z Avenel. Avenelowie byli rodziną znaną w średniowieczu. Bourguenolles, dokąd pani Verdurin zawiozła nas kiedyś, pisało się *Bourg de môles*, bo ta wieś należała w XI wieku do Baldwina de Môles, zarówno jak la Chaise-Baudoin. Ale oto jesteśmy w Doncières.

— Mój Boże, ilu oficerów będzie się pchało do wagonu — rzekł p. de Charlus z udanym przerażeniem. — Mówię to za was; mnie to nie przeszkadza, skoro tu wysiadam.

— Słyszysz pan, doktorze — rzekł Brichot. — Baron się boi, aby mu oficerowie nie przeszli po brzuchu. A przecie oni są w swojej roli, znajdując się tutaj w gromadzie, bo Doncières to jest ściśle Saint-Cyr, Dominus Cyriacus. W wielu nazwach Sanctus i Sancta zastąpione są przez *dominus* i *domina*. Zresztą to spokojne i wojskowe miasteczko ma czasami fałszywe pozory Saint-Cyr, Wersalu, a nawet Fontainebleau.

W czasie tych powrotów (jak i w czasie jazdy w tamtą stronę) mówiłem Albertynie żeby się ubrała, bo wiedziałem, że w Amnancourt, w Doncières, w Êpreville, w Saint-Vast, czekają nas krótkie wizyty. Nie były mi one zresztą niemiłe, np. w Hermenonville (dziedzina Herimunda) wizyta pana de Chevregny, korzystającego z tego że wyszedł po swoich gości, aby mnie zaprosić na jutro na śniadanie do Montsurvent; albo w Doncières nagle wtargnięcie któregoś z uroczych przyjaciół Roberta, przysłanych przez niego (kiedy nie był wolny) aby mi doręczyć zaproszenie kapitana de Borodino, menaży oficerów z pod Cocq-Hardi, lub podoficerów z pod Złotego Bażanta. Saint-Loup zjawiał się często sam; wówczas przez cały czas jego obecności — ale tak że nikt nie mógł tego spostrzec — trzymałem Albertynę na uwięzi mego spojrzenia, daremnie czujnego zresztą. Raz wszakże przerwałem swoją straż. W czasie dłuższego postoju, Bloch, ukłoniwszy się nam, uciekł prawie natychmiast, spiesząc do ojca, który wziął właśnie spadek po wuju i który, wynajawszy zamek zwący się *la Commanderie*, uważał za bardziej pańskie jeździć tylko karetką pocztową z pocztylionami w liberji. Bloch prosił, żebym go odprowadził do powozu. „Ale spiesz się, bo moje bieguny są niecierpliwe; pójdź mężu miły bogom, sprawisz radość memu ojcu.” Ale zbyt ciężko było mi zostawić Albertynę z Robertem; gdybym ich nie miał na oku, mogliby rozmawiać, przejść do innego wagonu, uśmiechać się do siebie, dotykać się; spojrzenie moje, przylepione do Albertyny, nie mogło się od niej oderwać, dopóki Saint-Loup był przy niej. Spostrzegłem łatwo, że Bloch, który mnie prosił żebym się przywitał z jego ojcem, odczuł jako obojętność z mojej strony fakt że mu odmówił, mimo że nie miałem żadnej przeszkody, bo wiadomo było, że pociąg będzie stał jeszcze conajmniej kwadrans i że prawie wszyscy podróżni, bez których nie odjechałby, wysiedli. Bloch był przekonany, że powodem mojej odmowy był snobizm i postępowanie moje w tej sprawie starczyło mu za odpowiedź. Bo wiedział dobrze, z kim jestem w wagonie. W istocie, p. de Charlus (pragnąc się zbliżyć do Blocha) powiedział mi

niewiele przedtem, nie pamiętając, ani się troszcząc o to, że to już zrobił niegdyś: „Niechże mi pan przedstawi swojego przyjaciela; pańskie zachowanie się świadczy o braku szacunku dla mnie”, i rozmawiał z Blochem, który wyraźnie mu się bardzo podobał, do tego stopnia że mu powiedział na rozstanie: „Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.”

— Zatem to nieodwołalne, nie chcesz zrobić tych stu kroków, aby się przywitać z ojcem, któremu by to sprawiło taką przyjemność? — rzekł Bloch.

Byłem w rozpacz: wyglądało na to, że zdradzam koleżeństwo; bardziej jeszcze gnębiła mnie myśl o przyczynie, którą Bloch sobie to tłumaczy, wyobrażając sobie, że ja, będąc w arystokratycznym towarzystwie, zmieniam się dla skromniejszych przyjaciół. Od tego dnia, objawy jego przyjaźni osłabły i co mi było przykrzejsze, zmniejszył się jego szacunek dla mego charakteru. Ale, aby wywieść Blocha z błędu co do mojej pobudki, musiałbym mu wyznać coś — mianowicie że jestem zazdrosny o Albertynę — co by mi było jeszcze bolesniejsze, niż zostawić go w przeświadczeniu o moim snobizmie. Tak oto, teoretycznie, człowiek uważa, że zawsze się powinno stawiać sytuację szczerze, unikać nieporozumień. Ale często życie kombinuje owe nieporozumienia w taki sposób, że, aby je rozprószyć — w rzadkich okolicznościach gdy to jest możliwe — trzeba by wyjawiać coś — tutaj nie było tego wypadku — co bardziej jeszcze uraziłoby przyjaciela niż nasza urojona wina, albo zdradzić sekret, którego wyjście na jaw wydaje się nam jeszcze czemś gorszym niż nieporozumienie. Znajdowałem się właśnie w tem położeniu. Zresztą, nawet nie tłumacząc Blochowi (skorom nie mógł tego uczynić) powodów, dla których go nie odprowadzam, gdybym go prosił aby się nie gniewał, zdwoiłbym jedynie jego urazę, okazując że ją spostrzegam. Nie pozostawało nic, jak tylko skłonić się przed tem fatum, które chciało, aby obecność Albertyny przeszkodziła mi odprowadzić Blocha i aby Bloch myślał, że powodem była świetność towarzystwa, które, choćby było sto razy świetniejsze, miałyby jedynie ten skutek, że byłbym się wyłącznie zajął Blochem i rozwinął dlań całą uprzejmość. Wystarczy w ten sposób, aby przygodnie, idjotycznie, przypadek (tutaj obecność Albertyny i Roberta) wszedł między dwa losy, których linje skłaniały się ku sobie, aby te linje rozeszły się, oddalając się coraz więcej i nie mając się już zbliżyć nigdy. I bywały przyjaźnie piękniejsze niż moja z Blochem, które uległy w ten sposób zniweczeniu, przyczem mimowolny autor nieporozumienia nigdy nie mógł wyjaśnić urażonemu tego, co byłoby prawdopodobnie ukoilo jego miłość własną i odzyskało sympatię.

Przyjaźnie piękniejsze od przyjaźni Blocha to by zresztą nie wiele mówiło. Bloch miał wszystkie wady, które mnie najbardziej raziły. Czułość moja dla Albertyny czyniła je przypadkowo czemś nie do zniesienia. I tak, w tej krótkiej chwili, kiedy, pilnując z pod oka Roberta, rozmawiałem z Blochem, Bloch oznajmił, że był na śniadaniu u pani Bontemps, gdzie wszyscy mówili o mnie z największymi pochwałami aż do „schyłku Heliosa”. Brawo! pomyślałem sobie; ponieważ pani Bontemps uważa Blocha za geniusza, entuzjastyczny sąd, jaki musiał o mnie wyrazić, więcej zaważy niż to co mogli mówić wszyscy inni; to dojdzie do Albertyny. Dziś czy jutro musi się o tem dowiedzieć, dziwi mnie tylko, że już ciotka nie powtórzyła Albertynie iż jestem człowiekiem „niepospolitym”.

— Tak — dodał Bloch — wszyscy piali twoje pochwały. Ja jeden zachowałem milczenie równie głębokie co gdybym w miejsce biesiady, zresztą dość miernej, jaką nas raczone, spożył mak, drogi błogosławionemu bratu Tanathosa i Lety, boskiemu Hypnosowi, który spowija słodkimi więzami ciało i język. Nie iżbym cię podziwiał mniej niż banda drapieżnych sów, z którymi mnie zaproszono. Ale ja cię podziwiam dlatego że cię rozumiem, a oni cię podziwiają nie rozumiejąc. Aby dobrze rzec, ja cię zanadto podziwiam aby mówić o tobie publicznie; wydawałoby mi się profanacją chwalić głośno to, co noszę w najgłębszym zakątku serca. Daremnie pytano mnie o ciebie; święta Wstydlivość, córka Kroniona, kazała mi zostać niemy.

Nie byłem na tyle nietaktowny, aby okazać niezadowolenie, ale ta Wstydlivość wydała mi się spokrewniona — o wiele bardziej niż z Kronionem — ze wstydlivością, która nie pozwala podziwiałemu cię krytykowi mówić o tobie, dlatego że do sekretnej świątyni, gdzie królujesz, wtargnęłaby w ten sposób horda ciemnych czytelników i dziennikarzy; ze wstydlivością ministra, który nie daje ci krzyża Legji, aby cię nie zmieszać z ludźmi, którzy ci do pięt nie dorastają; ze wstydlivością Akademika, który nie głośnie za tobą, aby ci oszczędzić hańby kolegowania z panem X, człowiekiem pozbawionym talentu; z czcigodniejszą wreszcie, a jednak bardziej zbrodniczą wstydlivością owych sy-

nów, którzy nie pozwalają nam pisać o ich ojcu, człowieku pełnym zalet, aby zapewnić mu ciszę i spokój, nie dać aby wskrzeszono życie i tworzono sławę dokoła biednego zmarłego, który rozgłos swego imienia w ustach ludzi wolałby od wieńców, bardzo nabożnie zresztą noszonych na jego grób.

O ile Bloch, zasmuciwszy mnie tem że nie mógł zrozumieć racji, broniącej mi przywitać się z jego ojcem, przywiódł mnie do rozpaczki wyznając że mnie zdyskredytował u pani Bontemps (rozumiałem teraz, czemu Albertyna nigdy nie wspominała o tem śniadaniu i zachowała milczenie, kiedy mówił o przywiązaniu Blocha), ów młody izraelita wzburzył w panu de Charlus uczucia zgoła inne.

Z pewnością Bloch wierzył teraz że ja nietylko nie mogę rozstać się ani na sekundę z ludźmi z wielkiego świata, ale że, zawistny o awanse jakie mogliby mu robić (jak p. de Charlus), staram się mu podstawić nogę i przeszkodzić w nawiązaniu stosunków. Pan de Charlus znowuż żałował, że nie mógł dłużej mówić z moim kolegą. Wedle swego zwyczaju, strzegł się to okazać. Zaczął od tego, że mi zadał od niechcienia parę pytań dotyczących Blocha, ale tak niedbale, z zainteresowaniem niby tak sztucznym, że nie przypuszczałoby się iż może słyszeć odpowiedzi. Zdawkowym tonem wyrażającym obojętne roztargnienie, rzekł jakby przez prostą grzeczność:

— Wygląda inteligentnie; mówił mi że pisze, czy ma talent?

Oświadczyłem baronowi, że bardzo uprzejmie z jego strony było powiedzieć Blochowi, że się go spodziewa spotkać. Żaden ruch nie zdradził aby baron usłyszał moje słowa; że zaś powtórzyłem je cztery razy bez odpowiedzi, zacząłem podejrzewać, czy, słysząc wprzód słowa pana de Charlus, nie byłem igraszką halucynacji.

— Mieszka w Balbec? — zaintonował śpiewnie baron, z miną tak mało pytającą, że trzeba żałować iż język francuski nie posiada innego znaku niż znak zapytania dla zakończenia tego rodzaju frazy. Prawda, że ów znak nie często przydałby się panu de Charlus.

— Nie, wynajęli niedaleko stąd „Komandorję”.

Dowiedziawszy się tego co chciał wiedzieć, p. de Charlus udał że gardzi Blochem.

— Cóż za ohyda! — wykrzyknął przywracając swemu głosowi cały jego dźwięczny wigor. Wszystkie miejscowości lub posiadłości zwane „Komandorjami” były własnością kawalerów zakonu maltańskiego (do którego należę), jak miejsca zwane *Świątynią* lub *Kawalerją* były siedzibą Templariuszów. Gdybym ja mieszkał w Komandorji, nie byłoby nic naturalniejszego. Ale Żyd! Zresztą, nie dziwi mnie to; to się wiąże z ciekawą pasją świętokradztwa, właściwą tej rasie. Z chwilą gdy Żyd ma dosyć pieniędzy aby sobie kupić zamek, zawsze wybiera taki, który się nazywa Przeorstwo, Opactwo, Monastyr, Dom Boży. Miałem interes do pewnego urzędnika Żyda: zgadnij pan, gdzie on urzędował: w Pont-l'Évêque. Popadłszy w niełaskę, postarał się o przeniesienie do Bretanji, do Pont-l'Abbé. Kiedy się daje w Wielkim Tygodniu owe nieprzystojne widowiska zwane Pasją, połowę sali zapełniają Żydzi, nie posiadają się z radości na myśl że jeszcze raz ukrzyżują Chrystusa, bodaj *in effigie*. Na koncercie Lamoureux siedziałem raz obok bogatego bankiera Żyda. Grano *Dzieciństwo Chrystusa* Berlioza, był przybity. Ale odzyskał niebawem właściwy sobie wyraz błogości, słysząc *Czary Wielkiego Piątku*. Pański nieszczęsny przyjaciel mieszka w Komandorji! Co za sadyzm! Pokaże mi pan drogę — dodał, przybierając znów wyraz obojętności — pójdę którego dnia zobaczyć, jak nasze starożytne siedziby znoszą podobną profanację. To wielka szkoda, bo jest grzeczny, wydaje się inteligentny. Brakowałoby tylko tego, żeby mieszkał w Paryżu przy ulicy du Temple!

Robiło to wrażenie, że p. de Charlus mówi to jedynie poto aby znaleźć nowy przykład na poparcie swojej teorii; ale w istocie zadawał mi pytanie obosieczne, którego głównym celem było wywiedzieć się o adres Blocha.

— W istocie — zauważył Brichot — ulica du Temple nazywała się dawniej ulicą *de la Chevalerie du Temple*. I w tym przedmiocie czy pozwoli mi pan zrobić jedną uwagę, baronie? — rzekł Akademik.

— He? Co takiego? — rzekł sucho baron, któremu ta uwaga przeszkodziła w uzyskaniu informacji.

— Nie, nic — odparł Brichot spłoszony. — To *à propos* pewnej etymologii, o którą mnie proszono. Ulica du Temple nazywała się niegdyś ulicą Barre-du-Bac, ponieważ Abbaye du-Bac w Normandji miała w Paryżu swoją *barre de justice*.

P. de Charlus nie odpowiedział i udał że nie słyszy, co było u niego jedną z form impertynencji.

— Gdzie mieszka pański przyjaciel w Paryżu? Ponieważ trzy czwarte ulic bierze swoje nazwy od jakiegoś kościoła lub opactwa, są wszelkie widoki nowego świętokradztwa. Nie można Żydom zakazać mieszkać przy boulevard de la Madeleine, w faubourg Saint-Honoré lub na place Saint-Augustin. Dopóki nie posuwają swojej perfidji do tego aby się starać mieszkać na placu du Parvis Notre-Dame, na quai de l'Archevêché, przy ulicy Kanoniczek, albo de l'Ave-Maria, trzeba uwzględnić trudności jakie mają z wyborem.

Nie mogliśmy objaśnić pana de Charlus, nie znając obecnego adresu Blocha. Ale wiedziałem, że biura jego ojca znajdują się przy ulicy des Blancs-Manteaux.

— Och! cóż za szczyt przewrotności — wykrzyknął p. de Charlus, najwyraźniej znajdując w tym wykrzyku ironicznego oburzenia głęboką satysfakcję. — Blancs-Manteaux! — powtórzył, kładąc nacisk na każdej sylabie i śmiejąc się. — Co za świętokradztwo! Pomyślcie, że te białe płaszcze, splugawione przez pana Bloch, to były płaszcze braci żebrzących, zwanych służkami Najświętszej Panny, których osadził tam święty Ludwik! I ulica zawsze należała do zakonów. Profanacja jest o tyle bardziej djaboliczna, że o dwa kroki od ulicy des Blancs-Manteaux znajduje się ulica której nazwisko mi uciekło i która jest całkowicie wydana Żydom; są tam hebrajskie szyldy, fabryki macy, rzeźnie rytualne, to istna paryska Judengasse. Tam powinienby mieszkać pan Bloch. Oczywiście — dodał tonem dość emfaticznym i wyniosłym, dając zarazem mimowoli, mocą dziedziczości, swojej hardo odrzuconej twarzy minę starego muszkietera Louis XIII — biorę to wyłącznie z artystycznego punktu widzenia. Polityka, to nie mój wydział, i nie mogę potępiać *en bloc* (skoro mówimy o panu Bloch) narodu posiadającego Spinozę wśród swoich znakomitych synów. I zanadto podziwiam Rembrandta, aby nie rozumieć piękności, jakie można zaczerpnąć z synagogi. Ale ostatecznie, ghetto jest tem piękniejsze, im bardziej jednolite i doskonale. Bądź pan pewien zresztą — tak dalece zmysł praktyczny i chciwość mieszają się u tego ludu z sadyzmem — że bliskość ulicy hebrajskiej, o której wspomniałem, wygoda posiadania pod ręką rzeźni Izraela, kazały pańskiemu przyjacielowi wybrać ulicę des Blancs-Manteaux. Jakie to ciekawe! Tam zresztą mieszkał ów dziwny żyd, który kazał gotować hostje, w następstwie czego, jak sądzę, ugotowano jego samego, co jest jeszcze dziwniejsze, skoro to miałoby znaczyć, iż ciało Żyda może być warte tyle co ciało Boże. Może dałoby się ułożyć z pańskim przyjacielem, żeby nam pokazał kościół des Blancs-Manteaux. Pomyśl pan, to tam złożono ciało Ludwika Orleańskiego zamordowanego przez Jana bez Trwogi, który nieszczęściem nie uwolnił nas od Orleanów. Jestem zresztą osobiście bardzo dobrze z moim kuzynem, księciem de Chartres, ale ostatecznie to rasa uzurpatorów, która uśmierciła Ludwika XVI, wyzuła Karola X i Henryka V. Mają to zresztą we krwi, posiadając wśród przodków owego *Monsieur* (którego tak nazywano zapewne dlatego, że był najbardziej zdumiewającą starszą damą), i Regenta i innych. Co za rodzina!

Tę rozprawę antyżydowską czy prohebrajską — wedle tego, czy się weźmie powierzchowny charakter zdań czy intencje w nich ukryte — przecięło, komicznie dla mnie, coś co mi szepnął Morel a co przywiodło do rozpaczony pana de Charlus. Morel który spostrzegł niewątpliwie wrażenie jakie wywarł Bloch, podziękował mi pocichu za to że m go „spławił”, dodając cynicznie:

— Byłby chętnie został tutaj, wszystko to jest zawiść, chciałby mi zabrać moje miejsce. To wygląda na parcha!

— Możliwe skorzystać z tego postoj, który się przeciąga, aby poprosić pańskiego przyjaciela o jakieś rytualne wyjaśnienia. Czy nie mógłby go pan złapać — spytał p. de Charlus z nerwową niepewnością.

— Nie, to niemożliwe, odjechał powozem, zresztą obraził się na mnie.

— Dziękuję, dziękuję — szepnął mi Morel.

— Idjotyczny argument, zawsze można dogonić powóz, nic by panu nie przeszkodziło wziąć auto — odparł p. de Charlus, jak człowiek przyzwyczajony że wszystko się skłania przed jego ochotą. Zauważywszy moje milczenie, rzeki impertynencją z ostatnią nadzieją:

— Cóż to za powóz mniej lub więcej urojony?

— To karetka pocztowa, która już musiała zajechać do Komandorji.

Wobec jawnej niemożliwości, p. de Charlus, zrezygnowany, obrócił rzeczy w żart i dodał: — Trudno w istocie normalnemu człowiekowi dogonić obrzezańca, lżejszy jest.

Wreszcie oznajmiono, że pociąg rusza, zaczem Saint-Loup pożegnał nas. Ale to był jedyny dzień, w którym, wsiadając do naszego wagonu, zadał mi bezwiednie ból, a to wskutek myśli, jaką miałem przez chwilę, aby go zostawić z Albertyną i odprowadzić Blocha. W inne dni, obecność Roberta nie dręczyła mnie. Bo Albertyna, aby mi oszczędzić wszelkiego niepokoju, sama z siebie siadała pod jakimś pozorem tak, że nawet mimowoli nie mogła się otrzeć o Roberta, prawie za daleko aby móc mu bodaj podać rękę; z chwilą gdy Robert był obecny, odwracała oczy i zaczynała ostentacyjnie i gorączkowo rozmawiać z kim innym, przeciągając tę grę aż do odejścia Roberta. W ten sposób, spotkania w Doncières nie sprawiały mi żadnego bólu, nawet zakłopotania, nie były wyjątkiem wśród innych, zawsze dla mnie przyjemnych, przynoszących mi poniekąd hold i zaproszenie od tej ziemi.

Już z końcem lata, w czasie naszych wypraw z Balbec do Douville, kiedy widziałem zdaleka tę stację Saint-Pierre des Ifs, gdzie wieczorem przez chwilę grzebień skał błyszczał różowo niby w zachodzącym słońcu śnieg górski, nie nasuwała mi już ona myśli nie mówię nawet o smutku, o jaki zjawisko jej nagłego dziwnego wzniesienia się przyprawiło mnie pierwszego wieczora, budząc gwałtowną ochotę wskoczenia do pociągu do Paryża zamiast jechać do Balbec, ani o widoku, jaki rano można mieć stamtąd (jak powiadał Elstir) tuż przed wschodem słońca, kiedy wszystkie kolory tęczy łamią się na skałach; tam właśnie tyle razy Elstir budził młodego chłopca, służącego mu jednego roku za modela, aby go malować całkiem nagiego na piasku. Nazwa Saint-Pierre des Ifs oznajmiała mi tylko że zjawi się osobliwy pięćdziesięciolatek, inteligentny i uszminowany, z którym będę mógł mówić o Chateaubriandzie i o Balzaku. I teraz, w mgłach wieczornych, za temi skałami Incarville, które mnie tak rozmarzyły niegdyś, widziałem — tak jak gdyby starożytny kamień skał stał się przezroczysty — piękny dom wuja pana de Cambremer, z tą pewnością że zawsze mnie tam chętnie przyjmą, o ile nie zechcą być na obiedzie w la Raspelière lub wracać do Balbec.

Tak więc, nie tylko nazwy miejsc w tych stronach straciły pierwotną tajemnicę, ale same miejsca. Nazwy, już nawpół opróżnione z tajemnicy, którą etymologia zastąpiła rozumowaniem, jeszcze spadły o jeden szczebel. W ciągu naszego powrotu, w Hermonville, w Saint-Vast, w Arambouville, w chwili gdy pociąg się zatrzymywał, spostrzegaliśmy cienie, których nie poznawaliśmy zrazu i które Brichot, nie widzący już nic, mógłby wziąć w nocy za cienie Herimunda, Wiskara, Herimbalda. Ale one zbliżyły się do wagonu. To poprostu p. de Cambremer, całkiem poróżniony z Verdurinami, odprowadzał gości i imieniem matki i żony pytał mnie, czy nie dałbym się „porwać” aby zabawić kilka dni w Féterne: spodziewają się tam kolejno wybornej amatorki, która mi odśpiewa całego Glucka, oraz sławnego szachisty, z którym będę mógł sobie uciąć doskonałe partyjki, co nie przeszkodzi wyprawom z wędką ani jachtingom w zatoce, ani nawet obiadom u Verdurinów, na które margrabia zobowiązywał się honorem „wypożyczać mnie”, każąc mnie tam odwiedzić i posyłając po mnie dla większej wygody, a także pewności.

— Ale ja nie mogę uwierzyć — mówił — aby to było dobrze dla pana jechać tak wysoko. Wiem, że siostra nie zniosłaby tego. Wróciłaby w strasznym stanie! Nie tęgo zresztą miewa się w tej chwili. Doprawdy, miał pan taki silny atak! Jutro nie będzie się pan mógł utrzymać na nogach!

I pękał ze śmiechu nie przez złośliwość, ale z tej samej racji, dla której nie mógł bez śmiechu widzieć na ulicy przewracającego się kulasa lub rozmawiać z głuchym.

— A przedtem? Jakto, nie miał pan ataku od dwóch tygodni? Wie pan, że to bardzo piękne. Doprawdy, powinienby pan zamieszkać w Féterne, rozmawiałby pan o swojej astmie z siostrą.

W Incarville zjawiał się margrabia de Montpeyroux, który, nie mogąc się wybrać do Féterne, bo miał polowanie, przybył „na pociąg” w butach i w kapeluszu z bażanciem piórem, aby ucisnąć rękę odjeżdżających i mnie za jedną okazją, oznajmiając wizytę swego syna w dniu który mi będzie dogodny; dziękował z góry że go przyjmę i byłby bardzo wdzięczny, gdybym go zachęcił trochę do czytania. Lub pan de Crécy, zaszedłszy tu „dla kokocji”, jak powiadał, paląc fajkę, przyjmując odemnie cygaro lub nawet kilka, mówił:

— No i co, nie naznacza mi pan dnia na naszą następną lukullusową randkę? Nie mamy sobie nic do powiedzenia? Pozwoli pan sobie przypomnieć, żeśmy zostawili na tapecie sprawę dwóch rodzin Montgommery. Musimy dokończyć. Liczę na pana.

Inni przyszli tylko kupić dzienniki. Wielu ucinąło z nami gawędę; zawsze podejrzewałem ich, że znaleźli się na najbliższej od ich dworu stacji jedynie dlatego, że nie mieli do roboty nic innego jak tylko spotkać na chwilę znajomych. Owe postoje kolejki, to rama życia światowego, w sumie tak dobra jak każda inna. Sama kolejka zdawała się mieć świadomość roli, jaka jej przypadła; nabrała jakiejś ludzkiej uprzejmości; cierpliwa, łagodna z natury, czekała ile się chciało na zapóźnionych, a nawet ruszywszy już, zatrzymywała się aby zabrać tych co jej dawali znak; biegli za nią sapiąc, w czym byli do niej podobni; ale różnili się od niej tem, że łapali ją całym pędem, gdy ona ograniczała się do roztropnej powolności.

Tak więc, Hermonville, Arambouville, Incarville, nie wskrzeszały mi już nawet okrutnych wielkości normandzkiego podboju, nie poprzestając na tem że się całkowicie wyzuły z niewytłumaczonego smutku, w jakim kąpały się dla mnie niegdyś w wilgoci wieczoru.

Doncières! Nawet kiedy je poznałem i obudziłem się z marzenia, ileż w tej nazwie zostało dla mnie — na długo — ulic przyjemnie lodowatych, jasnych witryn, soczystych sztuk drobiu. Doncières! Teraz, to już była tylko stacja, gdzie wsiadał Morel; Egleville (*Aquilaevilla*) — stacja, gdzie czekała na nas najczęściej księżna Szerbatow; Maineville — stacja, gdzie wysiadała Albertyna w pogodne wieczory, kiedy, nie zbyt zmęczona, miała ochotę przedłużyć jeszcze chwile ze mną, nie mając ścieżką o wiele dalej pieszo, niż gdyby wysiadała w Parville (*Paterni villa*). Nie tylko nie doznawałem już trwożliwego lęku osamotnienia, jaki mnie dławił pierwszego wieczora, ale nie potrzebowałem się już obawiać aby ten lęk się zbudził, ani też abym mógł się czuć obco lub samotnie na tej ziemi, rodzajnej nietylko w kasztany i tamaryski, ale w przyjaźnie, które wzdłuż tej drogi tworzyły długi łańcuch, przerywany jak łańcuch sinich pagórków, ukrytych niekiedy w załomie skały lub za lipami aleji; ale na każdym postoju delegowały uprzejmego ziemianina gotowego serdecznym uściskiem dłoni przerwać moją drogę, nie dać mi odczuć jej długości, ofiarować się w potrzebie za towarzysza. Inny znalazłby się na następnym dworcu, tak że jeżeli gwizd kolejki dawał sygnał rozstania się z przyjacielem, to jedynie po to aby pozwolić spotkać innych. Między najmniej bliskimi dworami a lokalną kolejką, która biegła wzdłuż nich niemal krokiem szybko idącej osoby, odległość była tak mała, że w chwili gdy na peronie, przed poczekalnią, wołali nas ich właściciele, mieliśmy prawie wrażenie, że robią to z progu swego domu, z okna, tak jakby kolejka departamentalna była jedynie prowincjonalną ulicą a oddzielnie stojący dworek miejskim pałacykiem; nawet na rzadkich stacjach, gdzie nie słyszałem niczyjego „dobrywieczór”, milczenie miało kojącą i odżywczą pełnię, bo wiedziałem, że powstało ze snu przyjaciół, kładących się wcześniej w pobliskim dworze, gdzie powitanoby mnie z radością, gdybym ich obudził prosząc o gościnę. Nie mówiąc iż przyzwyczajenie tak wypełnia czas, że po upływie kilku miesięcy nie mamy ani jednej chwili wolnej w miejscu, gdzie w chwili przyjazdu dzień nastęczał nam dwanaście godzin do zabicia; i gdyby przypadkiem jedna z tych godzin zawakowała, nie przyszłoby mi już na myśl obracać jej na oglądanie jakiegoś kościoła, dla którego niegdyś przybyłem do Balbec, ani nawet na konfrontowanie pejzażu Elstira ze szkicem widzianym u niego; wybrałbym się poprostu na jeszcze jedną partję szachów do pana Féré. Była w tem w istocie jakaś abdykacja z czaru, jaki miały niegdyś dla mnie okolice Balbec, w tem że stały się one dla mnie „swoją” krainą; ich rozległość, rozmaitość i rozmieszczenie wzdłuż brzegu dawały z konieczności wizytom moim u tych różnych znajomych charakter podróży, sprowadzały również podróż jedynie do towarzyskiego wdzięku szeregu wizyt. Te same nazwy miejsc, niegdyś dla mnie tak niepokojące, że prosty *Almanach zamków i dworów*, rozdział: *Departament la Manche*, przyprowadzał mnie o tyle wzruszeń co kolejowy rozkład jazdy, stały mi się tak poufale, że nawet ten rozkład jazdy mógłbym oglądać na stronicy *Balbec-Douville przez Doncières* z tem samem spokojnem szczęściem co książkę adresową. W tej nazbyt towarzyskiej dolinie, z której zбочy czułem wychylającą się — widzialną lub nie — gromadę licznych znajomych, poetycznym krzykiem wieczornym był już nie krzyk sowy albo rechot żab, ale „jak się pan ma!” pana de Criquetot, albo „*Kaire*” Brichota. Atmosfera tamtejsza nie budziła już niepokoju; naładowana czysto ludzkiemi fluidami była łatwa do oddychania,



zbyt kojąca nawet. Korzyść, jaką z niej wyciągałem, była bodaj ta, że widziałem rzeczy już tylko z punktu praktycznego. Małżeństwo z Albertyną zdawało mi się szaleństwem.

## ROZDZIAŁ IV

*Nagły zwrot ku Albertynie. — Rozpacz o wschodzie słońca. — Jadę bezzwłocznie z Albertyną do Paryża.*

Czekałem tylko sposobności ostatecznego zerwania. I pewnego wieczora, kiedy mama jechała nazajutrz do Combray, gdzie miała czuwać przy umierającej siostrze babki, zostawiając mnie, abym korzystał, jakby tego pragnęła babka, z morskiego powietrza, oznajmiłem nieodwołalnie, że jestem zdecydowany nie żenić się z Albertyną i że niedługo przestanę się z nią widywać. Byłem rad, że mogłem temi słowami ucieszyć mamę w wilgę wyjazdu. Nie tała, że ją to w istocie bardzo cieszy.

Trzeba było także rozmówić się z Albertyną. Kiedym z nią wracał z la Raspelière, a wierni wysiedli, jedni w Saint-Mars-le-Vêtu, inni w Saint-Pierre-des-Ifs, inni w Doncières, czując się niezwykle szczęśliwym i wyzwolonym od niej, zdecydowałem się teraz, kiedy byliśmy w wagonie tylko we dwoje, podjąć wreszcie tę rozmowę. Faktem zresztą jest, że wśród dziewcząt z Balbec, tą, którą kochałem, nieobecna w tej chwili jak jej przyjaciółki, ale mającą wrócić, była Anna; pozatem lubiłem je wszystkie, bo każda miała dla mnie, jak pierwszego dnia, coś z duszy innych, była jakby z odrębnej rasy. Za kilka dni Anna miała znów przyjechać do Balbec, z pewnością przyjdzie zaraz do mnie. Wówczas, aby zachować wolność, nie ożenić się z nią jeśli nie zechcę, aby móc pojechać do Wenecji, ale jednak mieć tutaj Annę całą dla siebie, obmyśliłem sobie, że nie okażę zbyt do niej tęsknił; tuż po jej przybyciu, kiedy będziemy rozmawiali, powiem: „Co za szkoda, że cię nie było kilka tygodni wcześniej. Byłbym cię pokochał, teraz serce moje jest zajęte. Ale to nic nie znaczy, będziemy się widywali często, bo jestem smutny, będziesz mnie pocieszała po tamtej miłości.” Uśmiechałem się w duchu, myśląc o tej rozmowie, bo w ten sposób wmówiłbym Annie że jej nie kocham naprawdę; tem samem nie sprzykrzę się jej i będę radośnie i słodko korzystał z jej czułości. Ale wszystko to zwiększało jedynie konieczność rozmówienia się wreszcie serjo z Albertyną, jak tego wymagała delikatność; skoro zaś byłem zdecydowany poświęcić się jej przyjaciółce, trzebaż aby Albertyna wiedziała, że jej nie kocham. Trzeba to jej powiedzieć zaraz, skoro Anna może przybyć lada dzień. Ale kiedyśmy się zbliżali do Parville, uczułem, że nie będziemy mieli czasu tego wieczora i że lepiej odłożyć do jutra to, co już jest nieodwołalne. Gawędziłem więc poprostu z Albertyną o obiedzie u Verdurinów, z któregośmy wracali. Kładąc płaszczyk w chwili gdy pociąg opuścił właśnie Incarville, ostatnią stację przed Parville, Albertyna rzekła:

— Zatem jutro Verdurinowie *bis*; nie zapominaj, że to ty po mnie wstępujesz.

Nie mogłem się wstrzymać aby nie odpowiedzieć dość sucho:

— Tak, o ile nie puszczę ich kantem, bo doprawdy zaczyna mi się to życie wydawać idjotyczne. W każdym razie, o ile tam pojedziemy, wówczas, chcąc aby czas w la Raspelière nie był absolutnie stracony, muszę poprosić panią Verdurin o coś, coby mnie bardzo zajęło, coby mi mogło dać temat do studjów i zrobić mi przyjemność, bo mam jej w istocie w tym roku w Balbec bardzo mało.

— Nie jest uprzejme dla mnie to co mówisz, ale nie mam do ciebie żalu, bo czuję że jesteś nerwowy. Co to za przyjemność?

— Żeby pani Verdurin kazała komuś przegrać dla mnie utwory muzyka, którego dzieła zna bardzo dobrze. Ja także znam jeden, ale zdaje się, że są inne; chciałbym wiedzieć, czy to jest wydane, czy to się różni od pierwszych opusów.

— Co za muzyk?

— Kochanie, jeśli ci powiem, że się nazywa Vinteuil, czy dużo ci to mówi?

Możemy się wałęsać po wszystkich możebnych myślach nie napotyając prawdy; przychodzi ona z zewnątrz, kiedy się tego najmniej spodziewamy, aby nam zadać swoje okropne pchnięcie i zranić nas na zawsze.

— Sam nie wiesz, jak mnie bawisz — odparła Albertyna wstając, bo pociąg miał się zatrzymać. Nietylko mi to mówi o wiele więcej niż sądzisz, ale nawet bez pani Verdurin

będę ci mogła dostarczyć wszystkich objaśnień, jakich tylko zapragniesz. Przypominasz sobie, że ci mówiłam o przyjaciółce, starszej odemnie, która mi była matką, siostrą, z którą spędziłam w Trieście najlepsze lata? Mam ją za kilka tygodni spotkać w Cherbourg, skąd puścimy się razem morzem (to trochę dzikie, ale ty wiesz, jak ja kocham morze); otóż, ta przyjaciółka (och, wcale nie w rodzaju tych kobiet, którebyś mógł przypuszczać!) — patrz, jakie to nadzwyczajne — jest właśnie najlepszą przyjaciółką córki tego Vinteuila, a i tę pannę Vinteuil znam prawie równie dobrze. Nie nazywam ich nigdy inaczej, tylko „moje duże siostry”. Cieszy mnie to, przyznaję, że twoja Albertynka przyda ci się na coś w sprawach muzyki, na których — jak słusznie zresztą powiadasz — nic się nie rozumiem.

Na te słowa, wyrzeczone w chwili gdyśmy wjeżdżali na stację Parville, tak daleko od Combray i od Montjouvain, w tyle lat po śmierci Vinteuila, drgnął w moim sercu obraz, trzymany w zapasie tak długo, że nawet gdybym mógł zgadnąć, magazynując go niegdyś, że posiada złowrogą moc, sądziłbym, że z biegiem czasu moc ta ulotniła się całkowicie. Obraz ten przetrwał we mnie — jak Orestes, któremu bogowie nie pozwolili zginąć, iżby w oznaczonym dniu wrócił do kraju pomścić śmierć Agamemnona — na moją mękę, na moją karę — kto wie, może za to żem dał umrzeć babce — wyłaniając się nagle z mroku, gdzie zdawał się na zawsze zagrzebany, uderzając niby Mściciel, aby mi dać rozpocząć życie straszliwe, zasłużone i nowe, może także aby ukazać moim oczom złowrogie skutki rodzące się bez końca ze złych czynów nie tylko dla tych co je popełnili, ale dla tych, którzy sądzili że jedynie przyglądają się ciekawemu i zabawnemu widowisku, jak ja niestety! o schyłku owego odległego dnia w Montjouvain, ukryty za krzakiem, gdzie (jak wówczas kiedym z przyjemnością słuchał opowiadań o miłości Swanna) niebezpiecznie pozwoliłem się rozszerzyć we mnie złowrogiej i wróżącej boleść drodze Wiedzy. I równocześnie miałem poczucie swojej największej boleści, niemal dumne, niemal radosne; uczucie człowieka, który pod wpływem doznanego wstrząsu jednym skokiem znalazł się w punkcie, do którego żaden wysiłek nie zdołałby go wynieść. Albertyna — przyjaciółką panną Vinteuil i jej przyjaciółki, zawodowej adeptki safizmu! — była, wobec tego co sobie wyobrażałem w chwilach największych zwątpień, tem, czem, w stosunku do małego przyrządu akustycznego z wystawy r. 1889, zaledwie w najśmielszych nadziejach zdolnego przenieść głos z jednego domu do drugiego, są telefony biegnące nad ulice, miasta, pola, morza, łączące kraje. To była straszliwa *terra incognita*, do której oto przybiłem; otwierająca się przedemną nowa faza niepodejrzewanych cierpień. A mimo to, ten potop rzeczywistości jaki nas zalewa, olbrzymi w stosunku do naszych nieśmiałych i mizernych przypuszczeń, był w nich jednakże przeczuwany. Z pewnością, to, czego się właśnie dowiedziałem, fakt przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil, to było coś, czego mój umysł nie mógłby wyroić, ale czego się bałem podświadomie, kiedym się niepokoił, widząc Albertynę z Anną. Często jedynie przez brak twórczej wyobraźni nie idziemy dość daleko w cierpieniu. I najstraszliwsza rzeczywistość daje — równocześnie z cierpieniem — radość pięknego odkrycia, bo daje jedynie nową i jasną formę czemuś cośmy trawili w sobie długo, nie wiedząc o tem.

Pociąg zatrzymał się w Parville, że zaś byliśmy jedynymi pasażerami, konduktor krzyknął głosem zwątpiałym w poczuciu bezużyteczności swego zadania, siłą tego samego nawyku który mu je kazał jednak spełniać i rodził w nim zarazem akuratność i indolencję, a bardziej jeszcze chęć do spania: „Parville!” Albertyna, siedząca na wprost mnie, czując się u celu podróży, podeszła kilka kroków i otworzyła drzwi. Ale ten ruch, którym gotowała się wysiąść, rozdarł mi nieznośnie serce, tak jakby, wbrew niezawisłej pozycji mego ciała, które ciało Albertyny zdawało się wypełniać z odległości dwóch kroków, ta przestrzeń między nami, którą obiektywny rysownik musiałby wyobrazić, była jedynie pozorem; gdyby ktoś chciał nas wyrysować w duchu prawdziwej rzeczywistości, musiałby umieścić teraz Albertynę nie opodal mnie, ale we mnie. Oddalając się, zadawała mi taki ból, że schwyciwszy ją za ramię, pociągnąłem ją rozpaczliwie.

— Czy byłoby fizycznym niepodobieństwem — spytałem — abyś dziś zanocowała w Balbec.

— Fizycznym, nie. Ale upadam z senności.

— Oddałabyś mi olbrzymią przysługę...

— Zatem dobrze, mimo że nie rozumiem, czemu nie powiedziałeś wcześniej. Więc dobrze, zostaję.

Matka spała już, kiedy ja, kazawszy dać Albertynie pokój na innym piętrze, wróciłem do siebie. Siadłem blisko okna, dławiąc łkanie, aby matka, oddzielona ode mnie jedynie cienką ścianką, nie usłyszała. Nie pomyślałem nawet o tem, aby zamknąć okiennice, bo w pewnej chwili, podnosząc oczy, ujrzałem na wprost siebie na niebie ten sam blask przygaszonej czerwieni, jaką widziało się w restauracji w Rivebelle na *Zachodzie słońca* Elstira. Przypomniałem sobie podniecenie, jakie mną owładnęło, kiedy, w dniu pierwszego przybycia do Balbec, ujrzałem ten sam obraz wieczoru, poprzedzającego nie noc ale nowy dzień. Ale żaden dzień nie byłby teraz dla mnie nowy, nie obudziłby już we mnie żądy nieznanego szczęścia; przedłużyłby jedynie moje cierpienia, aż do punktu, w którym nie miałbym już sił ich znieść. Prawda tego, co mi Cottard powiedział w kasynie w Parville, była już dla mnie niewątpliwa. To, czegom się obawiał, o co tak długo mglisto podejrzewałem Albertynę, to co mój instynkt wyczuwał w całym jej istnieniu i czemu rozumowania moje, kierowane pragnieniem, kazały mi stopniowo zaprzeczyć, było prawdą! Poza Albertyną widziałem już nie sine pagórki morza, ale pokój w Montjouvain, gdzie ona pada w ramiona panny Vinteuil ze śmiechem, w którym rozlega się jakby nieznaną dźwięk jej rozkoszy. Bo, wobec urody Albertyny, jakżeby panna Vinteuil, przy swoich skłonnościach, nie zapragnęła ich zaspokoić? A dowodem że Albertyna nie uczuła się obrażona i że się zgodziła, czyż nie jest fakt, że się nie poróżniły, ale że ich zażyłość wciąż rosła. A ten wdzięczny gest Albertyny, opierającej głowę na ramieniu Rozamundy, patrzącej na nią z uśmiechem i całującej ją w kark, ten ruch, który mi przypomniał pannę Vinteuil, a w którego interpretacji wahałem się wszelako dopuścić myśl, że ta sama linia gestu płynęła nieuchronnie z tej samej skłonności — kto wie, czy Albertyna nie nauczyła się tego gestu, tego ruchu, poprostu od panny Vinteuil?

Pomału, zgaszone niebo zapalało się. Ja, który nigdy się dotąd nie budziłem bez uśmiechu do rzeczy najzwykleszych, do filiżanki kawy z mlekiem, do szmeru deszczu, do grzmotu wichru, uczulem, że dzień który wstanie za chwilę i wszystkie dni które przyjdą później, nie przyniosą mi już nigdy nadziei nieznanego szczęścia, ale przedłużenie męczeństwa. Zależało mi jeszcze na życiu; ale wiedziałem, że mogę się już od niego spodziewać tylko bólu. Pobiegłem do windy, aby, mimo niemożliwej godziny, zadzwonić na chłopca, który miał nocny dyżur. Poprosiłem go, aby poszedł do Albertyny powiedzieć, że mam jej coś ważnego do zakomunikowania, czy mogłaby mnie przyjąć. „Panienska woli przyjść sama — brzmiała odpowiedź. Będzie za chwilę”. W istocie, niebawem Albertyna weszła w szlafrocisku.

— Albertyno — rzekłem bardzo cicho, zalecając jej nie podnosić głosu, aby nie obudzić matki przez ściankę, której cienkość, niepożądana dziś i zmuszająca od szeptu, miała niegdyś, kiedy się na niej tak wymownie malowała czułość babki, coś z przejrzystości muzycznej — wstydę się, że cię niepokoję. Chodzi o to. Abyś zrozumiała, muszę ci powiedzieć coś, czego nie wiesz. Przybywając tutaj, zerwałem z kobietą, którą miałem zaślubić, która była gotowa wszystko rzucić dla mnie. Miała wyjechać dziś rano w podróż, i od tygodnia codziennie pytałem sam siebie, czy będę miał siłę nie zatelegrafować jej że wracam. Miałem tę siłę, ale byłem strasznie nieszczęśliwy, myślałem że się zabiję. Dlatego prosiłem cię wczoraj wieczór, czy nie mogłabyś zanocować w Balbec. Gdybym miał umrzeć, chciałem się pożegnać z tobą.

Tu dałem swobodny upust łzom, którym zmyślenie moje stwarzało naturalny pozór.

— Biedny mały, gdybym wiedziała, byłabym spędziła noc przy tobie — wykrzyknęła Albertyna, której nie przyszło nawet na myśl, że ja się może ożenię z tą kobietą i że tem samem przepada dla niej sposobność „dobrej partji”; tak szczerze była wzruszona zmartwieniem, którego powód był zmyślonny, ale którego rzeczywistość i siła były prawdziwe. Zresztą — dodała — wczoraj przez całą drogę z la Raspelière czułam, że ty jesteś nerwowy i smutny, bałam się czegoś.

W rzeczywistości smutek mój zaczął się aż w Parville, a nerwowość — bardzo odmienna, ale którą Albertyna szczęśliwie mieszała z tym smutkiem — wynikała z irytacji, że mam z nią jeszcze spędzić kilka dni. Albertyna dodała: „Nie opuszczę cię już, zostanę cały czas tutaj”. Ofiarowywała mi tem samem — i ona jedna mogła mi je ofiarować — jedyne lekarstwo przeciw truciznie która mnie paliła; przyczem lekarstwo i trucizna były spokrewnione z sobą, jedno słodkie, drugie okrutne, oba porównie płynące z Albertyny. W tej chwili, Albertyna — moja choroba — folgowała w zadawaniu cierpień, a zaś

Albertyna-lek czyniła mnie tklwym nakształt rekonwalescenta. Ale myślałem o tem, że ona niebawem wyjedzie do Cherbourg, a stamtąd do Triestu. Jej dawne nawyki odrodzą się. Najważniejsze było dla mnie nie dać Albertynie wsiąść na statek, starać się ją zabrać do Paryża. Zapewne, z Paryża, łatwiej jeszcze niż z Balbec, mogłaby — gdyby zechciała — pospieszyć do Triestu; ale w Paryżu zobaczymy; może mógłbym poprosić pani de Guermantes, aby odwiodła pośrednio przyjaciółkę panny Vinteuil od pozostania w Trieście, mogłaby jej znaleźć inną posadę, może u księcia de X, którego spotykałem u pani de Villeparisis i u samej pani de Guermantes? A gdyby Albertyna chciała u niego odwiedzać swoją przyjaciółkę, księżę, uprzedzony przez panią de Guermantes, mógłby temu przeszkodzić. Z pewnością, mógłbym sobie powiedzieć, że jeżeli Albertyna ma te skłonności, znajdzie w Paryżu inne osoby, z którymi będzie je mogła zaspokoić. Ale każdy odruch zazdrości jest swoisty i nosi piętno istoty która go wznieciła, — w tym wypadku przyjaciółki panny Vinteuil. Przyjaciółka panny Vinteuil była moją główną troską. Tajemniczą namiętność, z jaką niegdyś myślałem o Austrii, ponieważ był to kraj z którego pochodziła Albertyna (wuj jej był tam radcą ambasady), ponieważ właściwości geograficzne tego kraju, lud który go zamieszkiwał, jego budowle, krajobrazy, mogłem oglądać, niby w atlasie, w zbiorze widoków, w uśmiechu i wzięciu Albertyny, tę tajemniczą namiętność odczuwałem jeszcze, ale — przez paradoksalność znaków — w dziedzinie okropności. Tak, to stamtąd przybywała Albertyna. Miała pewność że tam, w każdym domu, odnajdzie bądź przyjaciółkę panny de Vinteuil bądź inne kobiety. Nawyki dzieciństwa odrodzą się, przyjaciółki spotkają się za kwartał na Boże Narodzenie, potem na Nowy Rok — daty już smutne dla mnie same przez się bezwiednem wspomnieniem zgryzoty, jakiej doznawałem niegdyś, kiedy mnie one dzieliły na cały czas noworocznych feryj od Gilberty. Po długich biesiadach, po wilji, kiedy wszyscy będą radośni, ożywieni, Albertyna będzie z tamtejszemi przyjaciółkami taka jaka była z Anną, wówczas gdy przyjaźń Albertyny i Anny była niewinna; kto wie, może powtórzy z niemi te same uściski, które splotły w moich oczach pannę Vinteuil i ścigającą ją przyjaciółkę w Montjouvain. Teraz, pannie Vinteuil, podczas gdy przyjaciółka laskotała ją, zanim się zwała na nią, dawałem rozplomioną twarz Albertyny; Albertyny, która — słyszałem ją — uciekając poto aby się poddać później, śmiała się swoim szczególnym i głębokim śmiechem. Wobec męki, którą odczuwałem, czemu była zazdrość doznana w dniu kiedy Saint-Loup spotkał nas w Doncières i kiedy go Albertyna kokietowała; i zazdrość zrodzona z myśli o nieznanym uwodzicielu, któremu mogłem zawdzięczać pierwsze pocałunki Albertyny w Paryżu, w dniu kiedy czekał listu od panny de Stermaria. Tamta zazdrość — o Roberta, o jakiegoś tam młodego człowieka — była niczem. Wówczas mógłbym próbować zwyciężyć rywala, który mnie straszyl. Ale tu rywal nie był podobny do mnie, jego broń była inna, nie mógłbym walczyć na tym samym gruncie, dostarczyć Albertynie tych samych rozkoszy — ani nawet ściśle ich pojąć! Są momenty, w których zamienilibyśmy całą przyszłość za jakąś władzę choćby skądinąd nieznaczącą. Byłbym się niegdyś wyrzekł wszystkich skarbów życia aby poznać panią Blatin, bo była przyjaciółką pani Swann. Dziś, byle Albertyna nie jechała do Triestu, zniósłbym wszystkie cierpienia, a gdyby to nie wystarczyło, zadałbym jej; odosobniłbym ją, zamknął, odebrałbym jej te trochę pieniędzy które miała, aby ich brak przeszkodził jej materialnie podjąć tę podróż. Jak niegdyś w podróży do Balbec motywem moim było pragnienie perskiego kościoła, burzy o świcie, tak teraz rozdzierała mi serce myśl, że Albertyna pojedzie może do Triestu, że spędzi tam noc wigilijną z przyjaciółką panny Vinteuil; bo wyobraźnia nasza, mimo iż zmienia naturę i obróci się we wrażliwość, nie rozporządza przez to większą ilością równoczesnych obrazów. Gdyby mi powiedziano, że owej osoby niema w tej chwili w Cherbourg ani w Trieście, że nie będzie mogła spotkać Albertyny, płakałbym ze słodyczy i ze szczęścia. Jakżeby to zmieniło moje życie i jego przyszłość! A przecież wiedziałem, że ta lokalizacja mojej zazdrości jest dowolna; że jeżeli Albertyna ma te skłonności, może je zaspokoić z innymi. Zresztą gdyby te same dziewczyny mogły ją widzieć gdzieindziej, nie odczułbym tego może tak boleśnie. To z Triestu, z tego nieznanego świata, świata — czułem to — tak lubego Albertynie, gdzie były jej wspomnienia, przyjaźnie, jej dziecinne miłości, wydzielala się owa atmosfera wroga, niewytłumaczona; jak ta która wznosiła się niegdyś aż do mego pokoju w Combray z jadalni, gdzie słyszałem mamę, rozmawiającą i śmiejącą się z obcymi w szczęku widelców, mamę która nie miała przyjsć mi powiedzieć dobranoc; jak ta, która wypełniła dla

Swanna domy, gdzie Odeta chodziła szukać na balu niepojętych uciech. Myślałem teraz o Trieście, już nie jak o rozkoszonym kraju, gdzie mieszkańcy są pełni zadumy, zachody słońca złote, dzwony smutne; ale jak o przekletem mieście, którebym chciał natychmiast spalić i usunąć z rzeczywistego świata. Owo miasto tkwiło w moim sercu jak uparta drzazga. Pozwolić Albertynie jechać niedługo do Cherbourg i do Triestu, to budziło we mnie zgrozę; a nawet zostać w Balbec. Bo teraz, kiedy świadomość zażyłości Albertyny z panną Vinteuil stała się niemal pewnikiem, zdawało mi się, że we wszystkich chwilach kiedy ona nie jest ze mną (a bywały całe dni, kiedy, z powodu ciotki, nie mogłem jej widywać) wydana jest na łup kuzynkom Blocha, może i innym. Myśl, że tego samego wieczora mogłaby widzieć kuzynki Blocha, przyprowadziła mnie o szaleństwo. Toteż, skoro mi powiedziała że mnie przez tych kilka dni nie opuści, odrzekłem:

— Ale bo ja chciałbym jechać do Paryża. Czy nie pojechałabyś ze mną? I czy nie chciałabyś pomieszkać trochę u nas w Paryżu?

Za wszelką cenę trzeba było nie dać Albertynie zostać samej, przynajmniej przez kilka dni, zatrzymać ją przy sobie, aby być pewnym że się nie może widywać z przyjaciółką panny Vinteuil. Trzeba było poprostu aby zamieszkała ze mną, bo matka, korzystając z inspekcyjnej podróży ojca, postanowiła sobie święcie wykonać wolę babki, która pragnęła aby mama spędziła kilka dni w Combray u jej siostry. Mama nie lubiła ciotki, ponieważ nie była dla babki, tak czulej dla niej, siostrą taką jakąby powinna być. Podobnie dzieci, dorósłszy, przypominają sobie z urazą tych co byli dla nich niedobrzy. Ale mama, stawszy się moją babką, była niezdolna do urazy; życie jej matki było dla niej niby czyste i niewinne dzieciństwo, gdzie miała czerpać owe wspomnienia, których słodycz lub gorzyc kierowała jej postępkami. Ciotka mogłaby dostarczyć mamie pewnych bezcennych szczegółów, ale teraz nie łatwo byłoby je uzyskać, bo ciotka zachorowała bardzo ciężko (mówiono o raku); mama wyrzucała sobie, że, chcąc dotrzymać towarzystwa ojcu, nie pojechała tam wcześniej; ale to była tylko jedna racja więcej, aby uczynić to, co byłaby zrobiła jej matka, tak jak w rocznicę śmierci ojca babki, który był tak złym ojcem, mama nosiła na grób kwiaty, dlatego że babka przywykła je nosić. Tak, wobec grobu, który miał się otworzyć, matka chciała zanieść chorej słodkie rozmowy, z jakimi owa ciotka nie przybyła do łóża babki. Przez czas pobytu w Combray, matka miała się zająć pewnymi pracami, których babka zawsze pragnęła, ale tylko o tyle, o ileby je wykonano pod dozorem mamy. Toteż nie zaczęto ich nawet. Mama nie chciała, opuszczając Paryż przed ojcem, zanadto dać mu uczuć ciężar żaloby, w której on brał udział, ale której nie mógł odczuć równie głęboko.

— Och! to nie byłoby możebne w tej chwili — odparła Albertyna. — Zresztą poco ty masz tak prędko wracać do Paryża, skoro ta osoba wyjechała?

— Bo w miejscu gdzie ją znałem będę się czuł spokojniejszy niż w Balbec, którego ona nigdy nie widziała i które mi obrzydło.

Czy Albertyna zrozumiała później, że owa inna kobieta nie istniała, i że, jeżeli tej nocy szczerze pragnąłem umrzeć, to dlatego, że mi niebacznie zdradziła, iż żyje blisko z przyjaciółką panny Vinteuil? Możliwe. Są chwile, że mi się to wydaje prawdopodobne. W każdym razie, tego rana wierzyła w istnienie owej kobiety.

— Ale ty powinienes się ożenić z tą osobą, kochanie; byłbyś szczęśliwy, a ona też z pewnością byłaby szczęśliwa.

Odpowiedziałem, iż myśl że mógłbym tę kobietę uczynić szczęśliwą, omal mnie w istocie nie zdecydowała; w ostatnim czasie, kiedy otrzymałem duży spadek, pozwalający mi otoczyć zbytkiem swoją żonę i uprzyjemnić jej życie, byłem skłonny przyjąć ofiarę tej którą kochałem. Byłem upojony wdzięcznością, jaką budziła we mnie poczciwość Albertyny, tuż po okrutnym cierpieniu które mi sprawiła. I tak jak przyrzekłoby się chętnie fortunę garsonowi, który nalewa nam w kawiarni szósty kieliszek wódki, powiedziałem jej, że moja żona będzie miała auto, jacht, że z tego punktu widzenia wielka szkoda że to nie ja, Albertynę, kocham; nie ja, która tak lubi wycieczki autem i spacerować jachtem; że byłbym dla niej doskonałym mężem, ale jeszcze zobaczymy, uda się nam może pędzić czas przyjemnie. Mimo wszystko — tak jak nawet po pijanemu nie zaczyna się przechodniów z obawy ciągów — nie popełniłem tej nieostrożności (o ile to była nieostrożność), aby zdradzić że to ja, Albertynę, kocham, jak byłbym to zrobił za czasów Gilberty.

— Widzisz, o mało się z nią nie ożeniłem. Nie odważyłem się jednak na to; nie osmieliłbym się skazywać młodej kobiety na życie z kimś, kto jest tak cierpiący i nudny.

— Ależ tyś oszalał, każdy chce ciebie, popatrz jak wszyscy ubiegają się o ciebie. Tylko o tobie mówią u pani Verdurin, i w największym świecie też, upewniano mnie o tem. Więc ta pani nie była dobra dla ciebie, skoro ci pozwoliła tak zwątpić o sobie. Widzę już, co to za jedna, niedobra kobieta, nie cierpię jej; och, gdybym ja była na jej miejscu!

— Ale nie, jest bardzo miła, zanadto miła. Co się tyczy Verdurinów i innych, kpię sobie z tego. Poza tą którą kocham i której się zresztą wyrzekłem, zależy mi tylko na mojej Albertynce; jedynie ona, widując mnie często, przynajmniej przez pierwsze dni (dodałem, aby jej nie przestraszyć i aby móc wiele żądać przez te dni), będzie mogła trochę mnie pocieszyć.

Zrobiłem jedynie mglistą aluzję do możliwości małżeństwa, mówiąc zarazem, że jest ono niepodobieństwem, bo nasze charaktery nie zgodziłyby się z sobą. Wciąż mimo woli ścigany w swojej zazdrości wspomnieniem stosunków Roberta z „Rachelą kiedy Pan” i Swanna z Odetą, zbyt byłem skłonny wierzyć, że skoro kocham sam, nie mogę być kochany i że jedynie interes zdolny jest wiązać do mnie kobietę. Bez wątpienia, szaleństwem było sądzić Albertynę z Odety i Racheli. Ale nie chodziło o nią, chodziło o mnie; zazdrość moja kazała mi cenić zbyt nisko uczucia, jakie mogłem budzić. I z tego sądu — może błędnego — zrodziło się bezwątpienia wiele nieszczęść, które miały się na nas zwałić.

— Zatem odrzucasz zaproszenie do Paryża?

— Ciotka nie zgodziłaby się w tej chwili na mój wyjazd. Zresztą, nawet gdybym później mogła, czy to nie wyglądałoby dziwnie, gdybym w ten sposób zamieszkała u ciebie? W Paryżu dowiedzą się prędko, że nie jestem twoją kuzynką.

— No więc w takim razie powiemy, że jesteśmy trochę zaręczeni. Co to szkodzi, skoro ty wiesz, że to nie prawda.

Szyja Albertyny, wychylająca się całkowicie z koszuli, była jędrna, złota, gładka. Ucałowałem ją tak niewinnie, jakbym ucałował matkę, aby ukoić zgryzotę dziecka, niepodobną — jak sądziłem wówczas — do wyrwania kiedykolwiek z serca. Albertyna opuściła mnie, aby się iść ubrać. Zresztą, już jej oddanie słabo; przed chwilą powiedziała mi, że mnie nie opuści ani na sekundę. (I czułem, że jej postanowienie nie potrwa długo, skoro się obawiałem, w razie gdybyśmy zostali w Balbec, że tego samego wieczoru spotka się bezemnie z kuzynkami Blocha). Otóż właśnie powiedziała mi, że chce pojechać do Maineville i że wróci do mnie popołudniu. Nie była w domu od wczoraj, mogą być listy dla niej, ciotka może być niespokojna... Odpowiedziałem:

— Jeżeli tylko o to chodzi, można posłać chłopca, żeby powiedział ciotce że jesteś tutaj i żeby przywiózł listy.

Chcąc się okazać uprzejmą, ale podrażniona tą niewolą, zmarszczyła się, poczem zaraz milutko odpowiedziała: „Wybornie”, i posłała chłopca. Ledwo Albertyna wyszła, chłopiec zapukał lekko. Nie spodziewałem się, aby w czasie przez który rozmawiałem z Albertyną zdążył pojechać do Maineville i wrócić. Oznajmił mi, że Albertyna napisała słówko od ciotki i że, jeżeli chce, może jechać od Paryża, choćby dziś.

Źle zresztą zrobiła Albertyna, że dała chłopcu zlecenie ustne, bo już, mimo wczesnej godziny, dyrektor wiedział o wszystkim i jak oszalały przybiegł pytać, czy jestem z czego niezadowolony, czy naprawdę jadę, czy nie mógłbym bodaj zaczekać kilka dni: dziś właśnie „grożą silne wiatry”.

Nie mogłem mu tłumaczyć, że chcę za wszelką cenę aby Albertyny nie było już w Balbec w porze kiedy kuzynki Blocha wychodzą na spacer, zwłaszcza gdy niema Anny, jedynej która mogłaby ją ustrzec, i że Balbec jest dla mnie jak owe miejscowości, gdzie chory, niezdolny w nich oddychać, zdecydowany jest nie spędzić ani jednej nocy dłużej, choćby miał umrzeć w drodze. Zresztą, miałem walczyć z tego samego rodzaju prośbami najpierw w hotelu, gdzie Marja Gineste i Celesta Albaret przyjęły mnie z czerwonymi oczami. (Marja wydawała poza tem łkania szybkie jak bulgot strumienia. Łagodniejsza Celesta zalecała jej spokój, ale kiedy Marja wyszeptala jedyne wiersze, jakie umiała: *Ici bas tous les lilas meurent*, Celesta nie mogła się wstrzymać i lzy polały się po jej twarzy bżowego koloru; sądzę zresztą, że zapomniały o mnie jeszcze tego wieczora). Następnie,

w kolejce, mimo wszystkich ostrożności, spotkałem pana de Cambremer, który na widok moich kuferków zbladł, bo liczył na mnie na pojutrze; zniecierpliwiał mnie ostatecznie, chcąc mnie przekonać, że moje duszności wynikają z odmiany pogody i że październik będzie dla nich doskonały; zapytał wreszcie, czy w każdym razie „nie mógłbym odłożyć wyjazdu na tydzień”, zwrot, którego głupota nie wprawiała mnie we wściekłość może jedynie dlatego, że to, co mi proponował, zadawało mi ból. I podczas gdy mówił do mnie, drżałem za każdą stacją, że się zjawią — straszliwi od Heribalda lub Guiscarda — p. de Crécy błagający o zaproszenie go na obiad, lub jeszcze groźniejsza pani Verdurin ze swemi zaproszeniami. Ale to się miało zdarzyć aż za parę godzin. Nie doszedłem jeszcze do tego punktu. Miałem stawić czoło jedynie rozpaczliwym lamentom dyrektora. Spławiłem go, bo się bałem, że nawet szept jego gotów jest obudzić mamę. Zostałem sam w pokoju, w tym samym zbyt wysokim pokoju, gdzie byłem tak nie szczęśliwy za pierwszym przybyciem, gdzie myślałem tak tkliwie o pannie de Stermaria, gdzie czatowałem na pojawienie się Albertyny i jej przyjaciółek, niby na przelot wędrownych ptaków przysiadających na plaży; gdzie posiadałem ją tak niedbale, sprowadziwszy ją przez lift-boya, gdzie poznałem dobroć babki a potem zrozumiałem że umarła. Tutaj rozchyliłem pierwszy raz te firanki, u których stóp słało się światło poranne; rozchyliłem je, aby ujrzeć pierwsze szańce morza (te firanki, które Albertyna kazała mi zasuwac, aby nie widziano jak się całujemy). Nabierałem świadomości własnych przeobrażeń, konfrontując je z tożsamością rzeczy. Człowiek przyzwyczajają się jednak do nich jak do osób, przypomina sobie nagle odmienne znaczenie jakie zawierały, a potem, kiedy straciły wszelkie znaczenie, wypadki bardzo inne od dzisiejszych, dla których tworzyły ramę, rozmaitość czynności rozegranych pod tym samym sufitem, między temi samemi oszklonemi szafkami, zmiany w sercu i w życiu jakie ta rozmaitość niesie z sobą, wydają się jeszcze pogłębiane przez niezmienną trwałość dekoracji, spotęgowane jednością miejsca.

Parę razy odczułem przez chwilę myśl, że świat, w którym znajduje się ten pokój i te szafki i w którym Albertyna gra tak małą rolę, jest może światem intelektualnym, będącym jedyną realnością, a moja zgryzota jest czemś podobnem do zgryzoty zrodzonej z lektury romansu, z której jedynie warjat mógłby uczynić zgryzotę trwałą i ciągłą i promieniującą w jego życie; że wystarczyłoby może małego wysiłku woli aby osiągnąć ten rzeczywisty świat, wejść w niego, przeskakując boleść niby papierową obręcz, którą się przebija, i nie troszczyć się już o to co robi Albertyna, tak jak, skończywszy czytać powieść, nie troszczymy się o czyny urojonej bohaterki. Zresztą, kochanki które najbardziej kochałem nie stykały się nigdy z moją miłością do nich. Miłość ta była prawdziwa, skoro poświęcałem wszystko temu aby je widzieć, aby je mieć dla siebie samego, skoro szlochałem, kiedy, któregoś wieczora, czekałem na nie. Ale one nietylko były obrazem tej miłości, ile raczej miały zdolność budzenia jej, doprowadzania do paroksyzmu. Kiedym je widział, kiedym je słyszał, nie znajdowałem w nich nic, coby było podobne do mojej miłości i coby ją mogło wytłumaczyć. Jednakże moją jedyną radością było widzieć te kobiety, jedynem wzruszeniem oczekiwać ich. Można by rzec, że natura przydała im jakąś właściwość, nie mającą z nimi związku; i że ta siła jakgdyby elektryczna działała na mnie tak, że wzniesła moją miłość, to znaczy kierowała wszystkimi memi postępkami i rozdziła wszystkie cierpienia. Ale piękność, albo inteligencja, albo dobroć tych kobiet były od tego całkowicie odrębne. Miłości moje wstrząsały mną tak jak nami wstrząsa prąd elektryczny: przeżywałem je, czułem, ale nigdy nie zdołałem ich ujrzeć ani ich pomyśleć. Skłonny nawet jestem mniemać, że w tych miłościach (pomijam rozkosz fizyczną, która zresztą towarzyszy im zazwyczaj, ale nie wystarcza aby je obudzić) pod postacią kobiety zwracamy się niby do tajemnych bóstw, niewidzialnych sił, które jej przygodnie towarzyszą. To ich łaskawość jest nam potrzebna, ich kontaktu szukamy, nie znajdując w nim pozytywnej rozkoszy. W czasie schadzki miłosnej, kobieta wprowadza nas w styczność z temi boginiami — i to jest bodaj że wszystko. Przynależymy, jako ofiarę, kosztowności, podróże; wyrzekliśmy formuły, które znaczą że uwielbiamy, lub też formuły, które znaczą że jesteśmy obojętni. Użyliśmy całej swojej mocy, aby uzyskać nową schadzkę, ale taką której by nam użyczono bez przykrości. Czyż dla samej kobiety gdyby jej nie dopełniały owe tajemne siły — zadawalibyśmy sobie tyle trudu? toż, kiedy poszła, nie umielibyśmy powiedzieć jak była ubrana i spostrzegamy żeśmy na nią nawet nie spojrzeli!

Ponieważ wzrok jest zmysłem zawodnym, ciało ludzkie — nawet kochane, jak dla mnie ciało Albertyny — wydaje się nam czemś poza nami — o kilka metrów, o kilka centymetrów. I tak samo dusza, która od niego należy. Ale niech coś zmieni nagle miejsce tej duszy w stosunku do nas, niech zdradzi że ona kocha kogoś innego, wówczas po biciu zdyszanego serca czujemy, że to nie o kilka kroków, ale w nas była druga istota. W nas, w regionach mniej lub więcej powierzchniowych. Ale słowa: „Ta przyjaciółka, to panna Vinteuil”, były dla mnie sezamem, którego nie byłbym zdolny znaleźć sam, który wprowadził Albertynę w głębię mego rozdartego serca. I mógłbym przez sto lat próbować otworzyć bramę, która się zamknęła za nią, nie wiedząc jak tego dokonać.

Te słowa przestałem słyszeć przez chwilę, wówczas kiedy Albertyna była ze mną. Ścisnąc ją tak jak ścisnąłem matkę w Combray aby ukoić ból serca, wierzyłem prawie w niewinność Albertyny, lub bodaj nie myślałem bez przerwy o skazie w niej odkrytej. Ale teraz, kiedy byłem sam, słowa rozbrzmiewały na nowo jak owe wewnętrzne szmery ucha, które słyszymy gdy ktoś przestał do nas mówić. Zboczenie jej było teraz dla mnie niewątpliwe. Słońce, które miało wstać zmieniając świat dokoła mnie, dało mi na nowo — jakgdyby przemieszczając mnie na chwilę w stosunku do Albertyny — jeszcze okrutniejszą świadomość cierpienia. Nigdy jeszcze poranek nie wstawał mi piękniejszy ani tak bolesny. Myśląc o wszystkich obojętnych krajobrazach które rozbłysną i które wczoraj jeszcze napęliły by mnie jedynie chęcią zwiedzania, nie mogłem wstrzymać łkania. Naraz mechanicznie spełnionym ofiarnym gestem, który zdawał mi się symbolizować krwawą ofiarę, jaką będę musiał uczynić z wszelkiej radości, co rano, aż do końca życia, uroczyste za każdą jutrzeźną święcącą odnowę mej codziennej zgryzoty i krwawiącej rany, złote jajko słońca, jakgdyby wprawione w ruch zwichnięciem równowagi, jakie sprowadza w chwili krzepnięcia zmiana gęstości, najeżone płomieniami niby na obrazie, przebiło jednym rzutem zasłonę, za którą od paru chwil czuło się je drżące, gotowe wdrzeć się na scenę, i której tajemniczą i skrzepłą purpurę zalało falami światła. Usłyszałem własny płacz. Ale w tej chwili, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, drzwi się otwarły: z bijącym sercem doznałem wrażenia, że widzę babkę przed sobą, niby w jednej z owych zjaw, jakie już widywałem, ale tylko we śnie. Czyż to wszystko było tylko snem? Niestety, to była jawa. „Uważasz, że jestem podobna do biednej babki” — rzekła ze słodyczą mama — bo to była ona — jakgdyby chcąc uspokoić moje przerażenie, stwierdzając zresztą podobieństwo pięknym uśmiechem skromnej dumy, która nigdy nie знаła zalotności. Jej włosy w nieładzie — przyczem siwe pasma nie były schowane i kręciły się dokoła niespokojnych oczu, postarzałych policzków, szlafrok nawet babki który nosiła, wszystko to przez chwilę wprowadziło mnie w błąd i kazało mi się wahać czy ja śpię, czy też babka zmartwychwstała. Oddawna już matka podobna była do babki, o wiele bardziej niż do młodej i roześmianej mamy, którą znało moje dzieciństwo. Ale już nie myślałem o tem. Podobnie, kiedy się długo czytało, nie spostrzega się w roztargnieniu że przeszła godzina i nagle widzi się słońce takie jak było w wilję o tej samej godzinie, budzące dokoła siebie te same harmonje, te same związki przygotowujące zachód. Matka sama podkreśliła moją omyłkę z uśmiechem, bo miłe jej było takie podobieństwo do babki.

— Przyszłam — rzekła — bo zdawało mi się przez sen, że ktoś płacze. To mnie obudziło. Ale czem się dzieje, że ty nie leżysz? I oczy masz pełne łez. Co się stało?

Rzuciłem się jej na szyję.

— Mamo, boję się że ci się wydam bardzo zmienny. Ale przedewszystkiem, wczoraj mówiłem ci nie bardzo życzliwie o Albertynie; to com mówił było niesprawiedliwe.

— Ale cóż to znaczy? — rzekła matka i spostrzegając wschodzące słońce, uśmiechnęła się smutno, myśląc o swojej matce; i abym nie stracił widoku, na który, ku żalowi babki, nie patrzałem nigdy, wskazała mi okno. Ale za plażą w Balbec, za morzem, za wschodem słońca, które mama mi pokazywała, w konwulsji rozpacz, która nie uchodziła jej uwagi, widziałem pokój w Montjouvain, gdzie Albertyna, różowa, zwinięta w kłębek jak wielka kotka, z kapryśnym noskiem, zajęła miejsce przyjaciółki panny Vinteuil i mówiła z rozkosznym śmiechem:

— I co, jeżeli nas widzą, tem lepiej będzie smakowało. Ja nie odważyłabym się napluć na tę starą małpę?



To tę scenę widziałem za sceną która rozpościerała się w oknie i która była dla tamtej niby ciemna zasłona, niby odbicie. Zdawała się w istocie sama prawie nierealna, jak namalowany widok. Nawprost nas, na cyplu skał Parville, gaik gdzieśmy grali w lisa, nachylał skośnie ku morzu, pod złożonym jeszcze połyskiem wody, odbicie swej zieleni, jak w chwili kiedy często, o schyłku dnia, odbywając siestę z Albertyną, wstawaliśmy, widząc że słońce zapada. W zamęcie mgieł nocnych, które włościły się jeszcze w różowych i niebieskich strzępach po wodach zawałonych szczątkami perłowej masy świtu, statki przepływały uśmiechając się w skośnym świetle, które złościło ich żagle i dzioby, jak kiedy wracają wieczorem: scena urojona, drżąca i pusta, czysta zjawa zachodu, nie spoczywająca, jak wieczorem, na szeregu godzin dnia, które ją zazwyczaj dla mnie poprzedzały; scena wiotka, sztuczna, wątlesza jeszcze niż okropny obraz Montjouvain, którego nie zdołał unicestwić, pokryć, ukryć — poetycki i czczy obraz wspomnienia i snu.

— Ależ — rzekła matka — nie powiedziałaś o niej nic złego; powiedziałaś że cię nudzi trochę, że rad jesteś porzuciwszy myśl żenienia się z nią. To nie racja, żeby tak płakać. Pomyśl, że mama jedzie dzisiaj, i że będzie w rozpacz, zostawiając swego kociaka w tym stanie. Zwłaszcza, biedny mój mały, że nie bardzo będę miała czas cię pocieszać. Bo niby to jestem zapakowana, ale zawsze ma się za mało czasu w dniu wyjazdu.

— To nie to.

I wówczas, obliczając przyszłość, ważąc dobrze swoją wolę, rozumiejąc że taka czułość Albertyny dla przyjaciółki panny Vinteuil — i przez tak długi czas — nie mogła być niewinna, że Albertyna jest świadoma grzechu i że zresztą, jak każdy jej gest świadczył o tem, urodziła się z instynktem zboczenia, które niepokój mój aż nazbyt często przeczuwał, któremu zapewne nigdy nie przestała się oddawać (i oddaje się może w tej chwili, korzystając z mojej nieobecności), powiedziałem matce, wiedząc jaką przykrość jej sprawiam, przykrość której mi nie pokazała zdradzając ją jedynie owym wyrazem poważnego zamyślenia, jaki matka przybierała, ilekroć ważyła alternatywę mojej przykrości a mojej szkody; ów wyraz, jaki miała w Combray pierwszy raz kiedy się zgodziła spędzić noc przy mnie, w tej chwili nadzwyczaj podobny do wyrazu babki, gdy mi pozwalała pić koniak — powiedziałem tedy matce:

— Wiem, jaką ci przykrość sprawię. Po pierwsze, zamiast zostać tutaj, jak chciałaś, wyjeżdżam równocześnie z tobą. To jeszcze nic. Źle się czuję tutaj, wolę wracać. Ale słuchaj, nie martw się zbytnio. Więc tak. Omyliłem się, oszukałem cię mimowoli wczoraj, zastanawiałem się nad tem całą noc. Muszę koniecznie — i postanówmy to zaraz, ponieważ zdaję sobie teraz dobrze ze wszystkiego sprawę, ponieważ już się nie zmienię i nie mógłbym już żyć inaczej; muszę koniecznie ożenić się z Albertyną.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sodoma-i-gomora-czesc-druga-tom-trzeci>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Sodoma i Gomora, część druga, tom trzeci*, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Paul Pierce@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0708-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.